

BŁAZEN

CHRISTOPHER MOORE

BŁAZEN

PRZEŁOŻYŁ JACEK DREWNOWSKI

Spis treści

OSTRZEŻENIE.....	5
OSOBY	6
SCENA.....	8
AKT I	9
Rozdział 1: ZAWSZE JEST CHOLERNY DUCH.....	10
Rozdział 2: BOGOWIE, WSPIERAJCIE BĘKARTÓW!.....	19
Rozdział 3: DAMY WAM POZNAĆ NASZ ZAMIAR.....	28
Rozdział 4: POMIĘDZY SMOKA I GNIEW JEGO	37
Rozdział 5: WSPÓŁCZUJCIE BŁAZNOWI.....	48
Rozdział 6 : PRZYJAŹŃ I CHĘDOŻENIE	55
Rozdział 7: BRAT ZDRAJCA.....	68
Rozdział 8: WIATR Z PIEPRZONEJ FRANCJI	77
Rozdział 9: TRUDY I ZNOJE.....	85
AKT II.....	95
Rozdział 10: WSZYSTKIE TWE STRASZLIWE ŻĄDZE	96
Rozdział 11: SŁODKO-GORZKI BŁAZEN.....	108
Rozdział 12: DROGA KRÓLA.....	118
Rozdział 13 GNIAZDO ŁOTRÓW	131
Rozdział 14: DELIKATNE ROGI.....	143
Rozdział 15: OKIEM KOCHANKA.....	157
Rozdział 16: ZBIERA SIĘ NA BURZĘ	168
AKT III	174
Rozdział 17: PANOWANIE BŁAZNÓW, KRZYKI SZALEŃCÓW	175
Rozdział 18: KOCIE PAZURY	184
Rozdział 19: WARIAT ŚLEPCA POPROWADZI.....	194
AKT IV.....	202
Rozdział 20: MAŁA ŚLICZNOTKA.....	203
Rozdział 21: NA BIAŁYCH URWISKACH	213
Rozdział 22: W TOWER.....	221

Rozdział 23: W LOCHU	233
Rozdział 24: POWRÓT BOUDIKI.....	245
Rozdział 25: KRÓLEM ZOSTANIE BŁAZEN	252
TY BEZCZELNY SZELMO – NOTA OD AUTORA.....	255

OSTRZEŻENIE

Opowieść to sprośna a rubaszna, ohydne gwałty, morderstwa, okaleczenia, zdradę i klepanie po tyłku ukazująca. Wulgarności i bluźnierstw w księdze tej zawartych świat jeszcze nie widział, jako też podobnego nagromadzenia dziwnej gramatyki, bezkoliczników i okazjonalnej masturbacji. Drogi Czytelniku, gdyby Cię to turbowало, księgę tę z dala omijać radzimy, chociaż chcemy Cię jeno zabawić, afrontu nie czyniąc. Jeśli przeto zabawę w podobnych księgach odnajdujesz, trafiłeś na historię zaiste doskonałą.

OSOBY

Lir – król Brytanii.

Goneryla – najstarsza córka Lira, księżna Albanii. Żona księcia Albanii¹.

Regana – druga córka Lira, księżna Kornwalii. Żona księcia Kornwalii.

Kordelia – najmłodsza córka Lira, księżniczka Brytanii.

Książę Kornwalii – mąż Regany.

Książę Albanii – mąż Goneryli.

Gloucester – hrabia Gloucester, przyjaciel króla Lira.

Edgar – najstarszy syn i dziedzic Gloucester.

Edmund – nieślubny syn Gloucester.

Anachoretka – święta kobieta.

¹ Albania (ang. Albany) – dawna nazwa części terenów Szkocji (przyp. tłum.).

Kent – hrabia Kentu, bliski przyjaciel króla Lira.

Kieszonka – błazen.

Książę Burgundii – adorator Kordelii.

Książę Francji – adorator Kordelii.

Kuran – kapitan straży Lira.

Śliniak – terminujący błazen.

Duch – zawsze jest cholerny duch.

SCENA

Scena to z grubsza mityczna trzynastowieczna Brytania, w której przetrwały pozostałości kultury brytyjskiej z czasów przedromańskich. Terytorium Brytanii obejmuje obszary, które dziś są Wielką Brytanią, w tym Anglię, Walię, Irlandię i Szkocję, królem zaś jest Lir. Ogólnie rzecz ujmując, jeśli nie zaznaczono inaczej, warunki należy uznać za wilgotne.

AKT I

„Krzyczymy, rodząc się, dlatego, bracie,
Że wchodzimy na tę wielką scenę błazeństw”.

Król Lir, Akt IV, scena 6²

² Wszystkie fragmenty *Króla Lira* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

ZAWSZE JEST CHOLERNY DUCH

– Pacan³! – wydarł się kruk.

Zawsze jest cholerny kruk.

– Głupotą było uczyć go mowy, gdybyś mnie pytał – powiedział wartownik.

– Głupota to mój obowiązek zawodowy – odparłem. Bo tak jest, wiecie? Jestem błaznem. Błaznem na dworze Lira, króla Brytanii. – A ty jesteś pacan – dodałem.

– Spieprzaj! – powiedział kruk.

Strażnik zamachnął się na niego włócznią i wielki czarny ptak poderwał się z muru, by z krakaniem pofrunąć nad Tamizą. Przewoźnik na promie uniósł wzrok, zobaczył nas na wieży i pomachał. Wskoczyłem na mur i ukloniłem się – do twoich pieprzonych usług, dziękuję. Wartownik mruknął coś z niezadowoleniem i splunął za krukami.

W Tower zawsze były kruki. Tysiąc lat temu, zanim George II, zidiociały król Meryki, zniszczył świat, żyły tu kruki. Legenda głosi, że dopóki w Tower będą te ptaki, Anglia przetrwa. Mimo to nauczanie jednego z nich mowy mogło być błędem.

– Idzie hrabia Gloucester! – krzyknął wartownik z zachodniego muru. – Ze swoim synem Edgarem i bastardem Edmundem!

Strażnik obok mnie uśmiechnął się.

– Gloucester, tak? Koniecznie zróbcie ten kawałek, w którym odgrywasz kozę, a Śliniak udaje hrabiego, który myli cię ze swoją żoną.

– To by było nieuprzejme – stwierdziłem. – Hrabia niedawno owdowiał.

– Zagrałeś to, kiedy zjawiał się tu ostatnio, a wtedy ona była jeszcze ciepła w grobie.

³ Pacan – matoł.

– No tak, to była przysługa. Chciałem, żeby wstrząs wyrwał nieszczęśnika z żalu, nie?

– Dobrze to było. Tak beczaleś, że myślałem, że Śliniak naprawdę zapycha ci zad.

Zapamiętałem sobie, żeby zepchnąć strażnika z muru, kiedy nadarzy się okazja.

– Słyszałem, że chciał zlecić twoje zabójstwo, ale nie zdołał uzyskać zgody króla.

– Gloucester to szlachcic, nie potrzebuje zgody na morderstwo. Wystarczy kaprys i broń.

– Nieprawda, psiakrew – odrzekł strażnik. – Wszyscy wiedzą, że król wziął cię pod swoje skrzydła.

Miał rację. Cieszę się pewnymi przywilejami.

– Widziałeś Śliniaka? Skoro przybył Gloucester, szykuje się galowe przedstawienie.

Śliniak to mój uczeń, tępy bydlak o rozmiarach konia pociągowego.

– Przed wartą był w kuchni – odparł strażnik.

W kuchni panował zgiełk – szykowano ucztę.

– Widziałeś Śliniaka? – spytałem Degustatora, który siedział przy stole, wpatrując się smętnie w chlebową tacę, na której leżała wieprzowina na zimno, czyli królewski obiad. Był chudym, chorowitym facetem, bez wątpienia wybranym do swojej funkcji z uwagi na wątły organizm, i miał skłonność do padania trupem przy pierwszej lepszej okazji. Lubilem zwierzać mu się ze swoich kłopotów, wiedząc, że nie dotrą do wielu uszu.

– Czy to nie wydaje ci się zatrute?

– To wieprzowina, chłopie. Pycha. Jedz. Połowa mężczyzn w Anglii oddałaby jądro za taką ucztę, a dopiero jest południe. Nawet mnie kusi. – Potrząsnąłem głową, posłałem mu uśmiech i zadzwoniłem dzwoneczkami przy czapce, by go rozweselić. Udałem, że kradnę mu kawałek wieprzowiny. – Ty pierwszy, oczywiście.

Nóż wbił się w stół, obok mojej dłoni.

– Cofnij się, błaznie – powiedziała Bańka, naczelną kucharka. – To królewski obiad i prędzej utnę ci jaja, niż pozwolę go zjeść.

– Moje jaja już należą do ciebie, milady – odrzekłem. – Chcesz je na tacy czy raczej podać je w miseczce, ze śmietaną, jak brzoskwinie?

Bańka prychnęła, zabrała nóż ze stołu i ponownie zajęła się oprawianiem pstrąga na rzeźniczej desce. Gdy się poruszała, jej wielki tyłek falował pod spódnicą niczym burzowe chmury.

– Mały szelma z ciebie, Kieszonko – odezwała się Piskliwa, której uśmiech okalały fale piegów. Była drugą kucharką, mocno zbudowaną, rudowłosą dziewczyną o piskliwym śmiechu i hojnej werwie w ciemnościach. Degustator i ja często spędzaliśmy miłe popołudnia, patrząc, jak ukręca łby kurczakom.

Przy okazji, nazywam się Kieszonka. Imię nadała mi matka przełożona, która znalazła mnie na progu klasztoru, gdy byłem małym dzieckiem. Prawda, nie jestem zbyt duży. Niektórzy mogliby nawet uznać mnie za malutkiego, lecz jestem szybki jak kot i przyroda obdarzyła mnie innymi przymiotami. Ale żeby szelma?

– Zdaje się, że Śliniak udał się do komnat księżniczki – oznajmiła Piskliwa.

– Owszem – potwierdził ponuro Degustator. – Pani przysłała po lekarstwo na melancholię.

– I dureń poszedł? – Wyglupiać się samemu? Chłopak nie był gotowy. A gdyby popełnił gafę, potknął się, upadł na księżniczkę niby kamień milowy na motyla? – Jesteś pewna?

Bańka wrzuciła oprawionego pstrąga do cebra, pełnego śliskich współryb⁴.

– Podśpiewywał „do pracy idę”. Powiedzieliśmy mu, że będziesz go szukał, kiedy usłyszeliśmy, że przychodzą księżna Goneryla i książę Albanii.

– Książę Albanii?

– Czy nie przysiągł, że zawiesi twoje trzewia na kandelabrze? – spytał Degustator.

– Nie – odparła Piskliwa. – To był książę Kornwalii. Książę Albanii chciał nadziać jego głowę na pikę, zdaje się. Na pikę, prawda, Bańko?

– Zaiste, głowę na pikę. Śmieszne, jeśli o tym pomyśleć, wyglądałbyś jak ta twoja lalka na patyku w powiększeniu.

⁴ Współryby – inne ryby w danej grupie, jak współpracownicy, współczynniki itp. Zamknijcie się, jest takie słowo.

– Jones – powiedział Degustator, wskazując moje błazeńskie berło, Jonesa, który to rzeczywiście stanowi pomniejszoną wersję mojego przystojnego oblicza, przymocowaną do solidnej rączki z polerowanego orzecha. Jones przemawia za mnie, kiedy tylko mój język musi przekroczyć granice bezpieczeństwa przy rycerzach i szlachcie, bo głowę ma już zawczasu nadzianą na pikę, łagodząc gniew ludzi ponurych i pozbawionych poczucia humoru. Moja wspaniała sztuka nieraz przepada w obliczu tematu.

– Tak, to byłyby nadzwyczajny ubaw, Bańko, widok ironiczny, jakby piękna Piskliwa obracała cię na rożnie nad paleniskiem, a ty miałabyś z obu końców jabłka dla ozdoby. Chociaż cały zamek mógłby pójść z dymem od podsycanego tłuszczem ognia, do tego czasu śmiechu byłoby co niemiara.

Umknąłem przed celnie rzuconym pstrągiem, po czym posłałem Bańce uśmiech wdzięczności za to, że zamiast rybą nie cisnęła nożem. Dobra z niej kobieta, choć bardzo duża i szybka w gniewie.

– Muszę znaleźć olbrzymiego, zaślinionego przygłupa, jeśli mamy przygotować rozrywki na wieczór.

Komnaty Kordelii znajdowały się w północnej wieży i najkrótsza droga wiodła po szczycie zewnętrznych murów. Gdy przeszedłem nad dużą strażnicą przy głównej bramie, usłyszałem wołanie młodego, przyszczatego wartownika.

– Bądź pozdrowiony, hrabio Gloucester!

Poniżej siwobrody Gloucester przechodził przez most zwodzony wraz ze swoją świtą.

– Bądź pozdrowiony, Edmundzie, cholerny bękarcie! – zawołałem nad murem.

Wartownik klepnął mnie w ramię.

– Wybacz, acan⁵, ale słyszałem, że Edmund jest drażliwy na punkcie swojego nieślubnego pochodzenia.

– Strażniku – odparłem – niepotrzebne drwiny i poszturchiwania, żeby odkryć słabiznę tego fiutka. Ma ją wypisaną na rękawie. – Wskoczyłem na mur i pomachałem

⁵ Acan – forma zwracania się do innych osób, jak np. „koleś”.

Jonesem bękartowi, który uściskiem próbował wymusić ukłon i drżenie na rycerzu jadącym obok.

– Ty nicponiu, suczy synu! – powiedziałem. – Ty śmierdzące łajno, które wyleciało z pryszczatej dupy ładaczniczy z zajęczą wargą!

Hrabia Gloucester uniósł głowę i zgromił mnie wzrokiem, przejeżdżając pod broną⁶.

– Trafiony prosto w serce – stwierdził wartownik.

– Sądzisz, że byłem zbyt ostry?

– Trochę.

– Przepraszam. Masz przynajmniej ładny kapelusz, bękartie! – zawołałem, by załagodzić sytuację. Poniżej Edgar i dwaj rycerze próbowali przytrzymać bękartą Edmunda. Zeskoczyłem z muru. – Pewnie nie widziałeś Śliniaka?

– W wielkiej sali dziś rano – odrzekł tamten. – Później już nie.

Po szczycie muru poniósł się okrzyk, przekazywany od wartownika do wartownika, aż w końcu usłyszeliśmy:

– Księżę Kornwalii i księżniczka Regana nadjeżdżają od południa.

– Do ciężkiej kurwy!

Księżę Kornwalii: wyglądzona chciwość i czyste, wrodzone łajdactwo. Zasztyletowałby⁷ zakonnicę dla farthinga⁸, a potem zabrał monetę dla zabawy.

Prywatny solar⁹ Kordelii znajdował się u szczytu wąskich, spiralnych schodów, gdzie światło wpadało tylko przez otwory strzelnicze. Wspinając się, usłyszałem chichot.

– Zatem nie mam żadnej wartości, jeśli nie jestem w ramionach i w łóżku jakiegoś pajaca z mieszkciem? – dobiegł mnie głos Kordelii.

– Wołałaś mnie – powiedziałem, wchodząc do pomieszczenia z mieszkciem w ręce.

⁶ Brona – ciężka, pionowa krata, zazwyczaj zakończona u dołu szpikulcami i wykonana z żelaza, a przynajmniej nim okuta dla zapewnienia odporności na ogień. Zazwyczaj wewnętrzna brama twierdzy, w formie kraty, by napastników dało się razić strzałami bądź włóczniami, gdyby przedarli się przez bramy zewnętrzne.

⁷ Sztyletować – zabijać za pomocą noża, a zwłaszcza sztyletu.

⁸ Farthing – najmniejszy nominal angielskiej monety, odpowiadający ćwierci pensa.

⁹ Solar – salonik na najwyższym piętrze wieży. Na nieosłoniętą murami wieżę pada wiele światła słonecznego i stąd nazwa. (Solar – ang. „słoneczny” – przyp. tłum.).

Dwórki zachichotały. Młoda Lady Jane, która ma zaledwie trzynaście lat, krzyknęła na mój widok – bez wątpienia poruszona mą wyraźnie widoczną męskością, a może lekkimi klapsami w tyłek, które odebrała od Jonesa.

– Kieszonka! – Kordelia siedziała pośrodku kręgu dziewcząt. Włosy miała rozpuszczone, jasne loki sięgały talii. Była ubrana w prostą suknię z lawendowego lnu, tu i ówdzie ozdobioną koronkami. Wstała i podeszła do mnie. – Zaszczycasz nas, błaznie. Usłyszałeś pogłoski o małych zwierzątkach, które można skrzywdzić, czy też liczyłeś, że znowu przypadkiem zaskoczysz mnie w kąpieli?

Przechyliłem głowę, ze skruchą dzwoniąc dzwoneczkami na czapce.

– Zabłądziłem, milady.

– Tuzin razy?

– Odnajdywanie drogi nie jest moją mocną stroną. Jeśli chcesz przewodnika, to po niego poślę, ale nie wiń mnie, gdyby twoja melancholia zatriumfowała i gdybyś utopiła się w strumyku. Twoje szlachetne damy płakałyby nad twymi bladymi, pięknymi zwłokami. Powiedziałyby: „Nie zagubiła się na mapie, bo pokładała ufność w przewodniku, lecz zagubiła się w sercu, nie chcąc błazna”.

Damy dworu jęknęły. Pobłogosławiłbym je, gdybym nie był obrażony na Boga.

– Wyjdźcie, moje panie – powiedziała Kordelia. – Zostawcie mnie w spokoju z moim błaznem, żebym mogła obmyślić dla niego jakąś zemstę.

Damy czmychnęły z komnaty.

– Karę? – spytałem. – Za cóż to?

– Jeszcze nie wiem – odparła – ale zanim ją wymyślę, na pewno czymś na nią zasłużysz.

– Twoja wiara mnie zawstydza.

– Mnie zaś twoja skromność – odrzekła księżniczka. Uśmiechnęła się, nieco zbyt przebiegle jak na tak młodziutką pannę.

Kordelia jest ode mnie młodsza o niemal dziesięć lat (nie znam dokładnie własnego wieku), przeżyła siedemnaście wiosen i jako najmłodszą córkę króla zawsze traktowano ją tak, jakby była delikatna niczym dmuchane szkło. Ale choć słodka z niej istota, jej szczekanie przeraziłoby nawet wściekłego borsuka.

– Mam się rozebrać przed karą? – podsunąłem. – Może bicze? Albo picze? Wszystko jedno. Jestem chętny i pełen skruchy, pani.

– Wystarczy już tego, Kieszonko. Potrzebuję twojej rady, a przynajmniej współczucia. Moje siostry zjeżdżają do zamku.

- Niestety, już przybyły.
- A, właśnie, księżęta Albanii i Kornwalii chcą cię zabić. Istny pech. Tak czy owak, zjawią się w zamku, podobnie jak Gloucester z synami. Wielkie nieba, oni też chcą cię zabić.
- To surowi krytycy – stwierdziłem.
- Przykre. I jest tu jeszcze tuzin innych szlachciców, a także hrabia Kentu. Kent nie chce cię zabić, prawda?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jest dopiero pora obiadu.
- Zaiste. A wiesz, po co wszyscy przybywają?
- Żeby zapędzić mnie w róg, jak szczura w beczce?
- Beczki nie mają rogów.
- Dużo zachodu, żeby zabić jednego małego, choćby i strasznie przystojnego, błazna.
- Nie chodzi o ciebie, durniu, tylko o mnie.
- Zabić ciebie to jeszcze mniej wysiłku. Ilu ich potrzeba, by skrócić twój chudy kark? Obawiam się nawet, że Śliniak pewnego dnia zrobi to przez przypadek. Nie widziałas go?
- Śmierdzi. Odprawiłam go dziś rano. – Zamachała wściekle dłonią, by wrócić do rzeczy. – Ojciec wydaje mnie za męża!
- Bzdura. Kto by cię chciał?
- Dama nieco spochmurniała, a w jej niebieskich oczach pojawił się lodowaty błysk. Borsuki w całym Blighty¹⁰ zadrżały.
- Edgar z Gloucester zawsze mnie chciał, a księżę Francji i księżę Burgundii już zjechali na zaręczyny.
- Rękoczynny wobec kogo?
- Zaręczyny!
- Wobec kogo?
- Zaręczyny, zaręczyny, głupku, a nie rękoczynny. Księżęta przyjechali tu, żeby się ze mną ożenić.
- Ci dwaj? Edgar? Nie. – Byłem wstrząśnięty. Kordelia? Ślub? Któryś z nich miał ją zabrać? To było niesprawiedliwe! Okrutne! Złe! Nawet jeszcze nigdy nie widziałas mnie nago. – Po co chcieliby zaręczyn z tobą? To znaczy, na jedną noc każdy by poszedł na takie zaręczyny w ciemno. Ale na zawsze? Raczej nie.

¹⁰ Blighty – w angielskim slangu: Brytania, Wielka Brytania.

– Jestem księżniczką, do licha.

– Otóż to. Księżniczki to nic dobrego. Karma dla smoków i preteksty do okupu, rozpieszczone bachory, które wymienia się na nieruchomości.

– O nie, drogi błaznie, zapominasz, że księżniczki zostają czasami królowymi.

– Ha, księżniczki. Ile jesteście warte, skoro ojciec musi wam przypiąć do tyłka tuzin hrabstw, żeby te francuskie pedzie w ogóle na was spojrzwały?

– O, a ile jest wart błazen? A raczej pomocnik błazna, bo tylko nosisz puchar na ślinę za naturalnym¹¹. Ile wynosi okup za trefnisią, Kieszonko? Wiadro ciepłej śliny.

Chwyciłem się za pierś.

– Zranionym do głębi – jęknąłem. Zatoczyłem się na krzesło. – Krwawię, cierpię i umieram na zębatej lancy twoich słów.

Podeszła do mnie.

– Wcale nie.

– Nie, cofnij się. Plamy krwi nigdy nie zejną z lnu. Twoje okrucieństwo i poczucie winy je utrwalą...

– Kieszonko, natychmiast przestań.

– Ubiłaś mnie, pani, jużem nieżywy. – Zakrztusiłem się, dostałem spazmów, zakaszlałem. – Oby zawsze mówiono, że ten skromny błazen niósł radość każdemu, kogo spotkał.

– Nikt tak nie powie.

– Cii, dziecko. Słabnę. Brak mi tchu. – Z przerażeniem popatrzyłem na wyobrażoną krew na swoich rękach. Zsunąłem się z krzesła na podłogę. – Ale chcę, byś wiedziała, że mimo twej wrednej natury i potwornie wielkich stóp, zawsze...

A potem umarłem. I to genialnie jak cholera, powiedzmy sobie szczerze, ze słabym drzeniem na koniec, gdy dotknęła mnie lodowata dłoń śmierci.

– Co? Co zawsze?

Nic nie powiedziałem, bo byłem martwy i trochę wyczerpany całym tym krwawieniem i jęczeniem. Prawdę mówiąc, oprócz tego żartu naprawdę czułem się tak, jakbym dostał cios w serce.

– Zupełnie mi nie pomagasz – powiedziała Kordelia.

¹¹ „Naturalnym” błaznem był ten, kto cierpiał na jakieś kalectwo bądź anomalie fizyczne – garbus, karzeł, olbrzym, osoba z zespołem Downa itp. Uważano, że naturalni błazni zostali „dotknięci” przez Boga.

Kruk wylądował na murze, gdy wracałem do głównego budynku w poszukiwaniu Śliniaka. Wieść o zbliżających się zrękowinach Kordelii dręczyła mnie do głębi.

- Duch! – odezwał się kruk.
- Tego cię nie uczyłem.
- Pierdolenie – odparł kruk.
- Teraz lepiej!
- Duch!
- Odczep się, ptaszysko – burknąłem.

Wtedy podmuch zimnego wiatru uderzył mnie w tyłek i u szczytu schodów w wieżycze przede mną dostrzegłem jakieś migotanie wśród cieni, jakby jedwabiu w promieniach słońca – miało kobiece kształty.

I widmo powiedziało:

*Trzem córkom los szykuje potężną obrazę,
Przebóg, miast króla wkrótce będzie błazen.*

– Rymy? – spytałem. – Pojawiasz się tu cała przejrzysta w środku dnia i wypluwasz z siebie tajemnicze rymy? To kicz i tandeta, tak straszyć w południe. Pierdnięcie księdza zwiastuje gorsze fatum, ty bełkocząca zjawo.

– Duch! – wykrzyknął kruk i wtedy duch zniknął.

Zawsze jest cholerny kruk.

BOGOWIE, WSPIERAJCIE BĘKARTÓW¹²!

Zastąłem Śliniaka w pralni, zajętego waleniem konia i z chichotem rozbryzującego strugi nasienia idioty na ściany, podłogi i sufit, podczas gdy Kilowa Mary machała mu cyckami znad parującego kotła z królewskimi koszulami.

– Schowaj je, dziwko, musimy przygotować występ.

– Tylko go rozśmieszam.

– Jeśli chciałaś spełnić dobry uczynek, mogłaś go porządnie wychędożyć, byłoby o wiele mniej sprzątanania.

– To byłby grzech. Zresztą prędzej usiadłabym na halabardzie wartownika, niż dała sobie wsadzić tego grubasa.

Śliniak wypompował się do cna i teraz siedział w rozkroku na podłodze, dysząc niczym wielki, zaśliniony miech. Chciałem mu pomóc spakować sprzęt, ale próby wepchnięcia w mieszek tego czystego entuzjazmu przypominały nasadzanie wiadra na głowę byka – scenariusz, który wydał mi się wystarczająco zabawny, by włączyć go w wieczorne przedstawienie, gdyby zrobiło się drętwo.

– Chyba nic cię nie powstrzyma, żeby porządnie zrobić mi to dekoltem, Mary. Wyciągnęłabyś je, całe namydłone, parę podskoków, łaskotki, a przez dwa tygodnie nosiłby ci wodę.

– Już nosi. I nie chcę tego obok siebie. To naturalny. W jego nasieniu siedzą diabły.

– Diabły? Diabły? Nie ma tam żadnych diabłów, panienko. Na pewno pełno przygłupów, ale nie diabłów. – Naturalny był albo błogosławiony, albo przeklęty, ale nigdy nie stanowił po prostu wybryku natury, jak wskazywałaby nazwa.

¹² *Król Lir*, akt I, scena 2, Edmund.

Czasami Kiłowa Mary wciskała nam chrześcijaństwo, mimo że była skończoną zdziwą. Człowiek już nie wiedział, z kim ma do czynienia. Połowa królestwa była chrześcijanami, druga połowa składała hołdy dawnym bogom natury, którzy zawsze dawali nadzieję przy wschodzie księżyca. Chrześcijański Bóg ze swoim „dniem odpoczynku” zyskiwał mocną pozycję u wieśniaków z nadejściem niedzieli, ale już w czwartek, gdy czekało mnóstwo picia i pieprzenia, natura ściągała odzienie, rozkładała nogi i z dzbanem piwa w każdej ręce przyjmowała tylu nawróconych druidów, ilu się dało. Stanowili znaczną większość, gdy nadchodziło święto. Tańczyli, pili, chędożyli dziewice i dzielili się plonami. Ale po czasach ofiar z ludzi i palenia królewskich lasów nie pozostało nic oprócz świerszczy, baraszkujących wokół Stonehenge, bo piewcy porzucili Matkę Ziemię na rzecz Ojca Kościoła.

– Ładne – powiedział Śliniak, próbując odzyskać panowanie nad swoim narzędziem.

Mary zaczęła mieszać pranie, ale zaniedbała podciągnięcie sukni. Wiedziała, jak przykuć uwagę przyglupa.

– Tak. Ta dziewczka to cholerne ucieleśnienie piękna, chłopie, ale wypolerowałaś się już na wysoki połysk, a mamy robotę. W zamku szaleją intrygi, podstępny, podłości. Wszyscy oczekują komicznej przerwy między pochlebstwami a zabójstwami.

– Intrygi i podłości? – Śliniak ukazał szczerbaty uśmiech. Wyobraźcie sobie żołnierzy rzucających beczki śliny przez blanki na szczycie muru: tak właśnie wygląda uśmiech Ślimaka, równie szczerzy w ekspresji, jak mokry w praktyce, istny potok dobrej nowiny. On uwielbia intrygi i podłości, jako że odwołują się do jego szczególnej zdolności.

– Będzie chowanie się?

– Z całą pewnością będzie – zapewniłem, wciskając mu niesforne jądro do mieszka.

– I podsłuchiwanie?

– Podsłuchiwanie na ogromną skalę. Musimy wsłuchiwać się w każde słowo, niczym Bóg podczas modlitwy papieża.

– I kurewstwo? Będzie kurewstwo, Kieszonko?

– Haniebne, najpaskudniejsze kurewstwo, chłopie. Haniebne, najpaskudniejsze kurewstwo.

– W takim razie psie jajca¹³! – powiedział Śliniak, klepiąc się w udo. – Słyszałaś, Mary? Szykuje się haniebne kurewstwo. Czy to nie psie jajca?

– No tak, cholerne psie jajca, kochany. Jeśli święci nam sprzyjają, może któryś z tych szlachciców powiesi twojego nikiemnej postury towarzysza, tak jak się odgrażali.

– To będzie dwóch powieszonych błaznów, prawda? – powiedziałem, dźgając swojego ucznia łokciem w żebra.

– Dwóch powieszonych błaznów, prawda? – powtórzył Śliniak moim głosem, który dobył się z jego wielkiej paszczy tak udatnie, jakby pochwycił echo na język i wypuł je z powrotem.

To dar przygłupa: nie tylko umie doskonale naśladować dźwięki, ale też przywołać całe wielogodzinne rozmowy, wyrecytować je oryginalnymi głosami mówców, nie rozumiejąc przy tym ani słowa. Lirowi podarował go pewien hiszpański książę, z uwagi na jego ślinotok i umiejętność puszczenia wiatrów, od których ciemniało w całym pomieszczeniu, ale gdy odkryłem jego wrodzony talent naśladowcy, wziąłem go na swojego terminatora, by nauczyć go szlachetnej sztuki zabawiania.

Śliniak zarechotał.

– Dwóch powieszonych błaznów...

– Przestań! – powiedziałem. – Aż ciarki przechodzą.

Zaiste przechodziły, gdy słyszałeś własny głos, wylewający się z tego wielkiego prostaka, odarty z dowcipu i wypłukany z ironii. Już dwa lata miałem Śliniaka pod swoimi skrzydłami i nadal nie przywykłem. Nie chciał zrobić nic złego, po prostu taką miał naturę.

Matka przełożona w klasztorze uczyła mnie o naturze, każąc mi recytować Arystotelesa: „Cnotą wykształconego człowieka i hołdem dla jego kultury jest poszukiwanie w przedmiocie tylko takiej precyzji, na jaką pozwala jego natura”.

Nie kazałbym Ślimakowi czytać Cycerona ani układać mądrych zagadek, ale pod moją opieką całkiem nieźle nauczył się fikania i żonglerki, umiał od biedy zaśpiewać i na dworze dostarczał przynajmniej tyle rozrywki, ile tresowany niedźwiedź, przy nieco mniejszym prawdopodobieństwie zjedzenia gości. Przy odpowiednim prowadzeniu mógł zostać błaznem z prawdziwego zdarzenia.

¹³ Psie jajca! – Wyśmienicie! Ptasie gacie! Kocia pizama. Dosłownie, psie jądra, czyli na pozór nic specjalnego, no ale tak to bywa.

– Kieszonka smutny – stwierdził Śliniak.

Poklepał mnie po głowie, co było nad wyraz irytujące, nie tylko dlatego, że nasze twarze znajdowały się naprzeciwko siebie (ja stałem, a on siedział tyłkiem na podłodze), ale i dlatego, że dzwoneczki na mojej czapce zadźwięczały w nadzwyczaj melancholijny sposób.

– Nie jestem smutny – odparłem. – Jestem zły, że się zgubiłeś na cały ranek.

– Nie zgubiłem się. Cały czas byłem tutaj, przyszedłem na dwa słowa z Mary.

– Dwa? Macie szczęście, że oboje nie stanęliście w płomieniach, ty od tarcia, a ona od cholernych piorunów Jezusa.

– Może trzy – powiedział Śliniak.

– Sam wyglądasz na zagubionego, Kieszonko – odezwała się Mary. – Masz twarz jak kwiląca sierota, którą wyrzucono do rynsztoka razem z zwartością nocników.

– Martwię się. Król przez ostatni tydzień nie miał towarzystwa, z wyjątkiem Kenta, w zamku roi się od skrytobójców, a na blankach damski duch wygłasza złowieszcze rymowanki.

– Zawsze jest cholerny duch, prawda? – Mary wyłowiła z kotła koszulę i zakolysała nią na drągu, jakby wyszła na spacer z własnym przemoczoną, parującym duchem. – Nie masz innych zmartwień, jak tylko wszystkich rozśmieszać, tak?

– Beztroski jestem niby wiatr. Zostaw tę wodę, jak skończysz, Mary, będzie w sam raz. Śliniak wymaga namoczenia.

– Niiieeeeeee!

– Cicho, nie możesz tak iść do komnat, cuchniesz gównem. Znowu spałeś w stercie gnoju?

– Było ciepło.

Mocno walnąłem go Jonesem w ciemię.

– Ciepło nie jest najważniejsze, chłopie. Jeśli chcesz ciepła, możesz spać w wielkiej sali ze wszystkimi.

– Nie wolno mu – wtrąciła Mary. – Szambelan¹⁴ mówi, że jego chrapanie straszy psy.

– Nie wolno?

Każdy przedstawiciel pospółstwa, który nie miał kwatery, spał na podłodze w wielkiej sali, zasłanej tu i ówdzie słomą i sitowiem. Zimą przy palenisku piętrzyli się

¹⁴ Szambelan – sługa, którego zadaniem jest zwykle zarządzanie zamkiem bądź domostwem.

wręcz jeden na drugim. Przedsiębiorczy jegomość ze sterczącym fletem i skłonnością do skradania się mógł znaleźć się pod jednym kocem z zaspaną i być może nawet chętną dziewczuchą. Po czymś takim wypędzono go na dwa tygodnie z przyjaznego ciepła sali (ja zaś do takich nocnych wyczynów posiadam skromną kwatere nad barbakanem¹⁵), ale żeby wygnano kogoś za chrapanie? Niesłychane. Gdy atramentowa peleryna nocy opada na wielką salę, ta staje się istnym młynem, maszyneria ludzkich oddechów miele sny z przerażającym hałasem i nawet wielkie młyńskie koła Śliniaka przestają się wyróżniać w tym chórze.

– Za chrapanie? Nie wolno mu wchodzić do sali? Brednie!

– I za obsikanie żony stolnika – dodała Mary.

– Było ciemno – wyjaśnił Śliniak.

– Zaiste, nawet za dnia łatwo pomylić ją z wygodką, ale czyż nie szkolilem cię w panowaniu nad swoimi płynami, chłopie?

– I to z wielkim powodzeniem – odezwała się Kiłowa Mary, wywracając oczami i spoglądając na oszronioną nasieniem ścianę.

– Ach, Mary, dobrze powiedziane. Zawrzyjmy pakt: jeśli nie będziesz siliła się na dowcip, ja nie zostanę pachnącym mydłem fiutem. Co waćpanna na to?

– Mówiłeś, że lubisz zapach mydła.

– Cóż, skoro o zapachach mowa... Śliniaku, przynieś parę wiader zimnej wody ze studni. Musimy ochłodzić ten gar, żeby cię wykąpać.

– Niiieeeeeee!

– Jones będzie bardzo niezadowolony, jeśli się nie pospieszysz – rzekłem, wymachując Jonesem z dezaprobatą i groźbą. Jones jest surowym panem, bez wątplenia zgorzkniał od tego, że wychowywano go jako lalkę na patyku.

Pół godziny później nieszczęsny Śliniak siedział w parującym kotle w pełnym ubiorze. Jego naturalny bulion zmienił białą od ługu wodę w gęsty, brązowy sos z idioty. Kiłowa Mary mieszała wokół niego swoim drągiem, uważając, by go nie podniecić. Przepytywałem swojego ucznia z rozrywek na nadchodzący wieczór.

¹⁵ Barbakan – budowla przy bramie albo rozszerzenie muru poza jego obręb, służąca obronie głównej bramy, często połączona z mostem zwodzonym i wyposażona w broń, czyli ciężką, żelazną kratę, zakończoną od dołu szpikulcami.

– Mój drogi, skoro Kornwalia leży nad morzem, jak powinniśmy sportretować naszego księcia?

– Jako owcojebcę – podsunął przygnębiony olbrzym.

– Nie, chłopie, to księżę Albanii. Księżę Kornwalii powinien być rybojebcą.

– No tak, przepraszam.

– Nie martw się, nie martw. Pewnie dalej będziesz mokry po tej kąpieli, zatem zrobimy z tego żart. Trochę pluskania się i taplania zwiększy jeno zabawę, a jeśli zdołamy przy tym zasugerować, że małżonka księżna Regana sama przypomina rybę, cóż, nie wyobrażam sobie, by ktoś się nie ubawił.

– Oprócz księżnej.

– Ale ona bierze wszystko dosłownie i często trzeba jej raz i drugi wytłumaczyć żart, by zyskać uznanie.

– Trzeba wykorzystać ciężki dowcip Regany – powiedziała lalka Jones.

– Trzeba wykorzystać ciężki dowcip Regany – powtórzył Śliniak głosem Jonesa.

– Już nie żyjecie – westchnęła Kiłowa Mary.

– Już nie żyjesz, szelmo! – rozległ się za mną męski głos.

Stał tam Edmund, bękart Glouceстера, z mieczem w dłoni, tarasując jedyne wyjście. Był odziany w czerń. Jego płaszcz spinała prosta srebrna brosza, a rękojeści miecza i szeptetu miały kształt srebrnych smoczycich głów ze szmaragdowymi oczami. Czarną brodę miał wystrzyżoną w szpic. Zaiste podziwiam zmysł estetyczny bękarta: prosty, elegancki i zły. Widać, że panuje nad własną mrocznością.

Nazywają mnie Czarnym Błaznem. Co prawda nie jestem Maurem, ani nie chowam do nich żadnej urazy (ponoć Maurowie to uzdolnieni dusiciele żon) i nie obraziłbym się na ten przydomek, gdyby o to właśnie chodziło. Moja skóra jest biała jak u każdego spragnionego słońca syna Anglii. Nie, zwą mnie tak z uwagi na czarny ubiór z satyny w diamentową kratę z aksamitu – nie jest to tęczowa mieszanina, jak u pierwszego lepszego trefnisia. Lir powiedział: „Do swego czarnego dowcipu powinieś strój dopasować, błażnie. Może nowy ubiór powstrzyma cię przed prztykaniem śmierci w nos. Ja już nad grobem stoję, chłopcze, nie trzeba drażnić robaków przed moim przybyciem”. Skoro nawet król obawia się krzywego ostrza ironii, czyż błazen bywa bezbronny?

– Miecz w dłoń, błażnie! – powiedział Edmund.

– Niestety, panie, żadnego nie posiadam – odrzekłem. Jones pokręcił głową z bezbronną żalnością.

Obaj kłamaliśmy, ma się rozumieć. Na krzyżu nosiłem trzy ostre sztylety do rzucania – które wyfasował mi zbrojmistrz, bym używał ich w swoich sztuczkach – i choć nigdy nie używałem ich jako broni, trafiałem nimi w zaplute jabłka na głowie Śliniaka i strącałem śliwki z jego wyciągniętych palców, a nawet przekłuwałem rzucone w powietrze winogrona. Nie miałem wątpliwości, że jeden z nich znalazłby drogę do oka Edmunda i przedziurawił jego zgorzkniały mózg niczym nabrzmiały czyrak. Jeśli musiał się o tym przekonać, to wkrótce się przekona. A jeśli nie – po cóż go kłopotać?

– Jeśli nie walka, to morderstwo – powiedział Edmund.

Rzucił się naprzód z klingą wymierzoną w moje serce. Odstąpiłem w bok i odtrąciłem ostrze Jonesem, który stracił przy tym dzwoneczek ze swojej czapki.

Przyskoczyłem do krawędzi kotła.

– Ale, panie, po co gniew swój skupiać na biednym, bezbronnym błaznie?

Edmund ciął. Skoczyłem. Chybił. Opadłem po drugiej stronie kotła. Śliniak jęknął. Mary skryła się w kącie.

– Wyzywałeś mnie z blanków od bękartów.

– Zapowiedzieli cię jako bękarta. Boś, panie, jest bękartem. I to bękartem niesprawiedliwym, skoro chcesz mnie uśmiercić z paskudnym smakiem prawdy wciąż na moim języku. Pozwól mi na kłamstwo, nim uderzysz: masz takie miłe oczy.

– Ale mówiłeś źle także o mojej matce. – Stał między mną a drzwiami.

Cholernie kiepski projekt, tak zbudować pralnię z jednym tylko wyjściem.

– Być może zasugerowałem, że to krostowata kurwa, ale z tego, co mawia twój ojciec, także to odpowiada prawdzie.

– Co? – spytał Edmund.

– Co? – spytał Śliniak niby doskonała papuga.

– Co? – zainteresowała się Mary.

– To prawda, głupku! Twoja matka była krostowatą kurwą!

– Za pozwoleniem, panie, krosty to jeszcze nic złego – wtrąciła Kiłowa Mary, rzucając promyk optymizmu na te mroczne czasy. – Niesłusznie się je oczernia. Uważam, że odrobina krost świadczy o doświadczeniu. O światowości, rzecz by można.

– Ta zdzira słusznie prawi, Edmundzie. Choć człek zapada się powoli w szaleństwo i śmierć, gubiąc po drodze kawałki ciała, kiła to zaiste błogosławieństwo –

powiedziałem i odskoczyłem tuż poza zasięg klingi bękarta, który kroczył za mną wokół wielkiego kotła. – Weź taką Mary. O, to nawet niezły pomysł. Weź Mary. Po co tracić siły po długiej podróży na mordowanie jakiegoś nikczemnego błazna, skoro możesz zażyć rozkoszy z chutliwą dziewczką, która nie dość, że gotowa, to jeszcze chętna i ładnie pachnie mydłem?

– O, tak – odezwał się Śliniak, tocząc pianę z ust. – To cholerne ucieleśnienie piękna.

Edmund opuścił czubek miecza i pierwszy raz spojrział na Śliniaka.

– Jesz mydło?

– Tylko mały okrawek – zbulgotał Śliniak. – I tak by się nie przydał.

Edmund odwrócił się z powrotem do mnie.

– Czemu gotujesz tego człeka?

– Nie mogłem nic poradzić – odrzekłem.

(Ileż dramatyzmu było w słowach bękarta – woda ledwie parowała, a wrażenie wrzenia wywoływały tylko wiatry Śliniaka).

– Zwykła, kurwa, uprzejmość, nie? – powiedziała Mary.

– Mówcie jasno, oboje. – Bękart obrócił się na pięcie i zanim się zorientowałem, co się dzieje, trzymał już czubek klingi przy gardle Mary. – Przez dziewięć lat byłem w Ziemi Świętej i zabijałem Saracenów. Jeden czy dwoje więcej, to nie sprawi mi różnicy.

– Czekaj! – Podskoczyłem z powrotem do krawędzi kotła, wolną ręką sięgając do krzyża. – Czekaj. Został ukarany. Przez króla. Bo mnie zaatakował.

– Ukarany? Za atak na błazna?

– „Ugotujcie go żywcem”, powiedział król. – Przeskoczyłem na tę stronę kotła, po której stał Edmund, i ruszyłem w stronę drzwi. Potrzebowałem miejsca do rzutu, a gdyby się ruszył, nie chciałem, by ostrze trafiło Mary.

– Wszyscy wiedzą, jak bardzo król lubi swojego małego, ciemnego błazna – powiedziała Mary, z entuzjazmem kiwając głową.

– Bzdury! – wykrzyknął Edmund, wznosząc miecz do ciosu.

Mary wrzasnęła. Obróciłem sztylet w powietrzu, chwyciłem go za ostrze i byłem gotów cisnąć w serce Edmunda, gdy coś z łoskotem uderzyło go w tył głowy, po czym wpadł na ścianę, nakrył się nogami, a jego broń zabrzęczała na podłodze u moich stóp.

Śliniak stał w kotle i trzymał drąg, którym Mary mieszała pranie – do wyblakłego drewna przylepiła się odrobina włosów i strzęp zakrwawionej skóry.

– Widziałeś to, Kieszonko? Wspaniale upadł. – Śliniak traktował to wszystko jak pantomimę.

Edmund się nie ruszał. O ile widziałem, także nie oddychał.

– Na krwawe boskie jaja, zabiłeś syna hrabiego. Teraz wszystkich nas powieszają.

– Ale chciał zrobić krzywdę Mary.

Mary usiadła na podłodze przy leżącym twarzą ku ziemi ciele Edmunda i zaczęła głaskać jego włosy w miejscu, gdzie nie było krwi.

– A chciałam mu się potulnie oddać.

– Zabiłby cię bez zastanowienia.

– Mężczyźni miewają swoje narowy, prawda? Spójrz na niego, całkiem zacny z niego mąż, czy nie? I do tego bogaty. – Wyjęła mu coś z kieszeni. – A to co?

– Piękna robota, dziewucho, nawet przecinka brakło między żalem a rabunkiem. Tym lepiej, bo wciąż jest na tyle świeży, że jego pchły nie wyniosły się w żywsze miejsca. Naprawdę do twarzy ci z Kościołem.

– Nie, wcale go nie rabuję. Popatrz, to list. – Daj.

– Umiesz czytać? – Oczy ladacznicy zrobiły się tak szerokie, jakbym właśnie wyznał, że umiem przemieniać ołów w złoto.

– Wychowałem się w klasztorze, dziewczko. Jestem chodzącą składnicą wiedzy, oprawną w nadobną skórę, w sam raz do głaskania. Do usług, gdybyś zapagnęła odrobiny kultury do swojego braku wychowania albo na odwrót, ma się rozumieć.

I wtedy Edmund jęknął i się poruszył.

– O do ciężkiej kurwy. Bękart żyje.

3

DAMY WAM POZNAĆ NASZ ZAMIAR¹⁶

Jeszcze nie czytałem takiego steku bzdur – powiedziałem. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na plecach bękarta i czytałem list, który napisał do swego ojca... „I musisz waszmość zrozumieć, jakie to niesprawiedliwe, iż ja, owoc prawdziwej namiętności, żyję odarty z szacunku i pozycji, podczas gdy całe poważanie oddaje się memu przyrodniemu bratu, spłodzonemu w łóżu jeno z obowiązku i trudu”.

– To prawda – odrzekł bękart. – Czyż nie mam równie przystojnych rysów, równie lotnego umysłu, równie...

– Jesteś marudnym matolem¹⁷, nic więcej – stwierdziłem. Moją zuchwałość podsycił zapewne ciężar Śliniaka, który siedział bękartowi na nogach. – Na co liczyłeś po oddaniu tego listu ojcu?

– Że może ustąpi i odda mi połowę tytułu i dziedzictwa mego brata.

– Bo jego matka ruchała się lepiej niż Edgara? Nie dość, żeś bękart, to jeszcze idiota.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, konusie.

Kusiło mnie, by przyłożyć szelmie Jonesem w łeb, albo jeszcze lepiej – rozplatać mu gardło jego własnym mieczem, ale choć cieszę się względami króla, ten jeszcze bardziej ceni porządek swojej władzy. Zabójstwo syna Glouceстера, choćby w najwyższym stopniu zasłużone, nie mogło pozostać bez kary. Ale pogrzeb błazna i tak nastąpiłby wkrótce, gdybym puścił bękarta, nim jego gniew złagodnieje. Odesłałem Kłową Mary, w nadziei że wściekłość odejdzie wraz z nią. Mam najmniejsze wpływy na całym dworze. Moja jedyna władza to budzenie złości u innych.

¹⁶ *Król Lir*, akt I, scena 1, Król Lir.

¹⁷ Matol – pacan.

- Wiem, co to znaczy być upośledzonym przez narodziny, Edmundzie.
- To nie to samo. Ty jesteś pospolity niby polna ziemia, a ja nie.
- Czy przeto nie wiem, jak to jest, gdy twój tytuł rzucają ci w twarz niczym przekleństwo? Jeśli ja zwę cię bękartem, ty mnie zaś błaźnem, czy możemy odpowiadać jak mężczyźni?
 - Bez zagadek, błaźnie. Nie czuję swych nóg.
 - A czemuż chciałbyś czuć swe nogi? Czy to też rozpusta klasy rządzącej, o której tyle się słyszy? Czy aż taki masz dostęp do rozkoszy cielesnych, że musisz wymyślać osobliwe perwersje, by się zaspokoić? Musisz czuć swe nogi i biczować stajennego zdechłym królikiem, by pobudzić szkorbutowe swędzenie swej chuci?
 - O czym ty prawisz, błaźnie? Nie czuję swych nóg, bo siedzi na nich pewien wielki dureń.
 - A. Zaiste, wybac. Śliniak, podnieś się trochę, ale nie pozwól mu wstać. – Zgramoliłem się z pleców bękarta i podszedłem do drzwi pralni, by mnie widział. – Pragniesz dóbr i tytułu. Sądzisz, że uzyskasz je błaganie?
 - Ten list to nie błaganie.
 - Chcesz fortuny swojego brata. Czyż list od niego nie lepiej przekonałby ojca o twojej wartości?
 - Nigdy nie napisałby takiego listu, a poza tym nie zabiega o względy, bo już je ma.
 - A zatem może rzecz polega na przeniesieniu względów z Edgara na ciebie. Odpowiedni list od niego by to uczynił. List, w którym wyzna niecierpliwość w oczekiwaniu na dziedzictwo i poprosi o twą pomoc w obaleniu ojca.
 - Jesteś szalony, błaźnie. Edgar nie napisałby takiego listu.
 - Nie rzekłem, że by napisał. Masz coś, co napisał własną ręką?
 - Mam list kredytowy, który miał wręczyć kupcowi wełnianemu w Barking Upminster.
 - Czy wiesz, drogi bękarcie, cóż to jest skrytorium?
 - To miejsce w klasztorze, gdzie kopiują dokumenty, biblie i takie inne.
 - A zatem mój pech w urodzeniu jest lekarstwem na twój, albowiem, jako że nie miałem ani jednego rodzica, który by mnie uznał, wychowano mnie w klasztorze, gdzie było takie skrytorium, a tam, tak, nauczono chłopaka kopiować dokumenty. Co ważne przy naszym zamiarze, nauczono go kopiować je dokładnie takim pismem, jakie widział na danej stronicy, jak też na poprzedniej i jeszcze poprzedniej. Literę po

literze, pociągnięcie pióra po pociągnięciu, wszystko pisane niczym ręką człowieka, który od dawna leżał w grobie.

– Jesteś zatem wprawnym fałszerzem? Skoro wychowano cię w klasztorze, czemu jesteś błaznem, a nie mnichem albo kapłanem?

– A czemu ty, syn hrabiego, musisz błagać o łaskę spod dupska ogromnego głupka? Wszyscyśmy bękartami losu. Ułożymy list, Edmundzie?

Jestem pewien, że zostałbym mnichem, gdyby nie matka przełożona. Najbliżej dworu znalazłbym się wtedy, gdybym modlił się o przebaczenie zbrodni wojennych jakiegoś szlachcica. Czyż nie szykowano mnie do mniszego życia od chwili, gdy matka Bazylia znalazła mnie na stopniach opactwa w Dog Snogging¹⁸ nad Ouze?

Nigdy nie znałem swoich rodziców, ale matka Bazylia powiedziała mi raz, że jej zdaniem moją rodzicielką mogła być szalona kobieta z pobliskiej wioski, która utonęła w rzece Ouze wkrótce po tym, jak pojawiłem się na progu. Jeśli tak było, twierdziła zakonnica, to moja matka została dotknięta przez Boga (niczym naturalny błazen), a zatem trafiłem do opactwa jako szczególne, Boże dziecko.

Mniszki, w większości szlachetnie urodzone – drugie i trzecie córki, które nie mogły znaleźć męża odpowiedniego stanu – uwielbiały mnie niczym nowego szczeniaka. Byłem tak maleńki, że matka przełożona nosiła mnie w kieszeni fartucha, i dlatego nazwano mnie Kieszonką. Mały Kieszonka z opactwa w Dog Snogging. Byłem wielką nowością, jako jedyny samiec w tym całkowicie kobiecym świecie, i zakonnice rywalizowały o to, która będzie mnie mogła nosić w kieszeni, choć ja tego nie pamiętam. Później, gdy nauczyłem się chodzić, stawiały mnie na stole podczas posiłków i kazały paradować w tę i z powrotem, wymachując siusiakiem, jedynym podobnym wyrostkiem w damskim otoczeniu. Dopiero w wieku siedmiu lat zorientowałem się, że do śniadania nie trzeba zdejmować spodni. Tak czy owak, zawsze czułem się wśród nich jak ktoś odrębny – odmienna, wyizolowana istota.

Pozwalano mi spać na podłodze w komnatach matki przełożonej, jako że miała tkany dywan, który dostała od biskupa. W zimne noce wolno mi było sypiać pod jej

¹⁸ Snogging, od „snog” – całowanie się, migdalenie się, walenie w ślinę, pojechanie w ślimaka.

pościelą, by ogrzewać jej stopy, chyba że jakaś inna mniszka przysłała do jej łóża w tym samym celu.

Matka Bazylia i ja byliśmy nierozłącznymi towarzyszami, nawet kiedy wyrosłem już z jej kangurzych afektów. Odkąd pamiętam, codziennie chodziłem z nią na msze i modlitwy. Jakże uwielbiałem patrzeć, jak co rano goli się o wschodzie słońca, ostrząc brzytwę na skórzanym pasku i ostrożnie zeskrobując z twarzy niebiesko-czarny zarost. Pokazywała mi, jak ogolić ten mały kawałek pod nosem i jak odciągać skórę na szyi, by nie zaciąć się w jabłko Adama. Była jednak surową panią i musiałem modlić się co trzy godziny jak wszystkie mniszki, a także nosić jej wodę do kąpieli, rąbać drewno, szorować podłogę, pracować w ogrodzie, i jeszcze pobierać lekcje matematyki, katechizmu, łaciny, greki i kaligrafii. W wieku dziewięciu lat umiałem czytać i pisać w trzech językach, a także recytować Żywoty świętych z pamięci. Żyłem po to, by służyć Bogu i zakonnicom z Dog Snogging, licząc na to, że kiedyś wyświęcą mnie na księdza.

I mogłoby się tak stać, gdyby pewnego dnia do opactwa nie przybyli robotnicy, kamieniarze i murarze, którzy w ciągu kilku dni przebudowali jeden z nieużywanych korytarzy na celę. Mieliśmy mieć własnego anachoretę, czy też w naszym przypadku raczej anachoretkę. Służebnicę tak oddaną Bogu, że zamuruje się w celi z małym otworem, przez który będzie jej podawane jedzenie i woda, i spędzi tam resztę życia, stając się dosłownie częścią kościoła, modląc się i dzieląc przez okienko mądrością z ludem wioski, dopóki nie zostanie zabrana na łono Pana. Zaraz po męczeństwie był to najświętszy akt oddania.

Codziennie wykradałem się z kwater matki Bazylia, by sprawdzić postęp robót nad celą, w nadziei że w jakiś sposób ogrzeję się w blasku łaski, która spadnie na anachoretkę. Jednakże gdy ściany rosły, zauważyłem, że nie ma okna na zewnątrz, miejsca z którego wieśniacy mogliby odbierać błogosławieństwa, jak nakazywał obyczaj.

– Nasza anachoretka będzie nadzwyczaj szczególna – wyjaśniła matka Bazylia swoim jednostajnym barytonem. – Jest tak pobożna, że skieruje oczy jedynie na tych, którzy przynoszą jej żywność. Nic nie będzie jej odwodziło od modłów o zbawienie króla.

– Odpowiada za króla?

– We własnej osobie – odparła.

My wszyscy byliśmy zobowiązani, za opłatą, modlić się o przebaczenie dla hrabiego Sussex, który zarzął tysiące niewinnych podczas ostatniej wojny z Belgami i miał się smażyć w piekielnym ogniu, o ile nie odprawimy jego pokuty, która zgodnie z ogłoszeniem samego papieża wynosiła siedem milionów zdrowasiek na każdego chłopca. (Nawet biorąc pod uwagę dyspensę i kupon na pięćdziesięcioprocentową zniżkę, nabyty w Lourdes, hrabia otrzymywał najwyżej tysiąc zdrowasiek za pensję, więc Dog Snogging stawało się dzięki jego grzechom bardzo bogatym klasztorem). Ale nasza anachoretka miała odpowiadać za grzechy samego króla. Powiadano, że popełnił trochę niegodziwości jak się patrzy, zatem jej modlitwy musiały być doprawdy potężne.

– Proszę, matko, pozwól mi nosić jedzenie anachoretce.

– Nikt nie może jej widzieć ani z nią rozmawiać.

– Ale ktoś musi nosić jej jedzenie. Pozwól mnie to robić. Obiecuję, że nie będę patrzył.

– Poradzę się Pana.

Nigdy nie zobaczyłem przybycia anachoretki. Krążyła po prostu plotka, że jest w opactwie, a murarze ułożyli kamienie wokół niej. Mijały tygodnie, a ja błagałem matkę przełożoną o przydzielenie mi świętego zadania karmienia pustelnicy, ale dopiero pewnego wieczoru, gdy matka Bazylia musiała spędzić noc sama z młodą siostrą Mandy, modląc się na osobności o wybaczenie tego, co nazywała „trzaskaniem lubieżnego podróżnika”, pozwolono mi zaopiekować się anachoretką.

– Właściwie – powiedziała wielebna – zostań tam, pod jej celą, aż do rana, i przekonaj się, czy nabędziesz choć trochę pobożności. Nie wracaj przed porankiem. Późnym porankiem. A jak będziesz wracał, przynieś herbatę i parę bułek. I jeszcze marmoladę.

Myślałem, że pęknięcie, tak byłem rozemocjonowany, gdy pierwszy raz spojrzałem w długi, ciemny korytarz, niosąc talerz sera i chleba oraz dzban piwa. Spodziewałem się niemal, że zobaczę chwałę Bożą, sączącą się przez okienko, ale gdy dotarłem na miejsce, ujrzałem nie okienko, tylko otwór strzelniczy w kształcie krzyża o zwężających się krawędziach, jak w murze zamkowym. Zupełnie jakby murarze znali tylko jeden wzór otworu, jaki można umieścić w grubej ścianie. (Zabawne, że otwory strzelnicze i rękojeści mieczy, mechanizmy śmierci, tworzą kształt krzyża – znaku litości – choć po namyśle sądzę, że i on sam w sobie był mechanizmem śmierci). Otwór był akurat na tyle szeroki, by zmieścił się w nim dzban. Talerz ledwo

przechodził przez ten krzyż. Czekałem. Żadne światło nie dobyło się z wnętrza celi. Jedyne oświetlenie stanowiła świeca na ścianie naprzeciwko otworu.

Byłem przerażony. Nasłuchiwałem, by sprawdzić, czy anachoreтка odmawia nowenny. Nie usłyszałem nawet oddechu. Czyżby spała? Jakim grzechem byłoby przeszkodzenie w modlitwach komuś tak świętemu? Postawiłem talerz i piwo na posadzce, po czym spróbowałem przeniknąć spojrzeniem mrok celi, chcąc być może dostrzec jej blask.

I wtedy to zobaczyłem. Słabe migotanie świecy, odbijające się w oku. Siedziała tam, góra dwie stopy od otworu. Odskokczyłem pod przeciwległą ścianę, przewracając przy tym piwo.

– Przestraszyłam cię? – rozległ się kobiecy głos.

– Nie. Nie, ja tylko, ja... Wybacz mi. Wstrząsnęła mną twoją pobożność.

Wtedy się roześmiała. Był to smutny śmiech, jakby wstrzymywany przez długi czas i uwolniony jako coś bliskiego łkaniu. Tak czy owak, ona się śmiała, a ja czułem się zagubiony.

– Przepraszam, pani...

– Nie, nie, nie, nie przepraszaj. Nie waż się przepraszać, chłopcze.

– Nie będę.

– Jak się nazywasz?

– Kieszonka, matko.

– Kieszonka – powtórzyła i jeszcze raz się zaśmiała. – Rozlałeś mi piwo.

– Przynieść więcej?

– Jeśli nie chcesz, żeby chwała mojej cholernej boskości spaliła nas oboje, lepiej przynieś, co, przyjacielu Kieszonko? A kiedy wrócisz, chcę, żebyś opowiedział historię, która mnie rozśmieszy.

– Tak, matko.

I tego dnia mój świat się zmienił.

– Przypomnij mi, czemu po prostu nie zamordujemy mojego brata? – poprosił Edmund.

Od żalostnej pisaniny, przez spisek, po morderstwo – Edmund szybko się uczył, gdy szło o łotrostwo.

Z piórem w dłoni zasiadłem do stołu w swoim małym mieszkanku nad barbakanem, dużą budowlą strażniczą w zewnętrznym murze zamku. Mam swój kominek, stół, dwa stołki, łóżko, kredens na moje rzeczy, haczyk na czapkę i ubranie, a pośrodku stoi duży kocioł do ogrzewania i lania wrzącego oleju na oblegających, przez rynny w podłodze. Pomijając szczęk wielkich łańcuchów przy podnoszeniu i opuszczaniu mostu zwodzonego, jest to całkiem przytulna norka, w której można uprawiać spanie albo inne dyscypliny w pozycji leżącej. Co najważniejsze, zapewnia prywatność dzięki potężnemu skoblowi na drzwiach. Nawet wśród szlachty prywatność jest rzadka, jako że kwitną tu spiski.

– Chociaż to pociągający pomysł, to dopóki Edgar nie zostanie zhańbiony, wydziedziczony, a jego dobra nie będą dobrowolnie przekazane tobie, ziemie i tytuł mogą przejść na jakiegoś kuzyna z prawego łóża albo, co gorsza, twój ojciec może zechcieć zapewnić sobie nowego prawowitego dziedzica.

Lekko wtedy zadrżałem – jak sądzę, wraz z tuzinem panien w królestwie – na wizję zwiędłych lędźwi Glouceстера, obnażonych i majstrujących dziedzica na ich szlachectwie na wydaniu. Drapałyby jak szalone drzwi klasztoru, byle uniknąć tego zaszczytu.

– O tym nie pomyślałem – stwierdził Edmund.

– Doprawdy, nie myślisz? Wstrząsające. Choć zwykle otrucie wydaje się czystsze, list stanowi ostrzejszą broń. – Jeśli dam łajdakowi odpowiedni sznur, wisielec może spełnić zamiary nas obu. – Mogę sporządzić taki list, subtelny, lecz pogrążający. Zostaniesz hrabią Gloucester, nim zdążysz kazać przysypać wciąż drżące ciało ojca ziemią. Ale list może nie wystarczyć.

– Mów wprost, błaznie. Choć gorąco bym pragnął uciszyć twój jazgot, mów.

– Król darzy względami twego ojca i twego brata, dlatego ich tu wezwano. Jeśli Edgar zaręczy się z Kordelią, co może nastąpić przed jutrznią... Cóż, z posagiem księżniczki w ręce nie miałby powodu oddawać się zdradzie, w którą zamierzamy go wpłatać. Zostaniesz z odsłoniętymi kłami, Edmundzie, a prawowity syn jeszcze na tym zyska.

– Dopilnuję, by się nie zaręczył z Kordelią.

– Jak? Opowiesz mu straszne rzeczy? Wiem z pewnych źródeł, że jej stopy wyglądają jak rzeczne barki. Podwiązują je pod suknią, by nie klaskały, gdy chodzi.

– Dopilnuję, by nie było małżeństwa, konusie, nie martw się. Ale musisz zająć się tym listem. Jutro Edgar rusza do Barking, by dostarczyć listy kredytowe, a ja z ojcem wrócę do Gloucester. Wtedy postaram się, by list do niego trafił, a gniew tylko się zaogni pod nieobecność Edgara.

– Szybko, nim zmarnuję pergamin, obiecaj, że nie pozwolisz, by Edgar poślubił Kordelię.

– Dobrze, błaznie, uczynię to, lecz ty obiecaj nikomu nie powiedzieć, żeś pisał ten list.

– Obiecuję – powiedziałem. – Na jajca Wenus.

– Zatem obiecuję i ja – odrzekł bękart.

– Niech więc będzie – powiedziałem, maczając pióro w inkauscie – choć morderstwo to prostszy plan. – O brata bękart, Edgara, też nigdy nie dbałem. Szczery to człek i otwarty. Nie ufam nikomu, kto wydaje się tak godny zaufania. Na pewno coś knuje. Oczywiście, Edmund dyndający z czarnym językiem na szubienicy za zabójstwo brata też stanowiłby odświętny kandelabr. Błazen uwielbia przyjęcia.

W pół godziny ułożyłem list tak przebiegły i okraszony zdradą, że każdy ojciec na jego widok udusiłby syna, a potem zmiażdżył własne jaja młotem bojowym, by zapobiec narodzinom kolejnych spiskowców. Było to arcydzieło zarówno fałszerstwa, jak i manipulacji. Porządnie osuszyłem go bibułą, po czym podniosłem, by pokazać Edmundowi.

– Potrzebny mi twój sztylet, panie – oznajmiłem.

Edmund sięgnął po list, a ja oddaliłem się tanecznym krokiem.

– Najpierw nóż, mój dobry bękartcie.

Edmund parsknął śmiechem.

– Weź sztylet, błaznie. Nie jesteś wcale bezpieczniejszy, wciąż mam miecz.

– Owszem, sam ci go dałem. Potrzebny mi sztylet, by odciąć pieczęć z listu kredytowego, a potem przylepić go do tego pisma. Możesz ją złamać tylko w obecności ojca, jakbyś dopiero wtedy odkrył czarną naturę swego brata.

– A – powiedział Edmund.

Dał mi nóż. Wykonałem sztuczkę z woskiem i świecą, po czym oddałem broń wraz z listem. (Czy mogłem użyć do tego celu jednego z własnych noży? Ma się rozumieć, ale nie była to pora, by Edmund się o nich dowiedział).

Ledwie list znalazł się w jego kieszeni, a już wyciągnął miecz i przytknął mi go do gardła.

– Chyba mogę zapewnić sobie twoje milczenie czymś lepszym niż obietnica.

Ani drgnąłem.

– Narzekasz więc, żeś zrodził się bez łask, a jaką łaskę zyskasz, zabijając królewskiego błazna? – zapytałem. – Wielu strażników widziało, że tu wchodzisz.

– Podejmę ryzyko.

W tej chwili wielkie łańcuchy, przebiegające przez moją izbę, zatrzęsły się, brzęcząc tak, jakby przykuto do nich setkę cierpiących więźniów, a nie kawał dębu i żelaza. Edmund rozejrzał się, a ja czmychnąłem w przeciwną stronę pomieszczenia. Wiatr wdarł się przez otwory strzelnicze, służące mi za okna, i zgasił świecę, której użyłem do stopienia wosku. Bękart odwrócił się w stronę otworów, a izba pogrążyła się w ciemności, jakby ktoś nakrył światło dnia peleryną. Złocista postać kobiety zamigotała w powietrzu na tle ciemnej ściany.

Duch powiedział:

Każdy na tysiącletnie skazan będzie męki

Gdy na błazna krzywda spadnie z jego ręki.

Ledwie widziałem Edmunda w blasku rozsiewanym przez widmo. Cofał się ku drzwiom prowadzącym na zachodni mur i gorączkowo szukał dłonią klamki. Potem odryglował drzwi i w jednej chwili znalazł się za nimi. Moje mieszkanko zalało światło i przez szczeliny w kamieniu znowu widziałem Tamizę.

– Zgrabnie zrymowane, zjawo – powiedziałem. – Zgrabnie zrymowane.

4

POMIĘDZY SMOKA I GNIEW JEGO¹⁹

– Nie rozpaczaj, chłopie – powiedziałem do Degustatora. – To tylko wygląda tak ponuro. Bękart powstrzyma Edgara, a jestem pewien, że księżęta Francji i Burgundii dymają się nawzajem i nie pozwolą, żeby stanęła między nimi jakaś księżniczka. Choć idę o zakład, że pożyczyliby sobie jej bieliznę, gdyby nie była strzeżona. Na razie jesteśmy ocaleni. Kordelia pozostanie w Białej Wieży, by mnie po staremu dręczyć.

Znajdowaliśmy się w przedsionku wielkiej sali. Degustator siedział, trzymając się za głowę, i wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle, a na stole przed nim piętrzyła się góra jedzenia.

– Król nie lubi daktyli, prawda? – spytał. – Raczej nie zje ani jednego z tych, które dostał w darze.

– Podarowała je Goneryla albo Regana?

– Tak, przyniosły ich całą spiżarnię.

– Przykro mi, chłopie, masz zatem wiele pracy. Nie pojmuję, jakim cudem nie jesteś gruby jak mnich, skoro musisz tyle jeść.

– Bańka mówi, że w moim tyłku musi żyć całe miasto robaków, ale to nie to. Zdradzę ci tajemnicę, jeśli nikomu nie powiesz.

– Śmiało, chłopie, prawie cię nie słucham.

– A co z nim? – Głową wskazał Śliniaka, który siedział w kącie i głaskał jednego z zamkowych kotów.

– Śliniaku! – zawołałem. – Czy tajemnica Degustatora będzie u ciebie bezpieczna?

¹⁹ *Król Lir*, akt I, scena 1, *Król Lir*.

– On jest ciemny jak zdmuchnięta świeca – odezwał się przyglądając moim głosem. – Wyznanie tajemnicy Śliniakowi przypomina lanie atramentu do nocnego morza.

– Widzisz – powiedziałem.

– Cóż – rzekł Degustator, rozglądając się dookoła, jakby ktoś mógł zapragnąć przebywania w naszym żalonym towarzystwie. – Choruję.

– Pewnie, że chorujesz, to cholerne średniowiecze, wszyscy cierpią na jakąś ospę albo kiłę. Chyba nie masz trądu i nie zrzucasz palców, jak róża płatki?

– Nie, nie tak chory. Po prostu wymiotuję niemal za każdym razem, gdy jem.

– Czyli jesteś małym rzygaczem. Nie ma się czym martwić, trzymasz to w sobie na tyle długo, by cię zabiło, prawda?

– Tak sądzę. – Skubnął nadziewanego daktyla.

– Zatem obowiązek spełniony. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ale wracając do moich zmartwień: myślisz, że książęta Francji i Burgundii to sodomici²⁰, czy, no wiesz, po prostu pieprzeni Francuzi?

– Nigdy ich nawet nie widziałem.

– Ach, słusznie. A ty, Śliniaku? Śliniaku? Przestań! Śliniak wyciągnął z ust przemoczonego kociaka.

– Ale on lizał mnie pierwszy. Mówiłeś, że dobre maniery nakazują...

– Chodziło mi o coś zupełnie innego. Odłóż tego kota.

Ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i do pomieszczenia wśliznął się hrabia Kentu, równie bezgłośny jak kościelny dzwon bijący w dole. Kent to potężny, szeroki w barach byk i choć porusza się z wielką siłą jak na swój starczy wiek, Gracja i Subtelność pozostają w jego świetle zarumienionymi dziewczycami.

– Tu jesteś, chłopcze.

– Chłopcze? – powtórzyłem. – Nie widzę tu żadnego chłopca.

Prawda, sięgam Kentowi tylko do ramienia i trzeba by przynajmniej dwóch takich jak ja i jeszcze prosięcia, by wyrównać szale wagi, ale nawet błazen wymaga odrobiny szacunku, choć, ma się rozumieć, nie dotyczy to króla.

– Dobrze, dobrze. Chciałem tylko powiedzieć, byś nie drwił dziś wieczór ze słabości czy wieku. Król cały tydzień prawił o „pójściu do grobu bez obciążeń”. Pewnie chodzi o ciężar jego grzechów.

²⁰ Sodomita – homoseksualista.

– Lecz gdyby nie był tak kurewsko stary, nie kusilyby mnie kpiny, prawda? Nie moja to wina.

Kent uśmiechnął się.

– Kieszonko, wszak nie skrzywdziłbyś umyślnie swojego pana.

– To prawda, a że w sali znajdują się też Goneryla, Regana i ich lordowie, nie będzie potrzeby naśmiewać się ze starości. Czy to dlatego król w tym tygodniu dotrzymywał towarzystwa tylko tobie? Rozmyślał o swym wieku? Nie planował małżeństwa Kordelii?

– Mówił o nim, ale tylko jako o części całego swego dziedzictwa, włości i historii. Kiedy go ostatnio opuszczałem, wydawał się zdecydowany, by w królestwie utrzymać spokój. Odprawił mnie, by udzielić prywatnej audiencji bękartowi Edmudowi.

– Rozmawia z Edmudem? Sam?

– Owszem. Bękart nawiązał do wielu lat wiernej służby swego ojca.

– Muszę iść do króla. Kencie, zostań tu ze Ślimakiem, jeśli łaska. Jadło i napitki podtrzymają cię na duchu. Degustatorze, pokaż Kentowi najlepsze z tych daktyli. Degustatorze? Śliniaku, potrząśnij nim, zdaje się, że usnął.

Wtedy rozbrzmiała fanfara z pojedynczej, anemicznej trąbki, jako że trzej pozostali trębacze zapadli niedawno na opryszczkę. (Pęcherz na wardze jest dla trębacza gorszy niż strzała w oku. Kanclerz dał im wolne, a może po prostu zajęli się grą na bębnach. Nie odgrywali cholernej fanfary i o to mi tylko chodzi).

Śliniak odłożył kociaka, wstał i melodyjnym, kobiecym głosem powiedział:

Trzem córkom los szykuje potężną obrazę,

Przebóg, królem wnet zostanie błazen.

– Gdzie to słyszałeś? Kto to powiedział?

– Ładna – odrzekł Śliniak, masując powietrze wielkimi, mięsistymi dłońmi, jakby pieścił kobiece piersi.

– Pora iść – powiedział Kent. Stary wojownik otworzył na oścież drzwi do sali.

Wszyscy stali wokół wielkiego stołu – okrągłego, na pamiątkę jakiegoś zapomnianego króla – środek otwierał się na podłogę, gdzie służdy usługiwali, mówcy mówili, a Śliniak i ja występowaliśmy. Kent zajął swoje miejsce przy królewskim tronie. Ja stanąłem z kilkoma strażnikami przy ogniu i dałem Śliniakowi znak, by znalazł sobie kryjówkę za jedną z kamiennych kolumn, które podpierały sklepienie. Błaźni nie mają miejsca przy stole. Na ogół służyłem u stóp króla, rzucając podczas posiłku dowcipne uwagi, słowa krytyki i genialne spostrzeżenia, ale dopiero po tym, jak mnie wezwał. Lir nie wzywał mnie od tygodnia.

Wszedł do pomieszczenia z uniesioną głową, krzywiąc się po kolei do gości, aż jego oczy rozbłysły na widok Kordelii i uśmiechnął się. Dał wszystkim znak, by usiedli, a oni usłuchali.

– Edmundzie – powiedział król – przyprowadź ksiąząt Francji i Burgundii.

Edmund pokłonił się królowi i cofnął w stronę głównego wejścia, po czym spojrział na mnie, puścił oko i skinął, bym do niego dołączył. Strach urósł w mojej piersi niczym czarny wąż. Co zrobił bękart? Powinienem być poderżnąć mu gardło, kiedy miałem okazję.

Przemknąłem przy bocznej ścianie, lecz dzwoneczki na czubkach moich butów skutecznie przeszkodziły mi w zamaskowaniu tego ruchu. Król popatrzył na mnie, a potem odwrócił wzrok, jakby od mojego widoku mogły zepsuć się oczy.

Za drzwiami Edmund pociągnął mnie mocno na stronę. Zwalisty wartownik przy drzwiach opuścił o cal swoją halabardę i zmarszczył brwi, spoglądając na bękart. Edmund puścił mnie i popatrzył ze zdumieniem, jakby zdradziła go jego własna ręka.

(Przynoszę strażnikom jedzenie i napitki, jeśli pełnią służbę podczas uczt. Zdaje się, że w Pomroczości Świętego Pesto głoszą: „W dziewięciu przypadkach na dziesięć, potężny przyjaciel z ostrzem na drzewcu istnym błogosławieństwem się okaże”).

– Czegoś nawarzył, bękarcie? – szepnąłem z wielką furią i sporą ilością śliny.

– Tylko tego, czego chciałeś, błaźnie. Twoja księżniczka nie będzie miała męża, mogę cię o tym zapewnić, ale nawet twoje czary ci nie pomogą, jeśli ujawnisz moją strategię.

– Moje czary? Co? A, duch.

– Tak, duch, i jeszcze ptak. Kiedy szedłem przez blanki, kruk nazwał mnie pacanem i usiadł mi na ramieniu.

– Tak, moi słudzy są wszędzie – powiedziałem – i słusznie obawiasz się mej biegłej znajomości ciał niebieskich, władzy nad duchami i takimi różnymi. Lecz zanim poszczuję cię czymś paskudnym, mów, coś powiedział królowi?

Edmund posłał mi uśmiech, który wzbudził we mnie większy niepokój niż jego broń.

– Dzisiaj słyszałem, jak księżniczki rozmawiały między sobą o swoich uczuciach wobec ojca i dane mi było poznać ich charaktery. Ledwie nadmieniałem królowi, że mógłby ulżyć swoim zgryzotom dzięki tej samej wiedzy.

– Jakiej wiedzy?

– Idź i sam się dowiedz, błaznie. Ja mam przyprowadzić adoratorów Kordelii.

I poszedł. Strażnik przytrzymał drzwi, a ja wśliznąłem się z powrotem do sali i zająłem miejsce w pobliżu stołu.

Najwyraźniej król dopiero skończył coś w rodzaju sprawdzania listy obecności – wymawiał imię każdego przyjaciela i członka rodziny na dworze, wyznawał swoje przywiązanie do nich, w wypadku zaś Kenta i Glouceстера przywoływał także długą historię ich wspólnych bitew i podbojów. Król jest przygarbiony, siwowłosy i drobny, ale w jego oczach wciąż płonie zimny ogień. To oblicze przywołuje na myśl drapieżnego, ułożonego do polowań ptaka, który właśnie ruszył na łów po zdjęciu kaptura.

– Jestem stary i waga odpowiedzialności oraz włości bardzo mi ciąży, więc aby na przyszłość uniknąć konfliktów, proponuję już teraz podzielić królestwo między młodsze potęgi. Wtedy pójdę do grobu z lekkim sercem.

– Cóż może być lepszego niż marsz do grobu z lekkim sercem? – powiedziałem cicho do księcia Kornwalii, tej nikczemnej cipy.

Przykucnąłem pomiędzy nim a jego żoną, Reganą. Księżna Regana: wysoka, ładna, kruczowłosa, ze słabością do sukien z czerwonego aksamitu, a także do łajdaków. Obie te poważne wady nie wyszły na dobre Waszemu gawędziarzowi.

– O, Kieszonko, czy dostałeś nadziewane daktylę, które ci wysłałam? – spytała Regana.

W dodatku szczodra do przesady.

– Cii, pączku zajączku – syknąłem. – Ojciec mówi.

Książę Kornwalii wyciągnął sztylet, a ja przesunąłem się wzdłuż stołu do Goneryli. Lir ciągnął:

– Te włości i władzę rozdzielię pomiędzy swoich zięciów, księcia Albanii i księcia Kornwalii, a także tego, który poślubi moją ukochaną Kordelię. Aby jednak określić, komu powinna przypaść najhojniejsza część, zapytuję swoje córki: która z was kocha mnie najbardziej? Gonerylo, tyś najstarsza, mów pierwsza.

– Nie ma pośpiechu, tłścioszku – szepnąłem.

– Słyszałam, błaznie – warknęła, po czym z szerokim uśmiechem i niemałą gracją okrążyła stół, kierując się do otworu pośrodku i kłaniając po drodze wszystkim gościom. Jest niższa i nieco bardziej zaokrąglona od sióstr, obficie wyściełana na tyłku, jej oczy mają barwę szmaragdów z lekką nutą szarości nieba, a włosy są rude z nutą złotego słońca. Jej uśmiech raduje oczy niczym woda język oszalałego z pragnienia żeglarza.

Wśliznąłem się na jej krzesło.

– Piękna z niej istota – powiedziałem do księcia Albanii. – Ta jedna pierś, która lekko przekrzywia się w bok... to znaczy, kiedy jest naga... zupełnie ci to nie przeszkadza? Nie zastanawiasz się, na co tam patrzy? Tak jak podczas rozmowy z zezowatym, masz wrażenie, że mówisz do kogoś innego?

– Cicho, błaznie – odparł książę. Jest niemal o dwadzieścia lat starszy od Goneryli, obleśny i tępy, moim zdaniem, a jednak to nie taki łajdak, jak przeciętny szlachcic. Nie gardzę nim.

– Zauważ, że to bez dwóch zdań część pary, a nie jakaś zabłąkana pierś w drodze na swoją wyprawę. Lubię w kobietach odrobinę asymetrii, nabieram podejrzeń na widok zbytnej równości w naturze. Groza symetrii i tak dalej. Ale to nie tak, że gzisz się z garbusem czy coś... to znaczy, jak już leży na plecach, ani jedna, ani druga nie patrzy ci w oczy, czyż nie?

– Zamknij się! – szczeknęła Goneryla, odwróciwszy się plecami do ojca, czego nigdy czynić nie należy, by mnie zbesztać. Cholernie kiepskie maniery.

– Przepraszam. Mów – powiedziałem, machając jej Jonesem, który radośnie zadzwonił.

– Panie – zwróciła się do króla – kocham cię bardziej, niż można wyrazić słowami. Kocham cię bardziej niż wzrok, przestrzeń i wolność. Kocham cię bardziej niż wszystko, co można wycenić, co kosztowne lub rzadkie. Nie mniej niż samo życie, grację, zdrowie, piękno i honor. Żaden ojciec, żadne dziecko nie kochało tak bardzo, jak ja kocham ciebie. Ta miłość zapiera mi dech i ledwo mogę mówić. Kocham cię bardziej niż każdą rzecz, nawet placek.

– Oj, bzdury!

Kto to powiedział? Byłem niemal pewien, że to nie był mój głos, nie dobył się bowiem z tej dziury w mojej twarzy, co zwykle, a Jones też milczał. Kordelia? Zeskoczyłem z krzesła Goneryli i podbiegłem do młodej księżniczki, kuląc się, by uniknąć zwracania uwagi lub latających sztućców.

– Cholerne, pieprzone bzdury! – oznajmiła Kordelia.

Lir, odświeżony prysznicem ukwieconych bredni, odezwał się:

– Co?

Wtedy wstałem.

– Cóż, panie, choć miłość budzisz, zapewnienia jaśnie pani umykają wiarygodności. To nie sekret, że suka nade wszystko uwielbia placki. – Znowu szybko przykucnąłem.

– Milcz, błaznie! Szambelanie, przynieś mi mapę.

Próba odwrócenia uwagi podziałała i gniew króla przeniósł się z Kordelii na mnie. Skorzystała z okazji, by dźgnąć mnie widelcem w małżowinę uszną.

– Auć! – wycedziłem szeptem, lecz z emfazą. – Zdzira.

– Łotr.

– Harpia.

– Szczur.

– Kurwa.

– Kurwiarz.

– Czy aby być kurwiarzem, trzeba im płacić? Bo ściśle rzecz biorąc...

– Cii – przerwała mi z uśmiechem. Znowu ukłuła mnie w ucho, po czym głową wskazała króla na znak, że powinniśmy uważać.

Król wycelował w mapę zdobny w klejnoty sztylet.

– Wszystkie te ziemie, stąd dotąd, z żyznymi polami, pełnymi ryb rzekami i głębokimi lasami, przekazuję Goneryli i jej mężowi księciu Albanii, a także ich potomkom po wsze czasy. A teraz musimy wysłuchać drugiej córki. Najdroższa Regano, żono księcia Kornwalii. Mów.

Regana wyszła na środek, a gdy mijała swoją starszą siostrę Gonerylę, spojrzała na nią z góry, jakby chciała powiedzieć: „ja ci pokażę”.

Rozpostarła ręce, ciągnąc długimi, aksamitnymi rękawami po posadzce, tak że nabrała kształtu dużego, piersiastego krucyfiksu. Popatrzyła w sklepienie, jakby czerpała inspirację z samych ciał niebieskich, aż w końcu oznajmiła:

– To, co ona powiedziała.

– Hę? – powiedział król, a owo „hę” poniosło się echem po pomieszczeniu.

Regana jakby zdała sobie sprawę, że powinna chyba kontynuować.

– Moja siostra dokładnie wyraziła moje myśli, jakby zaglądała w moje notatki jeszcze zanim tu weszłyśmy. Tyle, że ja kocham cię bardziej. Wszystkie zmysły zawodzą i nie porusza mnie nic z wyjątkiem miłości do ciebie. – Wtedy się pokłoniła, leciutko podnosząc wzrok, by sprawdzić, czy ktokolwiek to kupuje.

– Niedobrze mi – powiedziała Goneryla i zabrzmiało to nieco głośniejszym niż powinno, podobnie jak odgłosy krztuszenia się i dławienia, które nastąpiły później.

Dla odwrócenia uwagi wstałem i rzekłem:

– Ośmielę się powiedzieć, że poruszyło ją coś więcej niż miłość do Jego Królewskiej Mości. W tej tylko sali mogę wymienić...

Król posłał mi swoje najlepsze spojrzenie pod hasłem „czy muszę ściąć ci głowę?”, więc umilkłem. Skinął głową i spojrzał na mapę.

– Reganie i księciu Kornwalii zostawiam tę trzecią część królestwa, nie mniejszą ani mniej cenną od tej, którą przekazałem Goneryli. A teraz, Kordelio, nasza radości, do której zaleca się tak wielu szacownych, młodych szlachciców, co możesz mi powiedzieć, by otrzymać część bogatszą niż swoje siostry?

Kordelia stanęła przy swoim krześle, nie wychodząc na środek, jak tamte.

– Nic.

– Nic? – spytał król.

– Nic.

– Za nic dostaniesz nic – oznajmił Lir. – Powiedz coś innego.

– Cóż, trudno ją winić, prawda? – wtrąciłem. – To znaczy, daleś już lepsze kawałki Goneryli i Reganie, czyż nie? Co zostało? Kawałek Szkocji, tak kamienisty, że owca zdechłaby z głodu, i ta smrodliwa rzeka pod Newcastle? – Pozwoliłem sobie podejść do mapy. – Rzekłbym, że nic to dobry początek negocjacji. Powinieneś odpowiedzieć Hiszpanią, Wasza Wysokość.

Kordelia przeszła na środek pomieszczenia.

– Wybacz, ojczy, że nie umiem unieść serca do ust, jak moje siostry. Kocham cię, jak powinna kochać córka, ni mniej, ni więcej.

– Uważaj, co mówisz, Kordelio – ostrzegł Lir. – Twój posag topnieje z każdym słowem.

– Panie, spłodziłeś mnie, wychowałeś i kochałeś. Odwzajemniam te powinności jak należy: słucham cię, Kocham i oddaję ci cześć. Ale jak moje siostry mogą mówić, że Kochają cię ponad wszystko? Mają wszak mężów. Nie powinny zostawić odrobiny miłości dla nich?

– Tak, ale czy poznałaś tych mężów? – rzekłem.

Z różnych miejsc wokół stołu dobiegły powarkiwania. Jak można się uważać za szlachcica, jeśli zaczyna się warczeć bez żadnego powodu? Toż to w złym guście.

– Gdy wezmę ślub, możesz być pewien, że mój mąż otrzyma przynajmniej połowę mojej troski i miłości. Gdybym powiedziała coś innego, skłamałabym.

Byłem pewien, że to sprawka Edmunda. Skądś wiedział, że Kordelia odpowie w ten sposób, i przekonał króla, by zadał pytanie. A ona nie miała pojęcia, że ojciec od tygodnia zmagają się ze swoją śmiertelnością i wartością. Przyskoczyłem do księżniczki i wyszeptalem:

– Teraz kłamstwo byłoby większą cnotą. Później odprawisz pokutę. Rzuć staremu kość, moja panno.

– Zatem tak właśnie czujesz? – spytał król.

– Tak, mój panie. Właśnie tak.

– Taka młoda i taka nieczuła – stwierdził Lir.

– Taka młoda, panie, i szczerą – odparła.

– Taka młoda i cholernie głupia – rzuciła lalka Jones.

– Dobrze, dziecko. Niech będzie. Niech twoja szczerota stanie się przeto twym posagiem. Na blask słońca, ciemność nocy, wszystkich świętych, Matkę Boską, ciała na niebie i samą naturę, wydziedziczam cię.

W swojej duchowości Lir był – no cóż – elastyczny. Zmuszony do przekleństwa albo błogosławieństwa, przywoływał czasami bogów z kilku panteonów, by mieć pewność, że usłyszy go ten, który akurat tego dnia pełni służbę.

– Żadne posiadłości, ziemie ani tytuły nie będą twoimi. Ludożercy z mrocznej Meryki, którzy własne dzieci sprzedaliby na targu mięsny, bliżsi mi będą niż ty, moja była córko.

Zastanowiło mnie to. Nikt nigdy nie widział Merykanina, plemię to bowiem mityczne. Legenda głosi, że w imię zysku zaiste sprzedają kończyny własnych dzieci jako żywność – to było zanim spalili świat, ma się rozumieć. Jako że w najbliższym czasie nie spodziewałem się wizyty państwowej ludożerczych kupców apokalipsy,

wyglądało na to, że mój suzeren albo naciąga metaforę, albo przemawia językiem toczącego pianę szaleńca.

Wtedy wstał Kent.

– Miłościwy królu!

– Usiądź, Kencie! – warknął król. – Nie wchodź pomiędzy smoka i gniew jego. Najbardziej ją ukochałem i żywiłem nadzieję, że zaopiekuje się mną na starość, ale skoro nie dość mnie kocha, tylko w grobie Lir zazna spokoju.

Kordelia wydawała się bardziej zdumiona niż zraniona.

– Ale, ojczec...

– Precz z mego oblicza! Gdzie księżę Francji? Gdzie księżę Burgundii? Skończmy tę sprawę! Gonerylo, Regano, część królestwa, która miała przypaść waszej siostrze, zostanie podzielona między was. Niech Kordelia poślubi własną dumę. Panowie Kornwalii i Albanii po równo podzielą się władzą i włościami króla. Zachowam swój tytuł i pensję, wystarczającą na utrzymanie stu rycerzy i ich wierzchowców. Będziecie gościć mnie w swoich zamkach, na przemian po jednym miesiącu, ale królestwo będzie wasze.

– Miłościwy Lirze, to szaleństwo! – znowu wyrwał się Kent, tym razem obchodząc stół, by stanąć na środku.

– Ostrożnie, Kencie – odparł król. – Łuk mojego gniewu jest naciągnięty, bacz, bym nie wypuścił strzały.

– Wypuść, jeśli musisz. Zabiłbyś mnie, bo ośmielam się powiedzieć ci, żeś oszalał? W lojalności najlepsze jest to, że człek lojalny ma odwagę mówić otwarcie, gdy jego wódz popada w obłąd. Cofnij swą decyzję, panie. Najmłodsza córka nie kocha cię mniej, bo jest cicha, a kto mówi najgłośniej, nie zawsze jest najszczęśliwszy.

Starsze siostry i ich mężowie zerwali się na te słowa na nogi, a Kent zgromił ich wzrokiem.

– Dosyć, Kencie – ostrzegł król. – Na twe życie, ani słowa więcej.

– A czym było kiedykolwiek me życie, jeśli nie narażałem go w twojej służbie? Dla twojej obrony? Możesz mi grozić, ale to mnie nie powstrzyma przed mówieniem ci, że źle czynisz, panie!

Lir zaczął wyciągać miecz i zyskałem pewność, że naprawdę zatracił całą zdolność oceny sytuacji, nawet jeśli zwrócenie się przeciwko ulubionej córce i najbliższemu doradcy jeszcze tego nie dowiodło. Gdyby Kent postanowił się bronić, ściałby starca niczym kosa żdźbło pszenicy. Wszystko działo się zbyt szybko, nawet

głupiec nie mógł dowcipem powstrzymać królewskiej klingi. Mogłem tylko patrzeć. Ale księżę Albanii przemknął wzdłuż stołu i powstrzymał rękę monarchy, wpychając miecz z powrotem do pochwy.

Kent uśmiechnął się – stary wyga – i zobaczyłem, że wcale nie wyciągnąłby broni na starca. Zginałby, byle udowodnić królowi swoją rację. Co więcej, Lir też o tym wiedział, lecz w jego oczach nie było litości, a szaleństwo stało się zupełnie zimne. Wyrwał się z uścisku księcia Albanii i ten się cofnął.

Gdy Lir przemówił znowu, głos miał cichy i opanowany, ale podszyty nienawiścią.

– Posłuchaj mnie, zdradziecka łasico. Nikt nie podważa mojej władzy, moich decyzji ani zobowiązań. Na ziemi brytyjskiej oznacza to śmierć, a w pozostałej części znanego świata wojnę. Nie pozwolę na to. Biorąc pod uwagę lata twojej służby, daruję ci życie, ale tylko życie, i nie chcę cię więcej widzieć. Masz pięć dni, Kencie, by się zaopatrzyć we wszystko, czego ci potrzeba, szóstego dnia zaś odejdiesz z naszego królestwa na zawsze. Jeśli minie dwanaście dni, a ty wciąż będziesz na tej ziemi, stracisz życie. A teraz idź, to moje zarządzenie, którego nie cofnę.

Kent był wstrząśnięty. Nie na taki cios się przygotował. Pokłonił się.

– Żegnaj, królu. Odchodzę, bo ośmielam się kwestionować władzę tak wielką, że oddajesz ją dla pochlebstw. Niech bogowie mają cię w opiece. – Odwrócił się na pięcie, pokazując królowi plecy, czego nigdy wcześniej nie czynił, po czym wymaszerował, przystając tylko na chwilę, by spojrzeć na Reganę i Gonerylę. – Ładne kłamstwa, wy wredne suki.

Chciałem pocieszyć starego drania, ułożyć dla niego wiersz, ale w sali zapadła cisza i odgłos wielkich dębowych drzwi zamykających się za Kentem poniósł się echem niczym pierwszy grzmot burzy, wstrząsającej całym światem.

– Cóż – powiedziałem, tańcząc na środku pomieszczenia. – Chyba poszło lepiej, niż można się było spodziewać.

WSPÓŁCZUJCIE BŁAZNOWI

Kent wygnany, Kordelia wydziedziczona, król rozdał włości i władzę, a przede wszystkim mój dom, czyli Tower. Kent obraził dwie starsze siostry, księżęta byli gotowi poderżnąć mi gardło, cóż... Rozśmieszenie kogokolwiek mogło być trudne. Wyglądało na to, że poruszanie tematu sukcesji byłoby nieroztropne, po dramacie w wykonaniu Lira pozostawała więc błazenada albo pantomima i Śliniak stawał się kamieniem u szyi komizmu. Żonglowałem jabłkami i śpiewałem piosenkę o małpach, rozważając ten problem.

Ostatnimi czasy król zdecydowanie skłaniał się ku pogaństwu, podczas gdy starsze siostry sprzyjały Kościołowi. Gloucester i Edgar czcili panteon rzymski, a Kordelia, cóż, uważała to wszystko za wielkie gówno i twierdziła, że Anglia powinna mieć własny Kościół, dopuszczający kapłaństwo kobiet. Oryginalny pomysł. Szykowała się szlachetna komedia, pełna satyry religijnej...

Rozrzuciłem jabłka wokół stołu i powiedziałem:

- Dwaj papieże chędożą wielbłądnicę za meczetem, przychodzi Saracen...
- Jest tylko jeden prawdziwy papież! – krzyknął księżę Kornwalii, ta hałda obmierzłej mastki.
- To dowcip, matole – odparłem. – Zawieś na chwilę pieprzoną niewiarę, dobra?

Miał rację, w pewnym sensie (choć nie do celów kawału z wielbłądnicą). Przez ostatni rok był tylko jeden papież, w świętym mieście Amsterdamie. Ale przez poprzednie pięćdziesiąt lat było ich dwóch, Papież Detaliczny i Papież Dyskontowy. Po Trzynastej Świętej Krucjacie, gdy w celu uniknięcia dalszych sporów postanowiono, że miejsce narodzin Jezusa będzie co cztery lata przenoszone do

innego miasta, miejsca kultu straciły swoje geograficzne znaczenie. W Kościele rozpętała się wielka wojna cenowa i świątynie oferowały pielgrzymom odpusty po konkurencyjnych stawkach. Teraz nie trzeba już było potwierdzonego cudu. Każde miejsce mogło zostać ogłoszone świętym – i często zostawało. Lourdes wciąż sprzedawało kupony na dyspensę wraz z uzdrawiającą wodą, ale zarazem jakiś facet z Puddinghoe mógł zasadzić parę bratków i mówić: „Jezus zrobił siusiu dokładnie w tym miejscu, kiedy był mały. Dwa pensy i trochę samosiejki z Cardiff wyciągną cię z czyśca na całe eony, chłopie”.

Wkrótce cała gildia opiekunów tanich miejsc świętych w całej Europie powołała własnego papieża – Pijusa Stosunkowo Bezwstydneho, Papieża Dyskontowego Pragi. Wojna cenowa trwała w najlepsze. Jeśli holenderski papież dawał sto lat odpustu za szylinga i bilet na prom, Papież Dyskontowy dawał dwieście lat, a do tego jeszcze kość udową jakiegoś pomniejszego świętego i drzazgę z Prawdziwego Krzyża. Papież Detaliczny proponował tandetny bekon na hostii podczas komunii, a Dyskontowy odpowiadał nocną mszą z zakonnicami topless.

Kulminacja nastąpiła wtedy, gdy Papieżowi Detalicznemu ukazał się w widzeniu święty Maciej i powiedział, że wiernych bardziej interesuje jakość religijnego przeżycia niż ilość. Zainspirowany Papież Detaliczny przeniósł Boże Narodzenie na czerwiec, kiedy pogoda nie przeszkadza w zakupach, a Papież Dyskontowy, nie zdając sobie sprawy ze zmiany reguł gry, zareagował całkowitym wybawieniem od piekła każdego, kto zwali księdzu konia. Bez piekła nie było strachu, bez strachu zaś Kościół jako dostarczyciel odkupienia stał się zbędny, a w dodatku nie miał już sposobu, by wpływać na ludzkie zachowania. Wyznawcy Dyskontowego odchodzili na potęgę, albo do Detalicznego odłamu Kościoła, albo do tuzina różnych sekt pogańskich. Czemu nie wpadać w złość i nie tańczyć nago wokół pała podczas sabatu, skoro najgorszą karą była wysypka na wstydliwych częściach i jakiś bękart od czasu do czasu? Papież Pijus podczas następnego święta Bekane został zamknięty w wierzbowej kukle i spalony, a koty srały na jego prochy.

A zatem dowcip z dwoma papieżami był, owszem, nie na czasie, ale pieprzyć to, sytuacja stała się rozpacзлиwa, więc ciągnąłem jeszcze przez chwilę:

– No i ten drugi papież mówi: „To twoja siostra? Myślałem, że jest koszerna?”.

I nikt się nie roześmiał. Kordelia przewróciła oczami i prychnęła.

Rozbrzmiała żalosna fanfara na jedną trąbkę, wielkie drzwi otworzyły się na oścież i do sali wpedzili²¹ księżęta Francji i Burgundii, za nimi zaś wkroczył bękart Edmund.

– Milcz, błaznie – nakazał, zupełnie niepotrzebnie, Lir. – Bądź pozdrowiony, księżę Burgundii, bądź pozdrowiony, księżę Francji.

– Bądź pozdrowiony, Edmundzie, cholerny bękartcie! – dodałem.

Lir nie zwrócił na mnie uwagi i dał przybyłym znak, by stanęli przed nim. Obaj byli sprawni, wyżsi ode mnie, ale nie wysocy, parę lat przed trzydziestką. Księżę Burgundii miał ciemne włosy i ostre rysy Rzymianina. Księżca Francji cechowały jasne włosy i łagodniejsze rysy. Każdy nosił miecz i sztylet, które wyciągali zapewne tylko w celach paradnych. Pieprzone żabojady.

– Panie Burgundii – powiedział Lir – rywalizowałeś o rękę naszej najmłodszej córki. Jakiego posagu oczekujesz?

– Nie mniejszego, niż zaoferowałeś, Wasza Wysokość – odrzekł ciemnowłosy pedzio.

– Niestety, to już nieaktualne. Zaoferowaliśmy go, gdy była nam droga. Teraz wzbudziła nasz gniew, zdradziła naszą miłość i straciła posag. Jeśli chcesz ją taką, jaka jest, bierz ją, ale posagu nie będzie.

Zdumiony księżę Burgundii cofnął się, omal nie następując na stopę księcia Francji.

– Zatem przykro mi, panie, ale w wyborze księżnej muszę się kierować włościami i władzą.

– Nie dostanie ani jednego, ani drugiego – odparł Lir.

– Niech więc będzie – powiedział tamten. Skinął głową, pokłonił się i cofnął. – Wybacz, Kordelio.

– Nie martw się, panie – odrzekła księżniczka. – Jeśli serce księcia żeni się tylko z włościami i władzą, nigdy nie byłoby naprawdę moje. Pokój z tobą.

Wydałem z siebie ciche westchnienie ulgi. Mogli nas wygnać, ale jeśli Kordelia zostanie wypędzona z nami...

– Ja ją wezmę! – odezwał się Edgar.

– Nie weźmiesz, zapluty, robalowaty psojebco i kretynie! – Zdaje się, że przypadkiem to właśnie krzyknąłem.

²¹ Pedzić – czasownik, pochodzący od rzeczownika „pedzio”, określającego geja, i oznaczający chodzenie w sposób typowy dla gejów. Takie słowo mogłoby naprawdę istnieć.

– Nie weźmiesz – powiedział Gloucester, popychając syna z powrotem na krzesło.

– Cóż, ja ją wezmę – rzekł książę Francji.

– Oj, do ciężkiej kurwy!

– Kieszonko, dosyć tego – powiedział król. – Straże, zabrać go na zewnątrz i trzymać, dopóki nasza wola się nie wypełni.

Dwaj gwardziści stanęli za mną i złapali mnie pod rękę. Usłyszałem jęk Śliniaka i odwróciłem się, by ujrzeć, jak kuli się za kolumną. Nic podobnego się dotąd nie zdarzyło. W końcu byłem błaznem ze wszystkimi uprawnieniami! To ja mogłem mówić prawdę w obliczu władzy – jestem naczelnym zuchwalcem Króla Cholernej Brytanii!

– Nie wiesz, na co się decydujesz, książę Francji. Widziałeś jej stopy? A może taki masz właśnie plan, chcesz ją zatrudnić w winnicy przy deptaniu winogron. Wasza miłość, ten pedał chce ją zmusić do ciężkiej pracy, pomnisz moje słowa.

Ale końcówki już nikt nie usłyszał, bo strażnicy wyciągnęli mnie z pomieszczenia i trzymali w holu na zewnątrz. Próbowałem przyłożyć jednemu Jonesem w głowę, ale złapał lalkę za patyk i zatknął ją sobie za pas na plecach.

– Przykro mi, Kieszonko – powiedział Kuran, kapitan straży, szpakowaty niedźwiedź w kolczudze, który trzymał mnie za prawe ramię. – To był wyraźny rozkaz, a ty szybko podrzynałeś sobie gardło własnym językiem.

– Nie ja – odparłem. – Mnie by nie skrzywdził.

– Wcześniej powiedziałbym, że nie wygnałby najlepszego przyjaciela i nie wydziedziczył ulubionej córki. Powieszenie błazna to już łatwy krok, chłopie.

– Fakt – potwierdziłem. – Masz rację. W takim razie mnie puście.

– Dopiero kiedy król skończy swoje sprawy – odrzekł stary strażnik.

Drzwi otworzyły się, zza portalu dobiegła anemiczna fanfara i ze środka wyszedł książę Francji, a przy jego ramieniu Kordelia z ponurym uśmiechem na twarzy. Widziałem jej zaciśnięte szczęki, ale odprężyła się na mój widok i ogień częściowo zniknął z jej oczu.

– A zatem ruszasz z zabim księciem? – spytałem.

Książę Francji roześmiał się, cholerny francuski skurwiel.

Czy może być coś bardziej irytującego niż szlachcic, który zachowuje się naprawdę szlachetnie?

– Tak, wyjeżdżam, Kieszonko, ale jest jedna sprawa, o której musisz zawsze pamiętać i nigdy nie zapomnieć...

– Obie te rzeczy naraz?

– Zamknij się!

– Dobrze, pani.

– Zawsze pamiętaj i nigdy nie zapomnij, że choć jesteś Czarnym Błaznem, ciemnym błaznem, królewskim błaznem ze wszystkimi uprawnieniami, nadwornym błaznem, nie przywiedziono cię tutaj, byś nim był. Miałeś zabawiać mnie. Mnie! Zatem jeśli odłożysz tytuły na bok, błazen pozostanie. Teraz i na wieki, jesteś moim błaznem.

– Ojej, dobrze sobie poradzisz we Francji. Nieuprzejmość mają tam za cnotę.

– Moim!

– Teraz i na wieki, milady.

– Możesz pocałować moją dłoń, błaznie.

Strażnik puścił mnie, a ja nachyliłem się, by ująć jej dłoń. Zabrała ją i odwróciła się, a suknia powiewała za nią, gdy się oddalała.

– Wybacz, nabrałam cię.

Uśmiechnąłem się.

– Ty suko.

– Będę za tobą tęsknić, Kieszonko – rzuciła przez ramię, po czym pognęła korytarzem.

– Weź mnie ze sobą. Weź nas obu. Książę, we Francji przyda ci się genialny błazen i ogromny, wzdęty wór sadła, taki jak Śliniak, prawda?

Książę pokręcił głową, a w jego oczach było zdecydowanie zbyt dużo litości, jak na mój gust.

– Jesteś błaznem Lira i z Lirem zostaniesz.

– Twa żona powiedziała właśnie coś innego.

– Nauczy się – odrzekł. Odwrócił się na pięcie i podążył korytarzem za Kordelią.

Ruszyłem za nimi, ale kapitan pociągnął mnie za ramię.

– Zostaw ją, chłopie.

Niebawem z sali wyszły siostry z mężami. Zanim zdołałem coś powiedzieć, kapitan zakrył mi usta dłonią i podniósł mnie, wierzgającego, z podłogi. Książę Kornwalii zrobił ruch, jakby sięgał po sztylet, ale Regana go odciągnęła.

– Właśnie zyskałeś królestwo, mój książę, a zabijanie szkodników to zadanie dla służby. Zostaw błazna, niech dusi się we własnej żółci.

Pragnęła mnie. To było oczywiste.

Goneryla nie spojrzała mi w oczy, tylko pospiesznie przeszła obok, a jej mąż, książę Albanii, po prostu pokręcił głową, gdy mnie mijał. Tysiąc genialnych dowcipów umarło, zduszonych ciężką rękawicą kapitana. Uciszony w ten sposób, zamachałem księciu mieszkciem i próbowałem zmusić się do pierdnięcia, ale trąbka mojego tyłka milczała.

Zupełnie jakby bogowie zesłali mi do pomocy jakąś bladą, gazową istotę, zza drzwi wyłonił się teraz Śliniak, nieco bardziej wyprostowany, niż miał to w zwyczaju. Dopiero wtedy zobaczyłem, że ktoś obwiązał mu szyję sznurem i przymocował pętlę do włóczni, której czubek niemal przebijał Ślimakowi gardło. Edmund wyszedł na korytarz, dzierżąc drugi koniec włóczni, a towarzyszyło mu dwóch mężczyzn pod bronią.

– Kapitan się z tobą pośmiał, Kieszonko? – spytał Śliniak, nieświadom zagrożenia.

Kapitan postawił mnie z powrotem, ale trzymał za ramię, bym nie ruszył na Edmunda, za którym przeszli jego ojciec i brat.

– Miałeś rację, Kieszonko – stwierdził Edmund, lekko dźgając Śliniaka włócznią dla podkreślenia swoich słów. – Gdybym cię zabił, na zawsze utwierdziłbym swą marną pozycję, ale zakładnik... Przyda mi się ten niemota. Tak mi się podobało twoje przedstawienie, że nakłoniłem króla, by zapewnił mi własnego błazna... i spójrz na ten dar. Pojedzie z nami do Gloucester jako gwarancja, że nie zapomnisz o swojej obietnicy.

– Nie potrzebujesz włóczni, bękarcie. Pójdzie, jeśli go poproszę.

– Wybieramy się na wakacje, Kieszonko? – spytał Śliniak, a po jego szyi zaczęła ściekać strużka krwi.

Zbliżyłem się do tego olbrzyma.

– Nie, chłopie – odrzekłem. – Pojedziesz z bękartem. Rób, co ci powie. – Odwróciłem się do kapitana. – Daj mi swój nóż.

Kapitan omiół wzrokiem Edmunda i towarzyszących mu ludzi pod bronią, opierających dłonie na rękojeściach.

– Nie wiem...

– Daj mi ten cholerny nóż! – Wykonałem piruet, wyciągnąłem nóż zza pasa kapitana i zanim tamci zdolali obnażyć broń, przeciąłem sznur na szyi Śliniaka i odepchnąłem włócznie Edmunda.

– Nie potrzebujesz włóczni, bękarcie. – Zwróciłem nóż kapitanowi i dałem Śliniakowi znak, by się nachylił, tak że znaleźliśmy się oko w oko.

– Chcę, żebyś pojechał z Edmudem i nie sprawiał mu żadnych kłopotów, rozumiesz?

– Rozumiem. Ty nie jedziesz?

– Dołączę do was. Dołączę. Najpierw mam sprawę do załatwienia w Tower.

– Chędożenie? – Śliniak pokiwał głową z takim entuzjazmem, że było niemal słychać, jak jego maleńki mózg grzechocze w czaszce. – Będę pomagał, prawda?

– Nie, chłopie, ale będziesz miał własny zamek. Zostaniesz błaznem jak się patrzy, tak? Czeka cię mnóstwo chowania się i podsłuchiwanie, rozumiesz co mówię?

– Puściłem oko, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że dureń pojmie, co mam na myśli.

– A będzie haniebne kurewstwo?

– Chyba możesz na to liczyć.

– Cudnie! – Śliniak klasnął w dłonie i zapłasał, podśpiewując: – Haniebne, najpaskudniejsze kurewstwo, haniebne, najpaskudniejsze kurewstwo.

Popatrzyłem na Edmunda.

– Masz moje słowo, bękarcie. Ale masz też moje słowo, że jeśli naturalnego spotka jakaś krzywda, dopilnuję, by duchy zabrały cię do grobu.

W oku Edmunda zalśnił błysk lęku, zwalczył go jednak i znów przywołał na usta swój dumny uśmiezek.

– Jego życie zależy od twego słowa, konusie.

Bękart odwrócił się i ruszył korytarzem. Śliniak obejrzał się, a do oka napłynęła mu wielka łza, gdy się zorientował, co się dzieje. Pomachałem mu, by szedł dalej.

– Wykończyłbym pozostałych dwóch, gdybyś wbił mu nóż – oznajmił Kuran. Drugi strażnik przytaknął skinieniem głowy. – Sukinsyn się o to prosił.

– Teraz mi, kurwa, mówisz? – odrzekłem.

Wtedy z sali wybiegł inny gwardzista, po czym na widok błazna i swojego kapitana, zameldował:

– Kapitanie, Królewski Degustator. Nie żyje, panie.

Miałem ci ja trzech przyjaciół.

PRZYJAŹŃ I CHĘDOŻENIE

Życie to samotność, przerywana tylko przez bogów, szydzących z nas za pomocą przyjaźni i okazjonalnego chędożenia. Przyznaję, czułem żal. Pewnie się zbłądziłem, oczekując, że Kordelia zostanie. (Tak, jestem błaznem. Nie bądźcie tacy mądrzy, co? Działa mi to na nerwy). Ale przez większość moich dorosłych lat była batem na mój grzbiet, pokusą dla lędźwi i balsamem dla wyobraźni. Moją zmorą, tonikiem, gorączką, przekleństwem. Marzę o niej.

W zamku nie ma żadnej pociechy. Śliniak odszedł, Degustator też, Lir oszalał. Śliniak był w najlepszym razie tylko nieco lepszym towarzyszem niż Jones i zdecydowanie mniej poręcznym, ale martwię się o niego, bo to duże dziecko, miotające się w kręgu wielu złoczyńców i ostrych metalowych przedmiotów. Brakuje mi jego szczerbatego uśmiechu, pełnego przebaczenia, akceptacji, a często także cheddara. A Degustator – co właściwie o nim wiedziałem? Po prostu cherlawy chłopak z Hog Nostril nad Tamizą. A jednak, gdy potrzebowałem współczującego słuchacza, mogłem na niego liczyć, nawet jeśli od moich trosk często odrywały go własne, samolubne zmartwienia dietetyczne.

Leżałem na swoim łóżku i wyglądałem przez otwory strzelnicze w kształcie krzyża na szare kości Londynu, dusząc się w swojej żalości, tęskniąc za przyjaciółmi.

Za swoją pierwszą przyjaciółką.

Za Talią.

Anachoretką.

W zimny jesienny dzień w Dog Snogging, gdy trzeci raz pozwolono mi zanieść jedzenie pustelnicy, szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Wciąż ją podziwiałem i samo przebywanie w jej towarzystwie sprawiało, że czułem się nikczemny, niegodny i bluźnierczy, ale w pozytywnym sensie. Przez krzyż w ścianie podałem talerz z razowym chlebem i serem, a wraz z nim modlitwę i prośbę o wybaczenie.

- Ta strawa wystarczy, Kieszonko. Wystarczy. Wybaczę ci za piosenkę.
- Musisz być nadzwyczaj pobożną damą i wielce miłować Pana.
- Pan to matoł.
- Myślałem, że pasterz?
- To też. Ale każdy ma jakieś hobby. Znasz piosenkę „Greensleeves”?
- Znam „*Dona nobis pacem*”.
- A nie znasz żadnych pirackich pieśni?
- Mógłbym zaśpiewać „*Dona nobis pacem*” jak pirat. – To po łacinie „daj nam pokój”, prawda?
- Tak, pani.
- To chyba trochę naciągane, co, żeby pirat śpiewał: „daj nam cholerny pokój”?
- Chyba tak. Mógłbym zatem zaśpiewać psalm, pani.
- Dobrze, niech zatem będzie psalm, byle z piratami i rozlewem krwi, jeśli taki znasz.

Denerwowałem się, łaknąłem aprobaty ze strony anachoretki i bałem się, że jeśli sprawię jej zawód, może na mnie spaść anioł zemsty, jak to często bywało w Piśmie. Choć bardzo się starałem, nie mogłem sobie przypomnieć żadnych pirackich psalmów. Odchrząknąłem i zaśpiewałem jedyny psalm, jaki znałem po angielsku:

Pan jest matolem moim, niczego mi nie braknie...

– Zaraz, zaraz, zaraz – przerwała. – Czy nie powinno być „Pan jest pasterzem moim”?

– No tak, pani, ale powiedziałaś...

Parsknęła śmiechem. Pierwszy raz usłyszałem jej śmiech, który brzmiał dla mnie jak pochwała ze strony samej Maryi Dziewicy. W ciemnym pomieszczeniu, z jedną tylko świecą po mojej stronie krzyża, wydawało się, że ten śmiech jest wszędzie wokół, obejmuje mnie.

– Oj, Kieszonko, uroczy jesteś. Tępy jak cholerna cegła, ale taki uroczy.

Czułem, że krew napływa mi do twarzy. Byłem dumny, zawstydzony i podekscytowany, wszystko naraz. Nie wiedziałem, co robić, więc padłem na kolana, a potem na twarz przed otworem strzelniczym, przyciskając policzek do kamiennej posadzki.

– Przepraszam, pani.

Śmiała się jeszcze przez chwilę.

– Powstań, sir Kieszonko z Dog Snogging.

Wstałem i wbiłem wzrok w ciemny otwór o kształcie krzyża i zobaczyłem gwiazdę jej oka, odbijającą płomień świecy, po czym zdałem sobie sprawę, że mam w oczach łzy.

– Dlaczego tak mnie nazwałaś?

– Bo mnie rozśmieszasz, jesteś godny i mężny. Myślę, że zostaniemy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Chciałem zapytać, co ma na myśli, ale szczęknęła żelazna zasuwka i drzwi na korytarz otworzyły się powoli. Stała w nich matka Bazylia z kandelabrem w dłoni i niezadowolaniem na twarzy.

– Kieszonko, co tu się dzieje? – spytała matka przełożona swoim szorstkim barytonem.

– Nic, wielebna matko. Dałem tylko jedzenie anachoretce.

Matka Bazylia wahała się, czy wejść do korytarza, jakby się bała, że znajdzie się w polu widzenia z celi anachoretki.

– Chodź, Kieszonko. Pora na wieczorną modlitwę. Pokłoniłem się szybko pustelnicy i wymknąłem przez drzwi pod ramieniem matki Bazylii.

Gdy zakonnica zamykała drzwi, zawołała ją anachoretka.

– Wielebna matko, chwileczkę, proszę.

Oczy matki Bazylii otworzyły się szerzej. Wyglądała, jakby wezwał ją diabeł.

– Idź na nieszpory, Kieszonko. Dołączę za chwilę. Ruszyła do ślepego korytarza i zamknęła za sobą drzwi w chwili, gdy rozległ się dzwon wzywający na nieszpory.

Zastanawiałem się, o czym anachoretka będzie rozmawiała z matką Bazylią, pewnie o jakichś wnioskach, do których doszła po wielogodzinnych modlitwach. A może uznała, że się nie nadaję, i chciała prosić, by więcej mnie nie przysyłano? Ledwie zawarłem pierwszą przyjaźń, a już bardzo obawiałem się jej utraty. Podczas gdy powtarzałem za księdzem modlitwy po łacinie, w sercu modliłem się do Boga, by nie

zabierał mi pustelnicy, a gdy msza dobiegła końca, zostałem w kaplicy i modliłem się jeszcze długo po północy.

Matka Bazylia zastała mnie w kaplicy.

– Nastąpią pewne zmiany, Kieszonko.

Poczułem, jak mój duch spada do podeszew butów.

– Wybacz mi, wielbna matko, albowiem nie wiem, co czynię.

– O czym ty mówisz? Nie besztam cię. Chcę dodać obowiązków twojej pobożności.

– Aha – rzekłem.

– Od tej pory będziesz nosił anachoretce strawę i napitki na godzinę przed nieszporami i będziesz siedział w zewnętrznej komnacie, dopóki nie zje. Ale z dzwonem na nieszpory odejdziesz stamtąd i nie wrócisz aż do następnego dnia. Nie wolno ci zostawać dłużej niż godzinę, rozumiesz?

– Tak, matko, lecz czemu tylko godzinę?

– Zostając dłużej, zakłócisz anachoretce jej więź z Bogiem. Co więcej, nigdy jej nie spytasz, gdzie była wcześniej, ani o jej rodzinę, ani o cokolwiek, co dotyczy przeszłości. Jeśli zacznie mówić o tych rzeczach, masz natychmiast zatkać uszy palcami i zaśpiewać „la, la, la, la, nic nie słyszę, nic nie słyszę”, a potem od razu wyjść.

– Nie mogę tego uczynić, matko.

– Dlaczego?

– Nie mogę odemknąć drzwi z palcami w uszach.

– Ach, słodki Kieszonko, uwielbiam twój dowcip. Myślę, że tej nocy powinieneś spać na kamiennej posadzce, dywan bowiem osłania cię od błogosławionej ochłody dla twojej gorącej wyobraźni, która w Bogu budzi wstręt. Tak, tej nocy ciebie i twój dowcip czekają lekkie lanie i goły kamień.

– Tak, matko.

– Zatem nie wolno ci nigdy mówić z anachoretką o jej przeszłości, a gdybyś to zrobił, będziesz ekskomunikowany i przeklęty na wieczność bez nadziei na odkupienie, a światło Pana już nigdy na ciebie nie padnie i żył będziesz w ciemności i cierpieniu na wieki wieków. A w dodatku każę siostrze Bambi nakarmić tobą kota.

– Tak, matko – powiedziałem. Byłem tak podekscytowany, że omal nie popuściłem. Chwała anachoretki miała na mnie spływać każdego dnia.

- No i to jest szorstka łuska na skórze tego węża.
- Nie, to bardzo duży kot.
- Nie kot, godzina dziennie. Tylko godzina?
- Matka Bazylia nie chce, bym zakłócał twą więź z Bogiem, pani anachoretko. –

Pokłoniłem się przed ciemnym otworem strzelniczym.

- Mów mi Talia.
- Nie śmiałbym, matko. Nie wolno mi też pytać cię o przeszłość ani skąd pochodzisz. Matka Bazylia zabroniła.
- Ma rację, ale możesz zwać mnie Talią, jako że jesteśmy przyjaciółmi.
- Tak, matko. Talio.
- Ale ty możesz mi mówić o swojej przeszłości, Kieszonko. Opowiedz mi o swoim życiu.

- Dog Snogging to wszystko, co znam... Wszystko, co kiedykolwiek znałem. Usłyszałem jej śmiech.

- Opowiedz mi jakąś historię ze swoich lekcji.

Opowiedziałem więc o ukamienowaniu świętego Szczepana, ścięciu świętego Walentego, a w zamian ona opowiedziała mi historie o świętych, o których nigdy nie słyszałem z katechizmu.

- A zatem – rzekła – to jest historia o tym, jak święty Rufus ze Starej Rury został zalizany na śmierć przez świstaki.

- To brzmi jak straszliwe męczeństwo – stwierdziłem.

– To prawda – przytaknęła – albowiem ślina świstaka to najobrzydliwsza ze wszystkich substancji i święty Rufus jest po dziś dzień patronem śliny i cuchnącego oddechu. Dostyc tego męczeństwa, powiedz mi o jakichś cudach.

Tak uczyniłem. Opowiedziałem o magicznym skopku mleka świętej Brygidy z Kildare, który sam się napełniał.

O tym, jak święty Filan, gdy wilk zabił jego wołu, zmusił tego samego wilka, by ten pociągnął wóz pełen materiałów na budowę kościoła, i o tym, jak święty Patryk wygnał z Irlandii węże.

- Właśnie – odrzekła Talia – i węże zawsze były za to wdzięczne. Ale pozwól, że uraczę cię opowieścią o niezwykłym cudzie: jak święty Cynamon wygnał Mazdy ze Swinden.

- Nigdy nie słyszałem o świętym Cynamonie – przyznałem.

– Cóż, to dlatego, że siostry z Dog Snogging są proste i niegodne takiej wiedzy. Dlatego nie możesz dzielić się z nimi tym, co tu usłyszysz, bo inaczej będą przytłoczone i dostaną gorączki.

– Gorączki zbyt wielkiej pobożności?

– Owszem, chłopcze, i to ty je zabijesz.

– Och, tego bym nigdy nie chciał.

– Oczywiście, że nie. Wiedziałaś, że w Portugalii kanonizują świętego przez wystrzelenie go z armaty?

I tak to szło, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, wymieniałem się z Talią tajemnicami i kłamstwami. Może pomyślicie, że okrucieństwem z jej strony było poświęcanie jedynych chwil, gdy miała kontakt z zewnętrznym światem, na okłamywanie małego chłopca, ale z drugiej strony pierwsza historia, którą usłyszałem od matki Bazylia, mówiła o gadającym wężu, który dał nagim ludziom skażony owoc – a biskup zrobił z niej przelożoną klasztoru. Przez cały ten czas Talia uczyła mnie, jak ją zabawiać. Jak wspólnie spędzić czas na opowieści i śmiechu, jak można być z kimś blisko, nawet gdy rozdziela Was kamienna ściana.

Przez pierwsze dwa lata raz w miesiącu przyjeżdżał biskup z Yorku, by sprawdzić, co słyhać u anachoretki, a ona na jeden dzień traciła ducha, jakby wrywał go z niej i zabierał, ale wkrótce wracała do siebie, a pogaduszki i śmiechy znów trwały w najlepsze. Później biskup przestał przyjeżdżać, a ja bałem się zapytać matki Bazylia, dlaczego, bo jeszcze bym jej przypomniał i oschły prałat mógłby podjąć swoje oplakane w skutkach wizyty.

Im dłużej pustelnica przebywała w celi, tym większy zachwyt budziły w niej najbardziej przyziemne szczegóły o życiu zewnętrznym, które jej przekazywałem.

– Opowiedz mi, jaka dziś pogoda. Opowiedz o niebie i nie zapomnij o żadnej chmurce.

– Niebo wyglądało, jakby ktoś katapultował olbrzymie owce w zimne oko Boga.

– Pieprzona zima. Wrony na niebie?

– Wyglądają, Talio, jakby wandal z piórem i inkaustem na chybił trafił dziurawił niebiańską kopułę.

– Ach, pięknie powiedziane, kochany, zupełnie niespójna metaforyka.

– Dziękuję, pani.

Wykonując swoje obowiązki i pobierając nauki, starałem się zauważać każdy szczegół i budować w głowie porównania, by malować anachoretce słowne obrazy, byłem dla niej bowiem jedynym źródłem światła i koloru.

Moje dni zaczynały się o czwartej, gdy przychodziłem pod celę Talii, i kończyły o piątej, kiedy odzywał się dzwon na nieszpory. Wcześniej wszystko stanowiło przygotowania do tej godziny, a później, aż do zaśnięcia, pochłaniały mnie słodkie wspomnienia.

Anachoretka nauczyła mnie śpiewać – nie tylko hymny i pieśni, które znałem od małego, ale też romantyczne piosenki trubadurów. Za pomocą prostych, pełnych cierpliwości instrukcji, nauczyła mnie tańca, zonglerki i akrobatyki – a wszystko to tylko poprzez słowne opisy, przez te lata mój wzrok ani razu nie spoczął na pustelnicy, przez strzelniczy otwór nie widziałem nic poza jej częściowym profilem.

Dorastałem i na moich policzkach wykiełkował meszek – głos mi się łamał, jakby w przeliku utknęła mi mała gąska i domagała się obiadu. Zakonnice z Dog Snogging zaczęły dostrzegać we mnie coś więcej niż swojego pupilka, bo wiele trafiało do klasztoru w wieku nie starszym niż mój. Flirtowały ze mną i prosiły o piosenkę, opowieść – im bardziej była rubaszna, tym lepiej – a dzięki anachoretce znałem ich wiele. Nigdy mi nie zdradziła, gdzie się ich nauczyła.

– Byłaś artystką, zanim zostałam mniszka?

– Nie, Kieszonko. I nie jestem mniszka.

– Ale może twój ojciec...

– Nie, mój ojciec też nie był mniszka.

– Pytam, czy był artystą?

– Słodki Kieszonko, nie wolno ci pytać o to, jak wyglądało moje życie, zanim tu przybyłam. Zawsze byłam tym, kim jestem teraz, a wszystko, kim jestem, masz obok siebie.

– Słodka Talio – odrzekłem. – Toż to ognista waza smoczycz szczyn.

– Czyż nie mam racji?

– Uśmiechasz się, prawda?

Zbliżyłem świecę do otworu w ścianie, oświetlając swój drwiący uśmiech. Roześmiałem się i sięgnąłem przez otwór, by dotknąć jej policzka. Westchnęła, ujęła moją dłoń i przycisnęła mocno do ust, a potem, w jednej chwili, odepchnęła ją i odeszła poza zasięg światła.

– Nie chowaj się – powiedziałem. – Proszę, nie chowaj się.

– Mam wielki wybór, czy się chować, czy nie. Mieszkam w cholernym grobie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy wcześniej nie narzekała na swoją decyzję, by zostać anachoretką w Dog Snogging, nawet jeśli inne świadectwa jej wiary wydawały się... cóż... dość abstrakcyjne.

– Chodziło mi o to, żebyś nie chowała się przede mną. Pozwól się zobaczyć.

– Chcesz zobaczyć? Chcesz zobaczyć?

Pokiwałem głową.

– Daj mi swoje świece.

Podąłem jej przez otwór cztery zapalone świece. Kiedy dla niej występowałem, kazała mi je umieszczać w lichtarzach w zewnętrznej komnacie, by widzieć, jak tańczy, żongluję albo wykonuję figury akrobatyczne, nigdy jednak nie prosiła, bym dał jej do celi więcej niż jedną świecę. Rozmieściła świece wokół celi i pierwszy raz zobaczyłem kamienną półkę, gdzie spała na sienniku, jej skromny dobytek, rozłożony na ciężkim stole, i samą Talię w poszarpanej lnianej sukience.

– Patrz – powiedziała. Ściągnęła sukienkę przez głowę i opuściła ją na podłogę.

Była najpiękniejszym zjawiskiem, jakie w życiu widziałem. Wydawała się młodsza, niż sobie wyobrażałem, chuda, ale kobieca – miała twarz figlarnej Madonny, jakby wykutą przez rzeźbiarza, zainspirowanego bardziej żądzą niż boskością. Jej włosy, długie, o barwie koźlej skóry, chwytały blask świec i zdawało się, że jeden promień słońca mógłby sprawić, że wybuchną złotym ogniem. Poczulem, że gorąco napływa mi do twarzy, a gorąco innego rodzaju wzbiera w moich rajtuzach. Czułem się podekscytowany, zagubiony i zawstydzony zarazem, więc odwróciłem się plecami do otworu i wykrzyknąłem:

– Nie!

Nagle znalazła się tuż za mną i poczułem jej dłoń na swoim ramieniu. Po chwili pogładziła mnie po karku.

– Kieszonko. Słodki Kieszonko, nie. Wszystko w porządku.

– Czuję się, jakby diabeł toczył z Dziewicą walkę w moim ciele. Nie wiedziałem, że jesteś taka.

– Jak kobieta? To masz na myśli?

Jej ręka była ciepła i spokojna, ugniatała mięśnie mojego ramienia przez otwór w ścianie, o którą się oparłem. Chciałem się odwrócić i spojrzeć, chciałem wybiec z pomieszczenia, chciałem spać albo właśnie się budzić – zawstydzony, że diabeł nawiedził mnie w nocy mokrym snem pożądania.

- Znasz mnie, Kieszonko. Jestem twoją przyjaciółką.
- Ale jesteś anachoretką.
- Jestem Talią, twoją przyjaciółką, która cię kocha. Odwróć się.

Uśluhałem.

- Daj mi rękę. Dałem.

Położyła ją na swoim ciele, a potem swoje dłonie położyła na moim, a ja, przyciśnięty do zimnego kamienia, odkrywałem przez otwór w ścianie nowy wszechświat – ciała Talii, własnego ciała, miłości, namiętności, uciezki – i było to znacznie lepsze niż cholerne śpiewanie i zonglerka. Kiedy rozbrzmiał dzwon na nieszpory, oderwaliśmy się od ściany, wyczerpani i zdyszani, i zaczęliśmy się śmiać. A, i ukruszyłem sobie ząb.

- Diabłu ogarek, co, kochany? – powiedziała Talia.

Kiedy następnego popołudnia przyszedłem z kolacją, czekała z twarzą przyciśniętą do otworu w kształcie krzyża – wyglądała jak jeden z gargulców o anielskich obliczach, umieszczonych przy głównym wejściu do Dog Snogging, tyle że tamte zawsze wyglądały, jakby płakały, a ona się uśmiechała.

- Nie poszedłeś dziś do spowiedzi, co?

Zadrzałem.

- Nie, matko, przez większą część dnia pracowałem w skrytorium.

– Kieszonko, wołałabym, żebyś nie nazywał mnie matką, o ile wolno mi o to prosić. Z uwagi na nowy poziom naszej przyjaźni, brzmi to... no, nie wiem... podejrzenie.

- Tak, m... ee... pani.

– Z „panią” jakoś wytrzymam. A teraz podaj mi kolację i zobacz, czy zdołasz wcisnąć twarz w ten otwór, tak jak ja.

Kości policzkowe Talii zaklinowały się w otworze niewiele szerszym od mojej dłoni.

– Czy to nie boli? – Po naszej wczorajszej, wieczornej przygodzie przez cały dzień odkrywałem otarcia na swoich rękach i różnych innych częściach ciała.

– Może nie tak, jak obdzieranie ze skóry świętego Bartka, ale owszem, trochę szczypie. Nie możesz wyznać na spowiedzi tego, co zrobiliśmy, ani tego, co robimy, kochany. Wiesz o tym, prawda?

– Czyli będę musiał iść do piekła?

– Cóż... – odsunęła się i podniosła wzrok, jakby szukała odpowiedzi na sklepieniu -... nie sam. Daj tę kolację, chłopcze, i wciśnij twarz w otwór. Chcę cię czegoś nauczyć.

I tak to trwało, tygodniami i miesiącami. Z przeciętnego akrobaty stałem się uzdolnionym kontorsjonistą, a Talia najwyraźniej odzyskała część życia, które, jak sądziłem, bezpowrotnie utraciła. Nie była święta w takim sensie, w jakim nauczali księża i zakonnice, ale pełna ducha i czci innego rodzaju. Bardziej przejęta tym życiem, obecną chwilą, niż wiecznością poza zasięgiem dziury w ścianie. Uwielbiałem ją i pragnąłem, by wyszła z celi na świat, razem ze mną, zacząłem więc snuć plany jej ucieczki. Ale byłem tylko młodym chłopcem, a ona się sprzeciwiała, więc to się nie mogło udać.

– Ukradłem dużo murarzowi, który przechodził w drodze do pracy przy budowie kościoła katedralnego w Yorku. Zajmie to trochę czasu, ale jeśli wydlubiesz pojedyncze kamienie, będziesz mogła uciec latem.

– Ty jesteś moją ucieczką, Kieszonko. Jedyłą, na którą mogę sobie pozwolić.

– Ale moglibyśmy uciec, być razem.

– Byłoby wspaniale, tyle że nie mogę stąd odejść. Podskocz tedy tutaj i wsuń swoją wędkę do krzyża. Talia ma dla ciebie coś specjalnego.

Nigdy nie umiałem wykazać swoich racji, kiedy moja wędka była w krzyżu. To mnie doprawdy rozpraszało. Ale uczyłem się i choć zakazano mi spowiedzi – prawdę mówiąc, nie czułem się z tym źle – zacząłem dzielić się tym, czego się nauczyłem.

– Talio, muszę ci wyznać, że powiedziałem siostrze Nikki o tym małym chłopczyku w dolinie.

– Naprawdę? Powiedziałaś czy pokazałaś?

– W zasadzie raczej pokazałem. Ale wydaje się dość ograniczona. Musiałem jej pokazywać raz za razem. Poprosiła, żebym dziś po nieszpórach spotkał się z nią w krużganku i znowu jej pokazał.

– Ach, błogosławieństwo tępoty. Tak czy owak grzechem byłoby samolubnie zachowywać wiedzę tylko dla siebie.

– Tak też pomyślałem – odrzekłem z ulgą.

– A skoro o chłopczyku w dolinie mowa, zdaje się, że po tej stronie ściany mam jednego, który był niegrzeczny i wymaga potężnej chłosty językiem.

– Tak, pani – odparłem, przyciskając policzki do otworu. – Przyprawdź łobuza, bym go ukarał.

I tak to się toczyło. Byłem jedyną osobą, jaką znałem, mającą zrogowacenia na kościach policzkowych, ale zarazem wyćwiczyłem sobie ramiona i uścisk kowala, od zwieszania się na palcach, wsuniętych między wielkie kamienie, by wkładać w otwór w ścianie części swojego ciała. A zatem wisiałem niczym pająk na ścianie, anachoretka zaś gorączkowo i przyjaźnie zajmowała się moim interesem, i wtedy biskup wszedł do przedsionka.

(Biskup wszedł do przedsionka? Biskup wszedł do przedsionka? Teraz zaczynasz udawać skromnego i używasz eufemizmów na określenie różnych części ciała i pozycji, podczas gdy przyznałeś się już do obustronnej nieprawości ze świętą kobietą przez cholerną dziurę w ścianie? Otóż nie).

Prawdziwy pieprzony biskup cholernego Yorku wszedł do pieprzonego przedsionka z matką pieprzoną Bazylią, niosącą kilka pieprzonych kaganków.

A zatem puściłem. Niestety, Talia tego nie uczyniła. Wyglądało na to, że nasze spotkania przy ścianie wzmocniły także jej uścisk.

– Kieszonko, co, do diabła, robisz? – odezwała się anachoretka.

– Co robisz? – spytała matka Bazylia.

Wisiałem tam, uczepony ściany trzema częściami ciała, z których jednej nie okrywały buty.

– Aaaach – rzekłem.

Myślenie nastęrczało mi pewnych trudności.

– Odpręż się trochę, chłopcze – powiedziała Talia. – To powinien być raczej taniec, a nie przeciąganie liny.

– Przyszedł biskup – oznajmiłem.

Parsknęła śmiechem.

– Powiedz mu, żeby ustawił się w kolejce, a ja zajmę się nim, kiedy skończymy.

– Nie, naprawdę przyszedł.

– O, do licha – rzekła i puściła moją pytę.

Upadłem na podłogę i szybko przekręciłem się na brzuch.

Twarz Talii znajdowała się przy samym otworze.

– Dobry wieczór, wasza miłość. – Szeroki uśmiech. – Życzysz sobie porządnego chędożenia przed nieszporami?

Biskup odwrócił się tak szybko, że mitra zsunęła mu się na bok głowy.

– Powiesić go – powiedział. Złapał jeden z kaganków matki Bazylia i wyszedł z pomieszczenia.

– Ten cholerny ciemny chleb, który mi dajecie, smakuje jak moszna capa! – zawołała za nim Talia. – Dama zasługuje na lepszą strawę!

– Talio, proszę – odezwałem się.

– Nie mówię o tobie, Kieszonko. Serwujesz w uroczym stylu, ale chleb jest do niczego. – Następnie zwróciła się do matki Bazylia: – Nie obwiniaj chłopca, wielebna matko, jest kochany.

Matka Bazylia złapała mnie za ucho i wyciągnęła za drzwi. – Jesteś kochany, Kieszonko – rzuciła jeszcze anachoretka.

Matka Bazylia zamknęła mnie w szafie w swojej komnacie, a potem w środku nocy otworzyła drzwi i podała mi kromkę chleba oraz nocnik.

– Zostań tutaj, aż biskup wyjedzie rankiem, a gdyby ktoś pytał, zostałeś powieszony.

– Tak, wielebna matko – powiedziałem.

Przyszła po mnie następnego ranka i pospiesznie przepchnęła przez kaplicę. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

– Byłeś dla mnie jak syn, Kieszonko – powiedziała, skacząc wokół mnie i przytracając mi sakwę i różne inne rzeczy. – Odesłanie cię sprawi mi ból.

– Ale, wielebna matko...

– Cii, chłopcze. Zabierzemy cię do stodoły, powiesimy na oczach paru chłopów, a potem ruszysz na południe, do grupy kuglarzy²², którzy przyjmą cię do siebie.

– Racz wybaczyć, matko, ale jeśli mnie powieszają, co ze mną zrobią ci kuglarze? Przedstawienie lalkowe?

²² Kuglarze – wędrowni artyści, często pojawiający się na uroczystościach z okazji przesilenia zimowego. Wykonywali różne sztuki, bywali akrobatami albo trupą teatralną.

– Nie powieszę cię naprawdę, byle to dobrze wyglądało. Musimy to zrobić, chłopcze, biskup kazał.

– Od kiedy biskup rozkazuje mniszkom wieszać ludzi?

– Odkąd gziłeś się z anachoretką, Kieszonko.

Na wspomnienie o niej odskoczyłem od matki Bazylii, przebiegłem przez opactwo starym korytarzem aż do przedsionka. Otwór w kształcie krzyża zniknął, całkowicie zamurowany i pokryty zaprawą.

– Talio! Talio! – wołałem. Krzychałem i tłukłem w ścianę pięściami, aż zaczęły mi krwawić dłonie, ale po drugiej stronie ściany nie rozległ się żaden dźwięk. Żaden.

Siostry odciągnęły mnie, związały mi ręce i zabrały do stodoły, gdzie mnie powieszono.

BRAT ZDRAJCA

Czy zawsze będę sam? Anachoretka powiedziała, że może tak być, próbując mnie pocieszyć, gdy czułem się odsunięty przez siostry z Dog Snogging.

– Dowcip to twój dar, Kieszonko, lecz aby rzucać żarty i docinki, musisz trzymać się z dala od obiektu tych przytyków. Boję się, że zostaniesz samotnym człowiekiem, nawet w towarzystwie.

Może miała rację. Może dlatego jestem taki chutliwy i z wielką wymową przyprawiam rogi. Szukam jedynie pomocy i pocieszenia pod sukniami miękkich i wyrozumiałych. A zatem, przekradałem się, bezsenny, do wielkiej sali, w poszukiwaniu otuchy wśród zamkowych dziewczek, które tam spały.

Ogień wciąż płonął, podsycany kłodami wielkości wołów, dorzuconymi przed snem. Moja słodka Piskliwa, która nieraz otwierała swoje serce i nie tylko przed błaznem, zasnęła w ramionach swojego męża, który chrapał i ścisnął ją niemiłosiernie. Kilowej Mary nigdzie nie było widać, bez wątplenia usługiwała gdzieś bękartowi Edmundowi, a inne moje regularne kochanki zapadły w sen zbyt blisko mężów albo ojców, by przyjąć samotnego trefnisia.

Ach, ale była ta nowa dziewoja, ledwie dwa tygodnie w kuchni, imieniem Tess albo Kate albo może Fiona. Włosy miała krucze i lśniące niby naoliwione żelazo. Mleczna cera, policzki jak muśnięte różą – uśmiechała się, słysząc moje żarty i nieproszona dała Ślimakowi jabłko. Byłem niemal pewien, że ją uwielbiam. Na palcach przeszedłem po słomie zaściełającej podłogę (zostawiłem Jonesa w swojej izbie, bo jego dzwoneczki nie pomagały w sekretnych romansach), położyłem się obok niej i wsunąłem swą personę pod koc. Czułe szturchnięcie w biodro od razu ją zbudziło.

- Witaj – rzekła.
- Witaj – odparłem. – Nie jesteś papistką, kochanie?
- Chryste, nie. Urodziłam się i wychowałam wśród druidów.
- Bogu niech będą dzięki.
- Co robisz pod moim kocem?
- Grzeję się. Strasznie mi zimno.
- Wcale nie.
- Brrrr. Zamarzam.
- Tu jest gorąco.
- Niech zatem będzie. Po prostu jestem miły.
- Możesz przestać mnie nim dźgać?
- Wybacz, czyni tak, kiedy jest samotny. Może gdybyś go pogłaskała...

I wtedy, niech ją błogosławi łaskawa bogini drzew, pogłaskała go, ostrożnie, z początku niemal z nabożnością, jakby chciała wyczuć, ile radości może przynieść każdej, która wejdzie z nim w kontakt. Dziewczyna umiała się przystosować, nie miała ataków hysterii czy skromności, a wkrótce delikatna pewność uścisku zdradziła, że miała pewne doświadczenie w obchodzeniu się z męskością – była po prostu urocza.

- Myślałam, że będzie miał małą czapeczkę z dzwoneczkami.
- A, tak. Gdyby znaleźć ustronne miejsce, na pewno dałby się przebrać. Może pod twoją spódnicą. Przewróć się na bok, kochanie, mniej będziemy rzucać się w oczy, pieszcząc się w bocznym ułożeniu.

Uwolniłem jej biust z sukienki, po czym, odsłoniwszy w blasku ognia tłustawe szczytka o różowych noskach, wierne sługi piszącego te słowa mistrza błazenad, chciałem łagodnie zanurzyć pomiędzy nie swoje policzki, gdy nagle pojawił się duch.

Zjawa wydawała się teraz bardziej materialna, jej rysy zaś zdradzały, że musiała być nad wyraz piękną istotą, nim ktoś odprawił ją do nieznannej krainy – bez wątplenia jakiś bliski krewny, znużony jej drażniącą naturą. Zawisła nad ciałem śpiącej kucharki Bańki, unosząc się i opadając w rytm jej chrapania.

- Wybacz, że cię nawiedzam, gdy rzniesz tę pomocnicę – odezwała się.
- Rznienie jeszcze się nie zaczęło, zjawo, ledwie okulbaczyłem klacz przed mokrą i sprośną przejażdżką. Odejdź.
- Dobrze zatem. Wybacz, że przeszkodziłam w próbie rznienia.
- Nazywasz mnie klaczą? – spytała Zapewne Fiona.

– W żadnym razie, kochanie, głaszcz tego małego żartownisia, a ja zajmę się tym widziadłem.

– Zawsze jest jakiś cholerny duch, co? – skomentowała.

Zapewne Fiona, ściskając moją kuśkę dla większej emfazy.

– Tak, kiedy mieszkaś w baszcie, gdzie płynie błękitna krew, a morderstwo to ulubiona rozrywka – odparło widmo.

– Oj, zdupczaj – rzekłem. – Materialny smrodzie, parująca ohydo, ziejąca szkapo! Jestem nieszczęśliwy, smutny, samotny, próbuję znaleźć okruszynę pociechy i zapomnienia w ramionach, ee...

– Kate – podsunęła Zapewne Fiona.

– Doprawdy?

Pokiwała głową.

– Nie Fiona?

– Kate, od dnia, gdy tatko przywiązał moją pępownię do drzewa.

– O, do kata. Wybacz. Jam jest Kieszonka, zwany Czarnym Błaznem i bardzo mi miło. Mam ucałować twą dłoń?

– Stawy zginają ci się zatem w obie strony? – spytała Kate, dla podkreślenia swoich słów łaskocząc mój drąg.

– Do diabła ciężkiego, zamkniecie się wreszcie? – wtrąciła zjawa. – Próbuję tu straszyć.

– Dalej – odrzekliśmy.

Uniosła biust i odchrząknęła, wydzielając widmowy opar, który z sykiem wyparował w blasku ognia, po czym przemówiła:

Kiedy z drugiej będą drwić,

Skłamię, aby wzrok okadzić

I zerwać rodzinną nić,

Wariat ślepeca poprowadzi.

– Co? – spytała dawna Fiona.

– Co? – powtórzyłem.

– Złowróźbna przepowiednia, tak? – odparł duch. – Trochę zagadkowego czarnowidztwa z zaświatów, nic wam to nie mówi?

– Nie możemy jej znowu zabić, prawda? – odezwała się fałszywa Fiona.

– Wielmożne straszycie – rzekłem. – Jeśli przestrozę przynosisz, wypowiedz ją jak należy. Jeśli żądasz działania, proś śmiało. Jeśli muzykę chcesz tworzyć, graj. Ale, na zaplamione winem jajca Bachusa, gadaj, do cholery, o co idzie, szybko i wyraźnie, nim żelazny jezor czasu zliże moją litość i zastąpi wątpliwościami.

– To tyś dostąpił nawiedzenia, błaznie. Twoimi sprawami się zajmuję. Czego chcesz?

– Chcę, żebyś odeszła, chcę, żeby Fiona oddała mi się po cichu, i chcę odzyskać Kordelię, Śliniaka i Degustatora. Powiesz mi tedy, jak to spełnić? Możesz tego dokonać, skamlący kłębnie wyziewów?

– Można to uczynić – odrzekła zjawa. – Odpowiedzi szukaj u wiedźm z wielkiego lasu Birnam.

– Albo mi po prostu powiedz, do kurwy – podsunąłem.

– Neeee – odparło widmo, bardzo widmowo i eterycznie, po czym pociemniało i znikło.

– Ciarki przechodzą, co? – odezwała się dawna Fiona. – Zdaje się, że twa wola osłabła, jeśli wolno zauważyć.

– Wczorajszego wieczoru ten duch ocalił mi życie – oznajmiłem, starając się tchnąć owo życie w swoją słabą, zwiędłą kuśkę.

– Ale małego zabiła, prawda? Wracaj do łóżka, błaznie, król wyrusza rankiem i będzie mnóstwo roboty, by przygotować podróż.

Ze smutkiem schowałem swoją wędkę i poczłapałem z powrotem do izby nad mostem zwodzonym, by spakować się na ostatni wyjazd z Tower.

Cóż, nie zatęsknię za cholernymi trąbami o świcie, tego możecie być pewni. Nie będę też oplakiwał cholernych łańcuchów mostu, brzęczących w mojej izbie przed pianiem koguta. Po hałasie i zgiełku, jakie rozległy się rano, można by sądzić, że wybieramy się na wojnę. Przez otwór strzelniczy widziałem Kordelię, która wyjeżdżała z książętami Francji i Burgundii, siedząc w siodle po męsku, jakby ruszała na polowanie, a nie na zawsze opuszczała dom swoich przodków. Trzeba jej oddać, że się nie obejrzała, a ja jej nie pomachałem, nawet gdy przejechała rzekę i znikła mi z oczu.

Ze Ślimakiem było inaczej i gdy wyprowadzono go z zamku ze sznurem wokół szyi, raz za razem przystawał i się odwracał, aż zbrojni, którzy go prowadzili, szarpnięciem pociągali go naprzód. Nie zniósłbym, gdyby mnie zobaczył, dlatego nie wyszedłem na mur. Wróciłem na swoje posłanie i tam leżałem, z czołem przyciśniętym do ściany, nasłuchując, jak pozostali członkowie rodziny królewskiej i ich świty przejeżdżają z łoskotem przez most zwodzony poniżej. Niech licho porwie Lira, rodzinę królewską i Tower. Wszystko, co kochałem, odeszło albo wkrótce miało zostać za moimi plecami, a wszystko, co posiadałem, znajdowało się w sakwie, a Jones sterczał z góry, szydząc ze mnie swoim lalkowym uśmiechem.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Gdy szedłem je otworzyć, czułem się jakbym wypełzał z grobu. Stała za nimi, świeża i piękna, z koszem w rękach.

– Fiona!

– Kate – powiedziała Fiona.

– Ano, z tym uporem ci do twarzy, nawet w świetle dnia.

– Bańka przesyła wyrazy współczucia z powodu Degustatora i Śliniaka, a także te ciastka i mleko na pociechę, ale prosi, żebyś nie opuszczał zamku bez pożegnania, i mówi jeszcze, że jesteś psem, szelmą i bydlakiem.

– Ach, słodka Bańka, poczęta, gdy dobroć gziła się z ogrem.

– Ja zaś przyszedłam, by dać ci pociechę, kończąc to, co zaczęło się nocą w wielkiej sali. Piskliwa powiedziała, żeby spytać cię o jakiegoś malca w wąwozie.

– No proszę, Fi, zdzira z ciebie, co?

– To druidyzm, kochany. Moi ziomkowie każdej jesieni palą dziewicę. Ostrożności nigdy za wiele.

– No dobrze, ale ogarnia mnie rozpacz i nie będzie mi przyjemnie.

– Powinniśmy przeto cierpieć razem. Naprzód! Precz z twym odzieniem, błażnie!

Mam w sobie coś, co z kobiet czyni tyranów, ale co to takiego?

„Następny ranek” przerodził się w tydzień przygotowań do wyjazdu z Tower. Gdy Lir ogłosił, że ma mu towarzyszyć stu rycerzy, nie mogło się to odbyć tak, że stu mężów po prostu dosiadało koni i wyjeżdżało przez bramę o wschodzie słońca. Każdy

rycerz – nieposiadający ziemi, drugi albo trzeci syn szlachcica – miał przynajmniej jednego giermka, pazia, zazwyczaj jeszcze kogoś do opieki nad końmi i czasami żołnierza. Każdy miał też przynajmniej jednego konia bojowego, potężną, opancerzoną bestię, i jeszcze dwoje, a nieraz troje zwierząt do przewozu zbroi, broni i zapasów. A siedziba księcia Albanii leżała o trzy tygodnie drogi na północ, w pobliżu Aberdeen. Z uwagi na powolne tempo, wyznaczane przez starego króla i tak licznych piechurów, potrzebowaliśmy góry zapasów. Pod koniec tygodnia nasza kolumna liczyła ponad pięciuset mężczyzn i chłopców oraz niemal tyle samo koni. Musielibyśmy mieć cały wagon monet, by wszystkich opłacić, gdyby Lir nie zobowiązał książąt Albanii i Kornwalii do utrzymywania swoich rycerzy.

Popatrzyłem, jak Lir przejeżdża przez bramę na czele orszaku, po czym zszedłem na dół i dosiadłem swojego wierzchowca, niskiej klaczy o wygiętym grzbiecie i imieniu Róża.

– Niech błoto nie splami odzienia mego Czarnego Błazna ani nie stępi mu dowcipu – powiedział Lir w dniu, w którym dał mi konia. Oczywiście zwierzę nie należało do mnie. Stanowiło własność króla, a teraz zapewne jego córek.

Dołączyłem do końca kolumny, za Łowczym. Towarzyszył mu długi sznur ogarów i wóz, na którym zbudowano klatkę dla ośmiu królewskich sokołów.

– Zaczniemy plądrować gospodarstwa, nim dotrzemy do Leeds – odezwał się Łowczy, tęgi mężczyzna w skórzanym stroju i z trzydziestoma zimami na karku. – Nie wykarmię tej zgrai, a mają za mało prowiantu na cały tydzień.

– Możesz wieścić klęskę, jeśli chcesz, ale to ja muszę dbać o ich dobry nastrój, gdy będą mieli puste brzuchy.

– Zaiste, nie zazdroszczę ci, błaznie. Czy to dlatego jedziesz z nami na szarym końcu i wąchasz wiatry tych z przodu, zamiast być u boku króla?

– Układam jeno sprośną piosenkę do kolacji i nie chcę mieć w uszach szczęku zbroi.

Chciałem powiedzieć Łowczemu, że nie przytłoczyły mnie obowiązki, lecz pogarda dla niedołęznego króla, który odprawił moją księżniczkę. Potrzebowałem też czasu, by przemyśleć przestrogi ducha. Ten fragment o trzech córkach i królu, który staje się błaznem, sprawdził się, a przynajmniej zaczynał się sprawdzać. Niewieścia zjawia przewidziała „potężną obrazę” dla trzech córek, nawet jeśli owe córki jeszcze obrazy nie dostrzegały. Gdy Lir przybędzie do Albanii ze swoim awanturniczym

orszakiem, obraza wkrótce nastąpi. Ale co z tym: „Kiedy z drugiej będą drzwi, skłamię, aby wzrok okadzić”?

Czy to oznaczało drugą córkę? Reganę? Jakie to miało znaczenie, że jej kłamstwa okadzą wzrok Lira? Król i tak był już niemal ślepy, oczy miał mleczone od katarakty – zacząłem nawet opisywać swoje pantomimy, gdy je odgrywałem, by starcowi nie umknął żart. A po utracie władzy, jakaż nic się jeszcze liczyła? Wojna między dwoma książętami? Mnie to nie dotyczyło, czemu zatem miało mnie obchodzić?

Dlaczego więc duch ukazywał się nic nieznaczącemu, bezradnemu błaznowi? Łamałem sobie nad tym głowę i zostałem daleko w tyle za kolumną, a gdy przystanąłem, by się wysikać, zaczepił mnie zbójca.

Wyłonił się zza zwałonego drzewa, łotr wielki jak niedźwiedź, z brodą splątaną i brudną od rzepów i strawy, oraz burzą siwych włosów, falującą pod czarnym kapeluszem z szerokim rondem. Zdaje się, że krzyknąłem z zaskoczenia i dla mniej wprawnego ucha krzyk ten mógł zabrzmieć jak wrzask małej dziewczynki, bądźcie jednak pewni, że był nadzwyczaj męski i służył ostrzeżeniu napastnika, bo w następnej chwili wyciągnąłem sztylet, noszony na krzyżu, i cisnąłem. Jego nędzne życie ocalił jedynie mój drobny błąd w oszacowaniu odległości – rękojeść broni z łoskotem walnęła go w łeb pod kapeluszem.

– Au! Do kurwy, błaznie. Co z tobą?

– Nie zbliżaj się, łotrze – rzekłem. – Mam w pogotowiu jeszcze dwa noże, a tym razem rzucę ostrzem do przodu. Moja cierpliwość została wystawiona na próbę, mój gniew zaś podsycony, nasikałem sobie bowiem na cizmy. – Uznałem, że to dostateczna groźba.

– Wstrzymaj swe ostrza, Kieszonko. Nie chcę cię skrzywdzić – dobiegł głos spod ronda. I jeszcze: – *Y Ddraig Goch ddyry gychwyn*²³.

Zamierzyłem się, by posłać kolejny sztylet prosto w serce drania.

– Może i znasz moje imię, ale to gulgotanie nie powstrzyma mnie przed położeniem cię trupem.

– *Ydych chi'n cymryn cerdynnau credid*²⁴? – spytał rozbójnik, bez wątpienia próbując jeszcze bardziej mnie przestraszyć tymi spółgłoskami, połączonymi niczym analne koraliki, wyciągane z tyłka samego szatana.

²³ *Y Ddraig Goch ddyry gychwyn* – po walijsku: „Niech Czerwony Smok rusza naprzód!”. Pierwotnie narodowe motto Walii. Później zastąpione przez: „Tak, mamy zapiekankę po pastersku!”.

– Może i jestem mały, ale nie jestem dzieckiem, by lękać się rzekomego demona, który mówi strasznymi językami. Jestem byłym chrześcijaninem, a dziś, dla wygody, poganinem. Najgorsze, co mogę zrobić, to poderżnąć ci gardło i poprosić las, by uznał to za ofiarę na przesilenie zimowe, więc skończ z tymi bzdurami i powiedz, skąd wiesz, jak się nazywam.

– To nie bzdury, tylko walijski – odparł zbój. Uniósł rondo kapelusza i puścił oko. – Może zachowasz to straszne ostrze na prawdziwego wroga? To ja, Kent. W przebraniu.

Zaiste, to był on, banita, dawny przyjaciel króla, pozbawiony wszystkich przywilejów z wyjątkiem miecza. Wyglądał, jakby tydzień, odkąd go ostatnio widziałem, przespał w lesie.

– Kencie, co tu robisz? Jeśli król cię zobaczy, postradasz życie. Myślałem, żeś już we Francji.

– Nie mam dokąd iść. Straciłem ziemię i tytuł, a krewni naraziliby życie, gdyby przyjęli mnie do siebie. Służyłem Lirowi przez czterdzieści lat, jestem lojalny i nie znam nic innego. Postanowiłem zmienić akcent i ukryć twarz, dopóki nie zmieni zdania.

– Czy lojalność jest cnotą, gdy dotyczy wroga cnót? Nie sędzę. Lir postąpił z tobą niewłaściwie. Jesteś szalony bądź głupi, a może spieszo ci do grobu, ale w towarzystwie króla nie ma dla ciebie miejsca, mój dobry starcze.

– A dla ciebie jest? Czyż nie widziałem, jak cię łapią i wyciągają za drzwi z powodu tego samego występku: prawdy w oczy? Nie pouczaj mnie o cnocie, błażnie. Jeden głos może bez strachu mówić królowi o jego szaleństwie, a oto stoi tutaj, w obsikanych ciźmach, o dwie mile od powozu.

Do ciężkiej kurwy, prawda bywa istną jędzą.

Miał rację ten gadatliwy stary byk.

– Jadłeś?

– Od trzech dni nie.

Podszedłem do swego konia i sięgnąłem do sakwy po twarde ser i jabłko, które zostały mi z pożegnalnego podarku od Bańki. Dałem je Kentowi.

– Nie przychodź zbyt prędko – rzekłem. – Lir wciąż wścieka się o szczerą zniewagę Kordelii i twą rzekomą zdradę. Ruszaj za nami do zamku księcia Albanii.

²⁴ *Ydych chi'n cymryn cerdynnau credid* – po walijsku: „Czy przyjmujecie karty kredytowe?”.

Powiem Łowczemu, by codziennie zostawiał dla ciebie przy drodze królika albo kaczkę. Masz krzemień i krzesiwo?

– Mam, i hubkę też.

Na dnie torby znalazłem ogarek i podałem go staremu rycerzowi.

– Zapal to i osmal sobie miecz, a potem wetrzyj sadzę w brodę. Zetnij włosy i też je poczerń. Lir widzi wyraźnie tylko na parę stóp, więc się nie zbliżaj. I dalej stosuj ten koszmary walijski akcent.

– Starego może oszukam, ale co z pozostałymi?

– Żaden prawy mąż nie uzna cię za zdrajcę, Kencie, ale nie znam wszystkich tych rycerzy i nie wiem, który mógłby wydać cię królowi. Nie pokazuj się, a gdy dotrzemy do zamku, postaram się usunąć każdego łotra, który mógłby zaszkodzić naszej sprawie.

– Dobry z ciebie chłop, Kieszonko. Jeśli kiedyś okazał ci brak szacunku, wybacz.

– Nie podlizuj mi się, to nie pasuje do ludzi w twoim wieku. Szybki miecz i mocna tarcza to sprzymierzeńcy, których mogę użyć wobec drani i zdrajców, tkających intrygi niczym jadowita pajęczka dziwka z Killarney.

– Pajęczka dziwka z Kilarney? Nigdy o niej nie słyszałem.

– Cóż, usiądź na tym zwałonym drzewie i zjedz. Będę snuł dla ciebie opowieść, jakby to była sieć z jej własnego krwawego tyłka.

– Zostaniesz w tyle.

– Pal to lichy, ten zgrzybiały pijak tak ich spowalnia, że niedługo zaczną zostawiać ślad niby ślimak. Usiądź i słuchaj, starcze. Słyszałeś o wielkim lesie Birnam?

– To dwie mile od Albanii.

– Doprawdy? A co sądzisz o wiedźmach?

WIATR Z PIEPRZONEJ FRANCJI

Łowczy miał oczywiście rację – nie był w stanie wykarmić całego orszaku Lira. Od wiosek po drodze żądaliśmy wikt i kwaterunku, ale wsie na północ od Leeds miały kiepskie zbiory i ich mieszkańcy nie mogli zaspokoić naszych apetytów, nie narażając przy tym samych siebie na głód. Próbowałem rozweselać rycerzy, trzymając się z dala od Lira – nie wybaczyłem mu wydziedziczenia Kordelii i odesłania Śliniaka. W skrytości ducha rozkoszowałem się skargami żołnierzy na niewygodę i nie podejmowałem prawdziwych starań, by złagodzić ich rosnącą niechęć wobec starego króla.

Piętnastego dnia naszego marszu, w okolicach Lint nad Tweed, zjedli mojego konia.

– Rózo, Rózo, Rózo, czyż koń o innym imieniu smakowałby tak słodko? – nucili rycerze. Uważali się za bardzo bystrych, rzucając takie żarty wraz z kawałkami mego pieczonego wierzchowca, które wypadały im z zatłuszczonych ust.

Tępi zawsze próbują wykazać się bystrością kosztem błazna, by jakoś odpłacić mu za jego cięty dowcip, nigdy jednak nie okazują się bystry, za to często okrutni. Właśnie dlatego nie mogę nic posiadać, o nikogo się troszczyć ani pokazywać, że na czymś mi zależy, bo jakiś zbój, pewien, że robi coś zabawnego, zaraz by mi to odebrał. Mam jednak tajemne pragnienia i marzenia. Jones to dobry rekwizyt, ale chciałbym mieć kiedyś małpę. Ubrałbym ją w błazeński strój, myślę, że z czerwonego jedwabiu. Nadałbym jej imię Jeff i dał własne berło, zwane Małym Jeffem. Tak, bardzo bym chciał mieć małpę. Byłaby mi przyjaciółką – i nie wolno byłoby jej zamordować, wygnać ani zjeść. Głupie marzenie?

W bramie zamku księcia Albanii powitał nas stolnik, doradca i naczelny pochlebca Goneryli, ta paskudna cipa Oswald. Miałem już do czynienia z tym brudożercą o szurzej twarzy, gdy w Tower był jeszcze ledwie lokajem, Goneryla pozostawała na królewskim dworze, a ja, skromny zongler, odbywałem nagie wędrówki między jej królewskimi jabłkami. Tę historię jednak lepiej zostawić na kiedy indziej, bo szelma przy bramie zakłóci nam tok opowieści.

Oswald zarówno wyglądem, jak i usposobieniem przypomina pająka i czai się nawet na otwartej przestrzeni, jest to bowiem jego naturalny sposób poruszania się. Na twarzy zamiast brody nosi meszek, podobny jak na głowie, widoczny, gdy zdejmuje swój szkocki beret w niebieską kratę, czego tego dnia nie uczynił. Ani nie ściągnął nakrycia głowy, ani się nie pokłonił na widok zbliżającego się Lira.

Stary król nie był zadowolony. Zatrzymał orszak i o strzał z łuku od zamku gestem pognął mnie naprzód.

– Kieszonko, idź zobaczyć, czego chce – powiedział. – I spytaj, czemu nie ma fanfar na moje powitanie.

– Ależ, wujciu – rzekłem. – Czy to nie kapitan straży powinien...

– Idźże, błaznie! Należy poruszyć kwestię szacunku. Wysłałem błazna na spotkanie tego szelmy, by pokazał mu jego miejsce. Nie dbaj o maniery, przypomnij temu psu, że jest psem.

– Dobrze, Wasza Wysokość. – Przewróciłem oczami do kapitana Kurana, który omal nie parsknął śmiechem, ale się powstrzymał, widząc, że gniew Lira jest prawdziwy.

Wyciągnąłem z sakwy Jonesa i ruszyłem naprzód z zaciśniętą szczęką i determinacją godną dzioba okrętu wojennego.

– Bądź pozdrowiony, zamku księcia Albanii! – zawołałem. – Bądź pozdrowiony, książę. Bądź pozdrowiona, Gonerylo!

Oswald nie odezwał się ani nie zdjął beretu. Patrzył ponad moim ramieniem na króla, nawet gdy stanąłem na wyciągnięcie ręki od niego.

Powiedziałem:

– Przybył Król Cholernej Brytanii, Oswaldzie. Radzę oddać mu należny szacunek.

– Nie zniżam się do rozmowy z błaznem.

– Wymuskany suczy synek, co? – odezwała się lalka Jones.

– No właśnie – przyznałem. A potem zauważyłem strażnika na barbakanie, który na nas patrzył. – Witaj, kapitanie, zdaje się, że ktoś opróżnił wygodkę na twoim moście zwodzonym i parująca sterta zagradza nam drogę.

Wartownik wybuchnął śmiechem. Oswald się wściekł.

– Pani poinstruowała mnie, bym was pouczył, że rycerze jej ojca nie są w zamku mile widziani.

– Doprawdy? A zatem z tobą rozmawia?

– Nie będę wiodł dysputy z impertynentem.

– Nie jest impertynentem – wtrącił Jones. – Przy właściwej inspiracji miewa pytę grubą niczym pachół do cumy. Spytaj swojej pani.

Pokiwałem głową, zgadzając się z lalką, nadzwyczaj mądrą, zważywszy, że mózg ma z trocin.

– Impertynentem! Impertynentem! Nie impotentem! – Oswald zaczynał już toczyć pianę.

– A, to trzeba było mówić – odrzekł Jones. – To się zgadza.

– Bez wątpienia – przyznałem.

– Właśnie – powiedział Jones.

– Właśnie – powiedziałem.

– Królewska zbieranina nie będzie wpuszczona do zamku.

– Doprawdy, Oswaldzie? – Wyciągnąłem rękę i poklepałem go po policzku. – Trzeba było zamówić trębaczy i róże do usłania nam drogi. – Odwróciłem się i pomachałem, więc Kuran spiął konia i kolumna ruszyła galopem naprzód. – A teraz zejdź z mostu albo cię stratuja, szczuropyska cipo.

Minąłem Oswalda i wszedłem do zamku, wymachując Jonesem, jakbym dyrygował dobozami. Myślę, że nadawałbym się na dyplomate.

Gdy Lir przejeżdżał obok, walnął Oswalda w głowę pochwą miecza, zrzucając obłudnego sługę do fosy. Poczułem, że mój gniew na starca odrobinę łagodnieje.

Kent, w przebraniu i nie do poznania po trzech tygodniach głodu i życia na powietrzu, ruszył za orszakiem, tak jak mu zaleciłem. Był teraz chudy i ogorzały, bardziej jak dawna wersja Łowczego niż stary, przekarmiony rycerz, którym był w Tower. Stałem obok bramy, gdy korowód przejeżdżał, i skinąłem mu głową, kiedy mnie mijał.

– Jestem głodny, Kieszonko. Wczoraj do jedzenia miałem jedynie sowę.

– Doskonała strawa przed szukaniem wiedźm. Pójdiesz więc ze mną wieczorem do wielkiego lasu Birnam?

– Po kolacji.

– Dobra. O ile Goneryla nas wszystkich nie otruje.

Ach, Goneryla, Goneryla, Goneryla – niby odległa miłosna pieśń brzmi jej imię. Nie twierdzę, że nie przywołuje wspomnień bólu przy sikaniu i zgniłych odchodów, ale w tym cała romantyczność, że dobre wspomnienia mieszają się ze złymi.

Gdy spotkałem ją pierwszy raz, Goneryla miała ledwie siedemnaście lat, i choć była zaręczona z księciem Albanii już w wieku lat dwunastu, nigdy go nie widziała. Ciekawska dziewczyna o okrągłym zadku spędziła całe życie w Tower i okolicach. Miała ogromny apetyt na wiedzę o zewnętrznym świecie i z jakiegoś powodu sądziła, że zdoła go zaspokoić, dręcząc skromnego błazna. Zaczęło się popołudniami, gdy wzywała mnie do swoich komnat i przy damach dworu zadawała mi najróżniejsze pytania, na które guwernanci nie chcieli odpowiedzieć.

– Pani – mawiałem – jestem jeno błaznem. Nie powinnaś spytać kogoś o wyższej pozycji?

– Matka nie żyje, a ojciec traktuje nas jak lalki z porcelany. Wszyscy inni boją się mówić. Jesteś moim błaznem i masz obowiązek mówić prawdę przed moim obliczem.

– Nienaganna logika, pani, ale prawdę rzekłszy, przybyłem tu jako błazen dla małej księżniczki. – Byłem w zamku nowy i nie chciałem ponosić odpowiedzialności za to, powiedziawszy Goneryli coś, czego zdaniem króla wiedzieć nie powinna.

– Cóż, Kordelia śpi, zatem dopóki się nie zbudzi, jesteś moim błaznem. Tak zarządzam.

Damy klaskaniem powitały królewskie zarządzenie.

– Logika znowu bez zarzutu – rzekłem do korpulentnej, lecz powabnej księżniczki. – Słucham.

– Kieszonko, wędrowałeś po kraju, powiedz, jak to jest być wieśniakiem?

– Cóż, milady, nigdy nie byłem wieśniakiem, ściśle rzecz biorąc, ale z tego, co słyszałem, na ogół człek wstaje wcześniej rano, ciężko pracuje, cierpi głód, łapie zarazę i umiera. A potem wstaje następnego ranka i wszystko od nowa.

– Codziennie?

– Cóż, jeśli to chrześcijanin, w niedzielę wstaje wcześniej rano, idzie do kościoła, cierpi głód aż do sutego posiłku, złożonego z jęczmienia i pomyj, po czym łapie zarazę i umiera.

– Głód? Dlatego wydają się tacy nędzni i nieszczęśliwi?

– To jeden z powodów. Ale wiele można powiedzieć o ciężkiej pracy, chorobach, codziennych cierpieniach i zdarzających się czasem stosach dla czarownic albo ofiarach z dziewic, zależnie od wiary.

– Jeśli są głodni, czemu po prostu czegoś nie zjedzą?

– Doskonały pomysł, milady. Ktoś powinien im to podpowiedzieć.

– O, będę chyba wysmienitą księżną. Lud zachwyci się moją mądrością.

– Bez wątpienia, pani – rzekłem. – Twój ojciec ożenił się zatem ze swoją siostrą, tak, kochana?

– Wielkie nieba, nie, matka była księżniczką belgijską. Dlaczego pytasz?

– Heraldyka to moje hobby. Mów dalej.

Gdy znaleźliśmy się za zewnętrznym murem, stało się jasne, że dalej nie pójdziemy. Główna bryła zamku znajdowała się za kolejnym murem z oddzielnym mostem zwodzonym, prowadzącym przez raczej suchy rów niż fosę. Most opuścił się, zanim król podjechał. Goneryła weszła na niego samotnie, ubrana w suknię z zielonego aksamitu, zasnurowaną nieco zbyt ciasno. Jeśli intencją było pomniejszenie biustu, to plan spełził na niczym, wywołując za to jęki i chichoty wśród niektórych żołnierzy, aż Kuran uniósł rękę, by ich uciszyć.

– Ojczy, witaj w Albanii – rzekła Goneryła. – Bądź pozdrowiony, dobry królu i kochający ojczy.

Wyciągnęła ręce i z twarzy Lira odpłynął cały gniew. Zsiadł z konia. Podskoczyłem do władcy i przytrzymałem go. Kapitan Kuran dał znak i reszta orszaku też zsiadła z wierzchowców.

Poprawiając płaszcz na ramionach Lira, pochwyciłem spojrzenie Goneryli.

– Tęskniłem, pączusiu.

– Szelma – mruknęła pod nosem.

– Zawsze była najładniejsza z całej trójki – zwróciłem się do króla. – I bez dwóch zdań najmędrsza.

– Mój mąż zamierza przypadkiem powiesić twego błazna, ojcze.

– Ach, cóż, w przypadku nie ma niczyjej winy, jeno losu – odezwałem się z uśmiechem, jak przystało na zuchwałego i bystrego wesołka. – Lecz potem zarządź chłostę tyłka tego kapryśnego losu i porządnie go zbij, pani. – Puściłem oko i cmoknąłem koński zad.

Strzała dowcipu trafiła w cel i Goneryla oblała się rumieńcem.

– Dopilnuję, by to ciebie zbito, mały, niegodziwy psie.

– Dostyc tego – przerwał Lir. – Zostaw chłopaka w spokoju. Pójdź tu i uściskaj ojca.

Jones zaszczekał z entuzjazmem i zaśpiewał:

– Błazen bić musi. Błazen bić musi, dobrze bić musi. – Moja lalka zna słabostki dam.

– Ojcze – rzekła – obawiam się, że mamy w zamku kwaterę tylko dla ciebie. Twoi rycerze i pozostali muszą się pomieścić w międzymurzu²⁵. Mamy dla nich kwatery i wikt przy stajniach.

– Ale co z moim błaznem?

– Błazen może spać w stajni z resztą tej zbieraniny.

– Niech tak będzie. – Lir pozwolił, by najstarsza córka wprowadziła go do zamku niby mleczną krowę za kółko w nozdrzach.

– Naprawdę tobą gardzi, prawda? – odezwał się Kent, który był zajęty ogryzaniem wieprzowej łopatki wielkości niemowlęcia.

Przez tłuszcz i chrząstki jego walijski akcent brzmiał jeszcze naturalniej.

²⁵ Międzymurze – przestrzeń między murem wewnętrznym a zewnętrznym, zwykle otaczającym cały kompleks zamkowy.

– Nie martw się, chłopie – rzekł Kuran, który dołączył do nas przy ogniu. – Nie pozwolimy, by książę Albanii cię powiesił. Prawda, chłopcy?

Żołnierze wokół nas zaczęli wiwatować, niepewni, w jakiej właściwie sprawie, pomijając fakt, że dostali pierwszy pełny posiłek z piwem, odkąd opuścili Tower. W międzymurzu znajdowała się mała wioska i niektórzy rycerze zdążyli się już oddalić w poszukiwaniu piwiarni i ladacznic. Przebywaliśmy na zewnątrz zamku, ale przynajmniej nie docierał tu wiatr i mogliśmy spać w stajniach, które paziowie i giermkowie wyczyścili po naszym przybyciu.

– Jeśli nas nie wpuszczą do wielkiej sali, my nie dopuścimy ich do talentu królewskiego błazna – powiedział Kuran. – Zaśpiewaj nam, Kieszonko.

Po obozowisku poniósł się okrzyk:

– Śpiewaj! Śpiewaj! Śpiewaj! Kent uniósł brwi.

– Śmiało, chłopie. Twoje wiedźmy poczekają.

Jestem kim jestem. Opróżniłem swój dzban piwa, postawiłem go przy ogniu, a potem gwizdnąłem głośno, zerwałem się na nogi, wykonałem trzy salta i przewrót w tył, po czym wylądowałem z Jonesem wycelowanym w księżyc i powiedziałem:

– Ballada zatem?

– Ano! – zagrzmiała chóralna odpowiedź.

Pięknym głosem zacząłem więc śpiewać „Czy wychędożyć panią na włościach?”, po czym uzupełniłem to pieśnią narracyjną w tradycji trubadurów, zatytułowaną „Powieszenie Wacka Dyndola”. Cóż, każdy lubi dobrą opowieść po kolacji i, na jednookie jaja cyklopów, po tej historii zaczęli klaskać, więc trochę zwolniłem tempo, przechodząc do poważnej ballady „Smocze nasienie splugawiło mą piękną niewiastę”. Tylko gbur zostawia całą czeredę wojów we łzach, zatańczyłem więc po swojemu wokół obozowiska, podśpiewując szantę „Karczmarka Dagmara (rucha się jak stara)”.

Miałem się już pożegnać i życzyć wszystkim dobrej nocy, gdy Kuran zarządził ciszę i do obozowiska wmaszerował zdrożony herold ze złotą lilią na piersi. Po chwili rozwinął zwój i zaczął czytać.

– Słuchajcie, słuchajcie. Ogłaszamy wszem wobec, że Filip dwudziesty siódmy, król Francji nie żyje. Panie, świeć nad jego duszą. Niech żyje Francja. Niech żyje król!

Nikt nie podchwycił okrzyku „niech żyje król” i herold wydawał się zawiedziony. Mimo wszystko jeden z rycerzy mruknął „no i co?”, inny zaś „nareszcie”.

– No, brytyjskie psy, książę Jeff został królem – oznajmił tamten.

Wszyscy popatrzyliśmy po sobie i wzruszyliśmy ramionami.

– A księżniczka Brytanii Kordelia jest teraz królową Francji – dodał herold, mocno już wzburzony.

– Jeff? – odezwałem się. – Cholerny żabi ksiązę nazywa się Jeff? – Podszedłem do niego i wyrwałem mu zwój z ręki.

Próbował mi go odebrać, więc walnąłem go Jonesem.

– Miarkuj się, chłopie – powiedział Kent, odbierając mi dokument i oddając go z powrotem posłańcowi. – *Merci* – zwrócił się do niego.

– Zabrał mi cholerną księżniczkę i jeszcze imię mojej małpy! – rzekłem, znów zamierzając się Jonesem, chybiłem jednak, bo Kent już mnie odciągał.

– Powinieneś się cieszyć – stwierdził Kent. – Twoja pani to królowa Francji.

– Nie myśl, że nie będzie mi o tym przypominała, kiedy się spotkamy.

– Chodź, znajźmy twoje wiedźmy. Chcemy wrócić do rana, by ksiązę Albanii zdążył cię przypadkiem powiesić.

– O, to by się jej spodobało, prawda?

TRUDY I ZNOJE

– Po co zatem udajemy się do wielkiego lasu Birnam na poszukiwanie wiedźm?
– spytał Kent, gdy pokonywaliśmy wrzosowisko. Wiał tylko leciutki wietrzyk, ale było cholernie zimno, do tego dochodziła mgła, posępna atmosfera i moja rozpacz związana z królem Jeffem. Opatuliłem się wełnianym płaszczem.

– Przekłeta Szkocja – rzekłem. – Albania to chyba najciemniejsza, najwilgotniejsza cholerna dziura w całym Blighty. Niech lichy porwie Szkotów.

– Wiedźmy? – przypomniał Kent.

– Bo przeklęty duch powiedział, że tu znajdę odpowiedzi.

– Duch?

– Duch dziewczyny w Tower, nie ociągaj się, Kencie. Rymy, zagadki i tym podobne. Powiedziałem mu, że „trzem córkom los szykuje potężną obrazę” i że „wariat ślepcą poprowadzi”.

Kent skinął głową, jakby to rozumiał.

– A ja idę z tobą, ponieważ...

– Ponieważ jest ciemno, a ja jestem mały.

– Mogłeś poprosić Kurana albo któregoś z pozostałych. Przy wiedźmach staję się małomówny.

– Bzdura. Z nimi jest zupełnie tak, jak z medykami, tyle że nie leci krew. Nie ma się czego bać.

– Kiedy Lir był jeszcze chrześcijaninem, nie mieliśmy łatwo z wiedźmami. Na mnie rzuciły furę klątw.

– Chyba nie okazały się zbyt skuteczne? Jesteś tak stary, że można straszyć dzieci, a wciąż masz siłę byka.

– Jestem banitą bez pensa przy duszy i grozi mi śmierć, gdy ktoś mnie rozpozna.

– Słusznie. W takim razie dzielnyś, że idziesz.

– Dzięki, lecz wcale się tak nie czuję. Cóż to za światło?

Przed nami płonęło w lesie ognisko i było widać poruszające się wokół niego postacie.

– Teraz po cichu, drogi Kencie. Podkradnijmy się i zobaczymy, co się da, nim się ujawnimy. Skradaj się, ty hałaśliwy byku, skradaj.

Po zaledwie dwóch krokach wyszła na jaw wada mojej strategii.

– Dzwonisz jak sakiewka, która dostała drgawek – stwierdził hrabia. – Nie podkradłbyś się nawet do głuchego ani trupa. Ucisz swoje cholerne dzwonki, Kieszonko.

Położyłem błazeńską czapkę na ziemi.

– Mogę zostawić czapkę, ale butów nie zdejmę. Całą skrytość wzięliby diabli, gdybym krzyknął, nadepnąwszy bosą na jaszczurkę, cierń, jeża lub coś podobnego.

– Weź zatem to – powiedział, wyciągając z sakwy resztki wieprzowej łopatki. – Unurzaj swe dzwonki w sadle.

Uniosłem brwi z powątpiewaniem, co w ciemności stanowiło grymas niewyraźny i wyjątkowo subtelny, po czym wzruszyłem ramionami i zacząłem wcierać tłuszcz w dzwonki na swoich palcach u nóg i kostkach.

– Już! – Potrząsnąłem nogą i nie rozległ się żaden dźwięk. – Naprzód!

I skradaliśmy się, aż znaleźliśmy się tuż poza zasięgiem blasku ogniska. Trzy zgarbione czarownice chodziły wolno wokół dużego kotła, wrzucając do środka jakieś bezkształtne fragmenty i śpiewając.

Trudy i znoje kocioł szykuje,

Niech ogień płonie, niech się gotuje.

– Wiedzmy – szepnął Kent, składając hołd cholernemu bogu wszystkich chędożonych oczywistości.

– No – rzekłem, zamiast mu przyłożyć (Jones został, by pilnować czapki).

Oko traszki, żabi palec,

Język kundla i zakalec,

Żądło larwy, włosie krowy,

*Łój jaszczurki, skrzydło sowy,
Niech to wszystko się gotuje,
Trud piekielny niech zwiastuje.*

Chórem powtórzyły ostatnie wersy, a my czekaliśmy na kolejną część receptury, gdy poczułem, że coś ociera mi się o nogę. Z trudem powstrzymałem krzyk. Dłoń Kenta opadła na me ramię.

– Nie bój się, chłopie, to tylko kot.

Znowu muśnięcie, a potem miauczenie. Teraz były już dwa koty, które oblizywały moje dzwonki i mruczały (brzmi to przyjemniej, niż było w istocie).

– To przez cholerne świńskie sadło – szepnąłem. Trzeci zwierzak dołączył do tamtych. Stałem na jednej nodze, próbując utrzymywać drugą nad ich głowami, ale choć jestem świetnym akrobatą, sztuka lewitacji wciąż pozostaje mi obca. A zatem moja oparta o ziemię stopa stała się moją, nomen omen, piętą achillesową. Któryś z drani zatopił zęby w mojej kostce.

– Do ciężkiej kurwy! – powiedziałem dosyć głośno. Podskoczyłem i wygłosiłem parę nieprzystojnych uwag pod adresem wszystkich stworzeń o kocim pokroju. Rozległy się prychnięcia i miauki. Gdy koty wreszcie odstępowały, siedziałem w rozkroku przy ogniu, Kent stał obok z obnażonym mieczem w gotowości, a trzy wiedźmy ustawiły się rzędem po przeciwnej stronie kotła.

– Cofnijcie się, wiedźmy! – odezwał się hrabia. – Możecie zakląć mnie w ropuchę, ale będą to ostatnie słowa, jakie dobędą się wam z ust, dopóki wasze głowy trzymają się karków.

– Wiedźmy? – powtórzyła pierwsza wiedźma, najzileńsza z całej trójki. – *Jakie wiedźmy? My jeno skromne praczki, co drogę skracają przez las.*

– *Spieszmy się z praniem, by zdążyć na czas* – dodała druga, najwyższa.

– *O nic nie posądzajcie nas* – powiedziała trzecia wiedźma, która miała paskudną brodawkę nad prawym okiem.

– Na usmolone cycki Hekate²⁶, przestańcie rymować – rzekłem. – Skoro nie jesteście wiedźmami, co za klątwę tu warzyłyście?

– *Zupę* – oznajmiła Brodawka.

– *Zupę, zupę, daję słowo* – powiedziała Wysoka.

– *Zupę, zupę fioletową* – dorzuciła Zielona.

²⁶ Hekate – grecka bogini czarów, magii i duchów.

- Nie jest fioletowa – zauważył Kent, zaglądając do kotła. – Raczej brunatna.
- Wiem – przyznała Zielona – ale brunatna się nie rymuje, prawda, kochany?
- Szukam wiedźm – przemówiłem.
- Doprawdy? – spytała Wysoka.
- Przysłała mnie duch.

Czarownice popatrzyły po sobie, a potem znowu na mnie.

- Duch ci powiedział, żebyś przyniósł tu pranie, tak? – spytała Brodawka.
- Nie jesteście praczkami! Jesteście cholernymi wiedźmami! I to nie jest zupa!

A cholerny duch z cholernego Tower kazał mi szukać tu odpowiedzi, więc może przejdziemy do rzeczy, wy sękaty bryły zastygłych rzygowin?

- Ech, teraz już na pewno zostaniemy ropuchami – westchnął Kent.
- Zawsze jest cholerny duch, nie? – powiedziała Wysoka.
- Jak ona wyglądała? – spytała Zielona.
- Kto? Duch? Nie powiedziałem, że to była „ona”...
- Jak wyglądała, błaznie? – warknęła Brodawka.
- Zapewne dożyję swoich dni, jedząc robaki i kryjąc się pod liśćmi, aż jakaś

starucha wrzuci mnie do kotła – rozmyślał na głos Kent, oparłszy się o swój miecz i patrząc na mknące do ognia ćmy.

- Była blada jak duch – rzekłem. – Cała w bieli, zwiewna, z jasnymi włosami i...
- Ale czy była gładka²⁷? – spytała Wysoka. – Może nawet śliczna?
- Trochę bardziej przejrzysta, niż to lubię u dziewczek, ale tak, gładka była.
- Tak – powiedziała Brodawka, spoglądając na pozostałe, które stłoczyły się wokół niej.

Gdy się wyprostowały, Zielona przemówiła:

- Przedstaw tedy swoją sprawę, błaznie. Dlaczego zjawa cię tu przysłała?
- Powiedziała, że możecie mi pomóc. Jestem błaznem na dworze Lira, króla Brytanii. Ów odesłał swą najmłodszą córkę, Kordelię, do której jestem przywiązany. Oddał mojego czeladnika Śliniaka temu podłemu bękartowi Edmundowi z Gloucester, a mój przyjaciel Degustator został otruty i zupełnie nie żyje.

– I nie zapomnij, że o świcie cię powieszą – dodał Kent.

– Tym się nie przejmujcie, moje panie – powiedziałem. – „Wkrótce mnie powieszą” to dla mnie status quo, a nie stan, który wymagałby waszej interwencji.

²⁷ Gładka – tu: atrakcyjna, seksowna.

Czarownice znowu nachyliły się do siebie. Dobiegło nas mnóstwo szeptów i trochę syków. Przerwały naradę i Brodawka, która wyglądała na przewodniczącą zboru, orzekła:

– Ten Lir to twardy orzech do zgryzienia.

– Kiedy ostatnio przeszedł na chrześcijaństwo, utopiono wiele czarownic – powiedziała Wysoka.

Kent pokiwał głową i popatrzył na swoje buty.

– Mała Inkwizycja. Niezbyt chlubna karta.

– Przez dekadę przywracałyśmy im czarami życie, planując zemstę – rzekła Brodawka.

– Rozmaryn w wilgotne dni wciąż toczy mętną wodę z uszu – dodała Wysoka.

– I karpie zjadły mi małe palce u nóg, kiedy leżałam na dnie stawu – poskarżyła się Zielona.

– Karpie były gefilte²⁸ jej palcami, więc musiałyśmy znaleźć zakłętego rysia i zabrać mu dwa do wymiany.

Rozmaryn (czyli Zielona) z powagą pokiwała głową.

– W dwa tygodnie przebiją każde buty, ale są niezastąpione do ścigania wiewiórek na drzewach – stwierdziła Wysoka.

– To prawda – przyznała Rozmaryn.

– Lepsze to niż stos – powiedziała Brodawka.

– Racja – rzekła Wysoka. – Żadne kocie palce nie pomogą, jeśli cię całą spalili.

Lir urządził też parę stosów.

– Nie przybyłem tu w imieniu Lira – odezwałem się. – Chcę naprawić szaleństwo, które uczynił.

– Czemuś więc nie mówił? – spytała Rozmaryn.

– Zawsze z chęcią zasiejemy zamęt na drodze Lira – zapewniła Brodawka. – Mamy rzucić nań klątwę trądu?

– Za pozwoleniem, drogie panie, nie pragnę, by szczeł starzec, lecz skutki jego czynów.

– Prosta klątwa byłaby łatwiejsza – stwierdziła Wysoka. – Odrobina śliny nietoperza do kotła i jeszcze przed śniadaniem zaczniesz człapać na kaczych płetwach. I jeszcze by kwakał, gdybyś dał szylinga albo świeżo uduszone niemowlę za fatygę.

– Chcę jeno odzyskać przyjaciół i dom – rzekłem.

²⁸ Gefilte fisz – ryba faszzerowana lub pulpety rybne, na ogół z karpia.

– Cóż, skoro nie dasz się przekonać, musimy odbyć naradę – stwierdziła Rozmaryn. – Pietruszko, Szałwio, na chwilę. – Gestem przyzwała pozostałe wiedźmy pod stary dąb, gdzie zaczęły szeptać.

– Pietruszka, Szałwia i Rozmaryn? – odezwał się Kent. – A tymianku nie ma? Rozmaryn odwróciła się do niego.

– O, mamy czas, jeśli ty masz chęć, przystojniaku.

– Znakomite przedstawienie, wiedźmo! – rzekłem.

Polubiłem te staruchy, miały bowiem ostry dowcip.

Rozmaryn przewróciła zdrowym okiem, uniosła spódnicę, wymierzyła zwiędłe poślądki w hrabiego i potarła je sparalizowanym szponem.

– Krągły i jędrny, dobry rycerzu. Krągły i jędrny.

Kent zakrztusił się i cofnął o kilka kroków.

– Boże uchowaj! Precz, ohydna, kostropata zdziro!

Odwróciłbym wzrok, należało to uczynić, nigdy jednak nie widziałem zielonego tyłka. Człek słabszy może wydłubałby sobie oczy, ale jako filozof wiedziałem, że żaden widok nie może pozostać niewidzianym, więc wytrzymałem.

– No, skocz, Kencie – powiedziałem. – Chędożenie zwierząt to twe powołanie, a z pewnością zostałeś teraz powołany.

Kent cofnął się i wpadł na drzewo. Osunął się po pniu, oszołomiony.

Rozmaryn opuściła spódnicę.

– Tylko cię podpuszczałam. – Staruchy zarechotały, znów nachylając się do siebie. – Zrobimy jednak z ciebie ropuchę, gdy dokończymy już sprawę błazna. Chwilę...

Wiedźmy szeptały przez chwilę, po czym podjęły swój marsz wokół kotła.

Tatara wargi, Turka nos,

Nasienie gryfa, małpi włos,

Z tygrysim jądrem starta mandragora,

Króla szaleństwowi kres położyć pora.

– Oj, do kata – powiedziała Szałwia. – Skończyły nam się małpie włosy.

Pietruszka zerknęła do kotła i zamieszła.

– Można się obyć bez nich, a w zastępstwie użyć palca błazna.

– Nie – zaprotestowałem.

– Weźmy zatem palec tego nadobnego i jurnego męża z czernidłem do butów na brodzie. Wygląda wystarczająco błazeńsko.

– Nie – powiedział Kent, wciąż ciut oszołomiony. – I to nie jest czernidło do butów, jedno chytne przebranie.

Wiedzmy popatrzły na mnie.

– Nie można liczyć na dokładne działanie bez małpich włosów albo palca błazna – oznajmiła Rozmaryn.

– Radźmy sobie z tym, co mamy, i dzielnie suńmy naprzód, dobrze, moje panie?

– Niech będzie – odparła Pietruszka – ale nie miej nam za złe, jeśli zchędożymy ci przyszłość.

Znów nastąpiło zataczanie kręgów wokół kotła i śpiewy w językach martwych, a także całkiem pokaźna porcja jęków, aż w końcu, gdy już miałem zapaść w drzemkę, w kotle podniósł się wielki bąbel. Po chwili pękł, uwalniając kłęb pary, który ułożył się w kształt ogromnej twarzy, przypominającej nieco tragiczną maskę, noszoną przez wędrownych aktorów. Twarz lśniła na tle mglistej nocy.

– Czołem – powiedziało olbrzymie oblicze z londyńskim i lekko zapijaczonym akcentem.

– Czołem wielka, parująca twarzy – odrzekłem.

*Pędź do Gloucestera i ratuj Śliniaka,
Bo krew się poleje i wybuchnie draka.*

– O, do kurwy, ten też rymuje? – zwróciłem się do czarownic. – Czy już nie można spotkać zjaw, które mówią prozą?

– Milcz, błaznie! – warknęła Szałwia, o której na powrót zacząłem już myśleć jako o Brodawce. Do twarzy zaś powiedziała: – O, widmo mrocznej mocy, dobrze wiemy, gdzie i co, ale błazen liczył na jakieś wskazówki w kwestii: jak.

– Wybacz – powiedziało parujące oblicze. – Nie jestem tępy, lecz w waszym wywarze zabrakło małego włosa.

– Następnym razem wrzucimy dwa – obiecała Szałwia.

– Dobrze zatem...

*By odwrócić władcy wolę, co ci zbrzydła,
Odbierz mu jego świętę, a przytniesz mu skrzydła,*

*Najstarszym córkom rycerzy daj w wianie,
A niebawem błazen królem nam zostanie.*

Twarz z pary uśmiechnęła się.

Popatrzyłem na wiedźmy.

– Czyli mam w jakiś sposób sprawić, by Goneryla i Regana zabrały rycerzy Lira oprócz tego wszystkiego, co już mają?

– On nigdy nie kłamie – zapewniła Rozmaryn.

– Często jest kurewsko niedokładny – dodała Pietruszka – ale nie kłamie.

– Jeszcze coś – zwróciłem się do widma. – Dobrze wiedzieć, co robić i w ogóle, ale metoda w szaleństwie byłaby mile widziana. Strategia, tak to ujmijmy.

– Bezczelny mały szelma, co? – powiedział Parowy do wiedźm.

– Mamy rzucić na niego klątwę? – spytała Szałwia.

– Nie, nie, chłop ma przed sobą wyboisty trakt i bez klątwy, która spowolni jego marsz. – Widmo przełknęło ślinę (a przynajmniej wydało taki dźwięk, jako że, ściśle rzecz biorąc, nie posiadało przełyku).

*Księżniczka rychło nagnie się do twojej woli,
Gdy pokusa w twym liście myśli jej zniewoli.
Losy nowe pozna król, królowa, księżę,
Kiedy wielką pasję urokiem się zwiąże.*

Z tymi słowami widmo zniknęło.

– I to wszystko? – spytałem. – Parę rymowanek i kończymy? Nie mam pojęcia, co robić.

– Jesteś trochę tępy, co? – odparła Szałwia. – Masz jechać do Gloucester. Masz oddzielić Lira od rycerzy i dopilnować, by córki przejęły władzę nad nimi. Potem masz napisać uwodzicielskie listy do księżniczek i związać ich pasje magicznym urokiem. Nie wyraziłby się jaśniej, nawet gdyby powiedział to wierszem.

Kent kiwał głową i wzruszał ramionami, jakby cholerna oczywistość tego wszystkiego przelała się przez las niczym olśniewający potop, pozostawiając tylko mnie suchego.

– Oj, idź się gzić, siwobrody opoju. Gdzie znajdę magiczny urok, żeby związać pasję tych dziwek?

– U nich – odrzekł Kent, nieuprzejmie wskazując czarownice.

- U nas – powiedziały chórem staruchy.
- Ach – mruknąłem, pozwalając, by potop oblał i mnie. – Oczywiście.

Rozmaryn postąpiła krok naprzód i wyciągnęła przed siebie trzy wysuszone, szare kule, mniej więcej wielkości ludzkiego oka. Nie wziąłem ich z obawy, że nie tylko wyglądają obrzydliwie, ale i są czymś obrzydliwym, na przykład suszonymi jądrami elfów.

- Purchawki, które rosną głęboko w lesie – wyjaśniła Rozmaryn.

W oddechu kochanka uwolnią te grzyby

Urok, który działa wcale nie na niby.

I nie odwrócisz pasji siłą ani złotem,

Ku temu, którego imię padnie zaraz potem.

- A tak w skrócie, prosto i bez rymów?

– Ściśnij jedną z tych purchawek pod nosem swojej pani, potem wypowiedz własne imię, a uzna twe przymioty za nieodparte i zapala wobec ciebie przemożną żądzą – wytłumaczyła Szalwia.

- Czyli w zasadzie grzyby są zbyteczne? – powiedziałem z uśmiechem.

Wiedźmy zaczęły się pokładać ze śmiechu, a po chwili Rozmaryn wsunęła purchawki do małej jedwabnej sakiewki i podała ją mnie.

- Pozostaje kwestia zapłaty – rzekła, gdy sięgnąłem po woreczek.

– Jestem ubogim błaznem – przypomniałem. – Wszystko, co mam, to moje berło i mocno zużyta wieprzowa łopatka. Właściwie mogę poczekać, aż każda z was wytarza się z Kentem w sianie, jeśli to wystarczy.

- Nic z tego! – zawołał Kent.

Starucha uniosła dłoń.

- Cenę określimy później – oznajmiła. – Kiedykolwiek poprosimy.

- Dobrze więc – powiedziałem, zabierając sakiewkę.

- Przysięgnij – rzekła.

- Przysięgam.

- Własną krwią.

- Ale...

Szybka niczym kot, skrobnęła wierzch mojej dłoni swoim postrzępionym pazurem.

- Au!

W zadrapaniu zebrała się krew.

– Niech skapnie do kotła i wtedy przysięgniesz – nakazała wiedźma.

Usłuchałem.

– Skoro już tu jestem, to może mógłbym dostać małpę?

– Nie – powiedziała Szałwia.

– Nie – powtórzyła Pietruszka.

– Nie – zawtórowała im Rozmaryn. – Małpy nam się skończyły, ale rzucimy czar na twego kompana, by jego przebranie nie było tak cholernie żałosne.

– Zatem do dzieła – rzekłem. – Musimy ruszać.

AKT II

„O ile dotkliwiej niż ukąszenie zjadliwego gadu
boli niewdzięczność dziecka”.

Król Lir, Akt I, scena 4

WSZYSTKIE TWE STRASZLIWE ŻĄDZE

Niebo zwiastowało już ponury poranek, gdy dotarliśmy do zamku księcia Albanii. Most zwodzony był podniesiony.

– Kto idzie?! – krzyknął wartownik.

– Błazen Lira, Kieszonka, i jego przyboczny, Kajus.

Kajus to imię, które nadały Kentowi wiedźmy, by utrwalić jego przebranie. Rzuciły nań czar: jego broda i włosy były teraz kruczoczarne, rzekłbyś, z natury, a nie od sadzy, twarz zaś miał szczupłą i ogorzałą, więc tylko oczy, piwne i łagodne jak u dojrzałej krowy, zdradzały prawdziwego Kenta. Poradziłem mu, by opuszczał szerokie rondo kapelusza, gdybyśmy napotkali starych znajomych.

– Gdzieś ty się podziewał, do diabła? – spytał strażnik. Dał znak i most opadł.

– Stary król niemal przewrócił kraj do góry nogami, szukając cię. Oskarżył naszą panią, że z kamieniem u szyi wrzuciła cię do Morza Północnego, daję słowo.

– No to klops, zdaje się. Musiałem urosnąć w jej oczach. Ledwie zeszłego wieczoru chciała mnie tylko powiesić.

– Zeszłego wieczoru? Ty stary pijaku, szukamy cię od miesiąca.

Spojrzałem na Kenta, a on na mnie, a potem obaj zwróciliśmy wzrok na wartownika.

– Od miesiąca?

– Cholerne wiedźmy – mruknął hrabia.

– Gdybyś się pojawił, mamy natychmiast prowadzić cię do naszej pani – oznajmił strażnik.

– O, uczynź to, miły strażniku, twoja pani tak uwielbia mój widok o brzasku.

Gwardzista podrapał się po brodzie i zdało się, że myśli.

– Słusznie prawisz, błaznie. Może lepiej zjedzcie śniadanie i umyjcie się, nim zabiorę was do swej pani.

Most zwodzony opadł z hukiem na swoje miejsce. Przeprowadziłem Kenta na drugą stronę i podeszliśmy do wartownika, który czekał na nas przy bramie wewnętrznej.

– Najmocniej przepraszam, panie – powiedział strażnik, zwracając się do Kenta. – Nie masz nic przeciw temu, by poczekać z wieścią o przybyciu błazna, aż wybije ósma?

– Wtedy kończysz wartę, kolego?

– Tak, panie. Nie mam pewności, czy chcę przynieść dobrą nowinę o przybyciu zaginionego trefnisa. Królewscy rycerze od dwóch tygodni tumult podnoszą i słyszałem, jak nasza pani przeklina Czarnego Błazna jako jednego z winowajców.

– Oskarża mnie nawet pod mą nieobecność? – odezwałem się. – Mówiłem ci, Kajusie, ona mnie uwielbia.

Kent poklepał wartownika po ramieniu.

– Sami się odprowadzimy, chłopie. Powiedz swej pani, żeśmy przeszli rankiem przez bramę wraz z kupcami. A teraz wróć na miejsce.

– Dziękuję, dobry panie. Gdyby nie plugawe odzienie, wziąłbym cię za szlachcica.

– Gdyby nie odzienie, byłbym nim – odparł Kent z uśmiechem lśniącym pośrodku czarnej od niedawna brody.

– Oj, do kurwy, polizcie się nawzajem po pałkach i miejmy to za sobą – wtrąciłem.

Obaj odskoczyli, jakby stanęli w ogniu.

– Przepraszam, tylko się nabijałem – stwierdziłem, mijając ich i wchodząc do zamku. – Wy, pedały, jesteście tacy wrażliwi.

– Nie jestem pedałem – stwierdził Kent, gdy zbliżaliśmy się do komnat Goneryli.

Był późny poranek. Tymczasem zdążyliśmy zjeść, umyć się, to i owo napisać, a także upewnić się, że zaiste nie było nas przez ponad miesiąc, choć zdawało nam się,

że to tylko jedna noc. Może taką właśnie zapłatę wyznaczyły czarownice? Wyciągnęły miesiąc z naszego życia w zamian za zaklęcia, eliksiry i przepowiednie – cena wydawała się uczciwa, ale cholernie trudna do wytłumaczenia.

Oswald siedział przy pulpicie skryby przed komnatami księżniczki. Zaśmiałem się i pomachałem mu przed nosem Jonesem.

– Nadal strzeżesz drzwi niczym prosty lokaj? O, czas obszedł się z tobą łaskawie.

Oswald nosił u pasa jedynie sztylet, a nie miecz, ale jego dłoń powędrowała do rękojeści, gdy wstawał.

Kent opuścił dłoń na miecz i z powagą pokręcił głową. Tamten z powrotem usiadł na stołku.

– Wiedz, że jestem zarówno sługą, jak i szambelanem, a także zaufanym doradcą księżnej.

– Istny kołczan tytułów dała ci do ostrzału. Powiedz, czy nadal reagujesz na „lizusa” i „przydupnego”, czy może te tytuły stały się już tylko honorowe?

– Wszystko to lepsze niż prosty błazen – szczerknął Oswald.

– Prawda, jestem błaznem, i prawda, jestem prosty, ale nie jestem prostym błaznem, przydupasie. Jestem Czarnym Błaznem, posłano po mnie i będę wpuszczony do komnat twej pani, ty zaś, błaznie, siedział będziesz przy drzwiach. Zapowiedz mnie.

Zdaje się, że w tym momencie zawarczał. Nowa sztuczka, której się nauczył. Zawsze starał się rzucać mój tytuł jak obelgę i wrzał, gdy odbierałem go jak hołd. Czy kiedykolwiek zrozumie, że wkradł się w łaski Goneryli nie z uwagi na swą służalczość czy oddanie, lecz dlatego, że tak łatwo go było poniżyć? Chyba więc dobrze, że nauczył się warczeć, to pasowało do zbitego psa.

Wszedł do środka przez ciężkie drzwi i po minucie był już z powrotem. Nie patrzył mi w oczy.

– Moja pani zaraz cię przyjmie – oznajmił. – Ale tylko ciebie. Ten zbir może poczekać w kuchni.

– Zaczekaj tutaj, zbirze – zwróciłem się do Kenta. – I postaraj się nie wychędożyć nieszczęsnego Oswalda, choćby nie wiem jak o to błagał.

– Nie jestem pedałem – powiedział Kent.

– Na pewno nie przy tym łajdaku – odparłem. – Jego tyłek to własność księżniczki.

- Dopilnuję, byś wisiał, błaznie – powiedział Oswald.
- Podnieciła cię ta myśl, co, Oswaldzie? Nieważne, nie dostaniesz mego zbira.

Adieu.

I już byłem za drzwiami, w komnatach Goneryli. Siedziała po przeciwległej stronie wielkiego, okrągłego pomieszczenia. Jej komnaty znajdowały się w zamkowej wieży. Trzy piętra: sala służąca spotkaniom i załatwianiu interesów, do której właśnie wszedłem, kolejne piętro powyżej z izbami dla dwórek, garderobą, łaznią i ubieralnią, oraz najwyższe, na którym zapewne spała i grała – o ile jeszcze grała.

- Nadal grasz, pączusiu? – spytałem.

Odańczyłem parę krótkich kroczków i pokłoniłem się.

Goneryla odprawiła dwórki.

- Kieszonko, ja cię...

– Wiem, powieszę o świcie, oddam katu i łeb na włącznię nabiję, z flaków zrobię podwiązki, nabiję na pal, wypatroszę, pobiję, przerobię na bigos... Wszystkie swe straszliwe żądze zaspokoisz z chwalebny okrucieństwem. Wszystko przewidziane, milady, starannie zapamiętane i wzięte za dobrą monetę. Dobrze, jak zatem skromny błazen może ci służyć, nim spadnie nań zguba?

Wywinęła wargę, jakby chciała warknąć, a potem wybuchła śmiechem i obejrzała się, by się upewnić, że nikt jej nie widzi.

- Zrobię to, wiesz... ty okropny, podły konusie.
- Podły? *Moi?* – odrzekłem z doskonałym pieprzonym francuskim akcentem.
- Nikomu nie mów – powiedziała.

Z Gonerylą zawsze tak było. Lecz jej „nikomu nie mów” dotyczyło wyłącznie mnie, a nie jej, jak się przekonałem.

– Kieszonko – powiedziała raz, szcztokując przy oknie swe rudozłote włosy, które w promieniach słońca wyglądały, jakby świeciły wewnętrznym blaskiem. Miała wtedy może siedemnaście lat i wzywała mnie do swoich komnat kilka razy w tygodniu, po czym bezlitośnie przepytowała.

– Kieszonko, wkrótce wyjdę za mąż, a nie mam pojęcia o męskich częściach ciała. Słyszałam opisy, ale to niewiele daje.

- Spytaj swojej piastunki. Nie powinna ci mówić o takich sprawach?
- Ciocia jest mniszką i poślubiła Jezusa. To dziewica.
- Co ty powiesz? W takim razie trafiła nie do tego klasztoru co trzeba.
- Muszę porozmawiać z mężczyzną, ale nie takim z prawdziwego zdarzenia. Ty jesteś jak ci, którym Saraceni każą pilnować swych haremów.
- Jestem eunuchem?
- Widzisz, światowiec z ciebie i wszystko wiesz. Muszę zobaczyć twojego siusiaka.
- Słucham? Co? Dlaczego?
- Bo nigdy żadnego nie widziałam, a nie chcę wyjść na naiwną w noc poślubną, gdy weźmie się za mnie ten zdeprawowany brutal.
- Skąd wiesz, że to zdeprawowany brutal?
- Ciocia mi powiedziała. Wszyscy mężczyźni tacy są. A teraz wyciągaj siusiaka, błaznie.
- Czemu akurat mój siusiak? Nie brakuje siusiaków, na które możesz popatrzeć. Co z Oswaldem? Może nawet ma siusiaka, a przynajmniej będzie wiedział, gdzie go szukać. -(Oswald był wówczas jej lokajem).
- Wiem, ale to mój pierwszy siusiak, a twój będzie mały i nie taki straszny. To tak jak wtedy, gdy uczyłam się jeździć konno i najpierw tata dał mi kucyka, a potem, kiedy byłam starsza...
- No dobra, już zamilcz. Masz.
- O, no proszę.
- Co?
- Czyli to to?
- Tak. A co?
- Tak naprawdę nie było się czego bać, prawda? Nie wiem, o co tyle hałasu. Wygląda dość żałośnie, gdyby mnie ktoś pytał.
- Wcale nie.
- Wszystkie są takie małe?
- Właściwie na ogół są mniejsze.
- Mogę dotknąć?
- Jeśli musisz.
- Proszę, proszę.
- Widzisz, teraz go rozzłościłaś.

– Gdzieś był, na litość boską? – spytała. – Ojciec szalał, gdy cię szukał. Co dzień wyjeżdżał z kapitanem na patrol i tak aż do wieczora, zostawiając resztę rycerzy, którzy podnosili tumult w zamku. Mój pan wysłał żołnierzy aż do Edynburga, by o ciebie pytali. Powinam cię utopić za te kłopoty, których nastreczyłeś.

– Tęskniłaś za mną, prawda? – Chwyciłem jedwabną sakiewkę przy swym pasie, zastanawiając się, kiedy najlepiej rzucić urok. A gdy już będzie zaklęta, jak dokładnie wykorzystam swą władzę?

– Powinien być pod opieką Regany, ale zanim przeprowadzi swoich stu cholernych rycerzy do Kornwalii, znów nastanie moja kolej. Nie cierpię tej hałastry w moim zamku.

– A co mówi pan Albanii?

– Mówi to, co ja mówię, by powiedział. To wszystko jest nie do zniesienia.

– Gloucester – rzekłem, prezentując wzór braku logiki, udrapowanego w tajemnicę.

– Gloucester? – spytała księżna.

– Jest tam dobry przyjaciel króla. To w połowie drogi stąd do Kornwalii, a hrabia Gloucester nie waży się odmówić prośbie obu książąt: Albanii i Kornwalii. Nie zostawiłabyś króla bez opieki, ale też nie płątałby ci się pod nogami.

Po ostrzeżeniu ze strony wiedźm, że Śliniakowi grozi niebezpieczeństwo, chciałem za wszelką cenę udać się do Gloucester. Usiadłem na podłodze u jej stóp, położyłem sobie Jonesa na kolanach i czekałem. Na mojej twarzy malował się uśmiech równie radosny, jak na obliczu lalki.

– Gloucester... – powtórzyła Goneryla, sprawiając, że uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. Naprawdę bywała urocza, gdy zapominała, że jest okrutna.

– Gloucester – powiedział Jones. – Zadupie cholernej zachodniej Brytanii.

– Myślisz, że się zgodzi? Nie tak rozdzielił swoje dziedzictwo.

– Nie zgodzi się na Gloucester, ale zgodzi się jechać przez Gloucester do Regany. Reszta w rękach twojej siostry. – Czy powinienem czuć się zdrajcą? Nie, stary sam się o to prosił.

– Ale jeśli się nie zgodzi, a ma tych wszystkich ludzi? – Patrzyła mi teraz w oczy. – To zbyt wiele władzy w rękach nieudacznika.

– A jednak nieledwie dwa miesiące temu miał całą władzę w królestwie.

– Nie widziałeś go, Kieszonko. Dziedzictwo i banicja Kordelii oraz Kenta to był jeno początek. Odkąd się zapodziałeś, było coraz gorzej. Szuka ciebie, poluje, w jednej chwili wspomina, jak był żołnierzem Chrystusa, a w następnej wzywa bogów przyrody. Z takimi siłami... gdyby uznał, że go zdradziliśmy...

– Weź ich – powiedziałem.

– Co? Nie mogłabym.

– Widziałas mego ucznia, Śliniaka? Jada rękami bądź łyżką, nie dajemy mu noża ni widelca, bo tym, co ostre, wszystkim by zagrażał.

– Nie udawaj głupiego. Co z rycerzami ojca?

– Płacisz im? To ich weź. Dla jego własnego dobra. Lir z orszakiem rycerzy jest niby dziecko biegające z mieczem. Czy będziesz okrutna, pozbawiając go śmiercionośnej siły, gdy nie jest ani dość silny, ani dość mądry, by nią zawiadywać? Powiedz Lirowi, że musi zostawić tutaj pięćdziesięciu rycerzy i ich świtę. Zapewnij, że będą na każde jego zawołanie, gdy przybędzie do zamku.

– Pięćdziesięciu? Tylko pięćdziesięciu?

– Część musisz zostawić siostrze. Poślij Oswalda do Kornwalii ze swoim planem. Niech Regana i księżę pognają do Gloucester i czekają tam na przybycie Lira. Może zdołają przeciągnąć Gloucestera na swoją stronę. Gdy rycerze Lira zostaną już odprawieni, obaj siwobrodzi będą mogli wspominać dni swojej chwały i pójść do grobu z łagodną nostalgią.

– Tak! – Goneryła z emocji zaczynała tracić dech.

Widywałem to już wcześniej. I to nie zawsze był dobry znak.

– Szybko – rzekłem. – Poślij Oswalda do Regany, dopóki słońce stoi wysoko.

– Nie! – Goneryła szybko nachyliła się w moją stronę, aż biust niemal wylał jej się z sukni, co przykuło moją uwagę bardziej niż jej paznokcie, wbijające się w me ramię.

– Co? – spytałem, a dzwonkom na mojej czapce zabrakło ćwierć palca od zadźwiężenia o jej *decolletage*²⁹.

– W Gloucester Lir nie zazna spokoju. Nie słyszałeś? Syn hrabiego, Edgar, to zdrajca.

Czy słyszałem? Czy słyszałem? Najwyraźniej bękart wcielił plan w życie.

– Oczywiście, pani, myślałaś, że gdzie się podziewałem?

– Przebyłeś całą drogę do Gloucester? – Zaczynała dyszeć.

²⁹ *Decolletage* – droga do Cyckowa. Także: dekolit.

– Owszem. I z powrotem. Przywiozłem ci coś.

– Podarek? – Ujrzałem zachwycone szarozielone oczy, które miała jako młode dziewczę. – Może cię nie powieszę, ale kara ci się należy, Kieszonko.

Potem dama pochwyciła mnie i rozciągnęła na swoich kolanach twarzą w dół. Jones poturlał się na podłogę obok mnie.

– Pani, może...

Klap!

– A masz, głupcze, ja ci dam. Ci dam. Ci dam. Ci dam. I daj. I daj. I daj. – Klaps przy każdym jambie³⁰.

– Do diabła, ty szalona zdziro! – Zacząłem się wić. Tyłek palił mnie od jej dłoni.

Klap!

– Oj, dobry Boże! – wołała Goneryla. – Tak! – Teraz to ona wierciła się pode mną.

Klap!

– Au! To list! List – rzekłem.

– Postaram się, żeby twój mały tyłek był czerwony jak róża!

Klap!

Obróciłem się na jej kolanach, złapałem za biust i podciągnąłem się, aż usiadłem prosto.

– Proszę. – Wyciągnąłem spod kamizelki zapieczętowany pergamin, który następnie jej podałem.

– Jeszcze nie! – powiedziała, próbując mnie przewrócić i znowu okładać po dupie.

Trąciła mój mieszek.

– Trąciłaś mój mieszek.

– Przestań, błażnie. – Próbowała wsunąć pod mój mieszek dłoń.

Sięgnąłem do jedwabnej sakiewki i wyjąłem jedną z purchawek, starając się jednocześnie trzymać swoją męskość poza jej zasięgiem. Usłyszałem, że gdzieś otwierają się drzwi.

– Poddaj siusiaka! – powiedziała księżna.

Miała go zatem, nic nie mogłem zrobić. Ścisnąłem purchawkę pod jej nosem.

– To od Edmunda z Gloucester – rzekłem.

– Pani? – odezwał się Oswald, który stał w drzwiach.

³⁰ Jamb – stopa metryczna w poezji.

– Na podłogę, pączusiu – powiedziałem. – Przydupny musi poznać swoje zadanie.

To wszystko pachniało historią.

Gra potoczyła się dalej tego pierwszego dnia, gdy Oswald przeszkodził nam pierwszy raz, ale jak zwykle zaczęło się od przepytывania mnie przez Gonerylę.

– Kieszonko – rzekła – skoro wychowano cię w klasztorze, to przypuszczam, że wiele wiesz o karaniu.

– Tak, pani. Swoje dostałem i na tym się nie skończyło. Wciąż muszę co dzień znosić inkwizycję w tych oto komnatach...

– Drogi Kieszonko, z pewnością żartujesz?

– To część mojej pracy.

Wstała i odprawiła dwórki z saloniku, udając drobny napad złości. Gdy już poszły, powiedziała:

– Nigdy mnie nie ukarano.

– Cóż, pani, jesteś chrześcijanką, jeszcze będzie czas. – Odszedłem z Kościoła z przekleństwem na ustach, gdy zamurowali moją anachoretkę, i mocno skłaniałem się wówczas ku pogaństwu.

– Nikomu nie wolno mnie uderzyć, więc zawsze była dziewczyna, która przyjmowała wszystkie kary za mnie. Moje lania.

– Tak powinno być. Trzeba chronić królewską skórę i tak dalej.

– A ja dziwnie się z tym czuję. W zeszłym tygodniu wspomniałam podczas mszy, że Regana to cipa, i moja dziewczyna do bicia mocno za to oberwała.

– Równie dobrze mogli ją zbić, boś powiedziała, że niebo jest niebieskie, co? Lanie za prawdę, oczywiście, że czułaś się dziwnie.

– Nie w tym sensie. Dziwnie, jak wtedy, gdy uczyłeś mnie o chłopczyku w dolinie.

Lekcja była jedynie werbalna, wkrótce po tym, jak się uparła, bym uczył ją o męskich częściach ciała. Ale od dwóch tygodni ją to bawiło.

– A, ma się rozumieć – rzekłem. – Dziwnie.

– Powinnaś dostać lanie – oznajmiła Goneryla.

– Bez wątpienia, przyznaję, pani, ale znowu mówimy, że niebo jest niebieskie, co?

– Chcę dostać lanie.

– A – powiedziałem, jak przystało na takiego elokwentnego i bystrego drania, jak ja. – To co innego.

– Od ciebie – dodała księżniczka.

– Do ciężkiej kurwy. – Tymi słowami ogłosiłem swoją zgubę.

Gdy Oswald wszedł do pomieszczenia, zarówno księżniczka, jak i ja mieliśmy tyłki czerwone niby u magotów, byliśmy niemal nadzy (nie licząc mojej czapki, którą włożyła Goneryla) i wykonywaliśmy rytmiczne ruchy. Oswald nie podszedł do zagadnienia zbyt dyskretnie.

– Alarm! Alarm! Błazen dręczy moją panią! Alarm! – zawołał, wybiegając z komnaty, by podnieść larum w całym zamku.

Dogoniłem Oswalda, gdy wchodził do wielkiej sali, gdzie na tronie zasiadał Lir. U jego stóp, po jednej stronie, siedziała Regana i zajmowała się haftem, po drugiej zaś Kordelia bawiła się lalką.

– Błazen zgwałcił księżniczkę! – oznajmił Oswald.

– Kieszonko! – zawołała Kordelia, rzuciła lalkę i podbiegła do mojego boku z szerokim, głupawym uśmiechem. Miała wtedy z osiem lat.

Oswald stanął przede mną.

– Przyłapałem błazna, jak dopadł księżniczkę Gonerylę niby nienasycony cap, panie.

– To nieprawda, wujciu – rzekłem. – Pani mnie wezwała, bym żartami wyleczył ją z porannego smutku, który można wyczuć w jej oddechu, gdyby ktoś miał wątpliwości.

W tym momencie do pomieszczenia wpadła Goneryla, w biegu próbując poprawić spódnicę. Zatrzymała się przy mnie i dygnęła przed ojcem. Była zdyszana, bosa, a jedna pierś wyglądała niczym cyklop ze stanika jej sukni. Ściągnąłem jej z głowy swoją błazeńską czapkę i przy wtórze dzwoneczków schowałem ją za plecami.

– I proszę, świeża niczym kwiat – rzekłem.

– Witaj, siostró – powiedziała Kordelia.

– Dzień dobry, aniołku – odparła Goneryla, szybkim ruchem oślepiając różowookiego cyklopa.

Lir podrapał brodę i zgromił najstarszą córkę wzrokiem.

– Cóż, córko – przemówił. – Gziłaś się z błaznem?

– Sądzę, że każda dziewczka, która gzi się z mężczyzną, czyni to z błaznem, ojczu.

– To było zdecydowane „nie” – wtrąciłem.

– Co to znaczy gzić się? – spytała Kordelia.

– Widziałem – powiedział Oswald.

– Gzić się z mężczyzną, a gzić się z błaznem, na jedno wychodzi – ciągnęła Goneryła. – Lecz dziś rano gziłam się z twoim błaznem, mocno i sprośnie. Chędożyłam go, aż kłął się na bogów i konie, bym z niego zesła.

Co to miało znaczyć? Liczyła na większą karę?

– Tak było – potwierdził Oswald. – Słyszałem to wołanie.

– Gziłam się, gziłam, gziłam! – wykrzyknęła Goneryła. – Och, cóż ja czuję? Maleńkie, błazeńskie bękarty wiercą się w mym łonie. Słyszę ich dzwoneczki.

– Kłamiwa zdziro – przerwałem. – Błazen nie rodzi się z dzwoneczkami, tak jak księżniczka z kłami, na jedno i drugie trzeba zasłużyć.

Przemówił Lir:

– Gdyby to była prawda, Kieszonko, kazałbym ci wsadzić halabardę w zadek.

– Nie możesz zabić Kieszonki – odparła Kordelia. – Potrzebuję go, by mnie rozweselał, kiedy nawiedza mnie czerwona kłątwa i ogarnia straszliwa melancholia.

– O czym ty mówisz, dziecko? – spytałem.

– Wszystkie kobiety to przechodzą – wyjaśniła. – Muszą zostać ukarane za zdradę Ewy w diablím ogróju. Piastunka mówi, że wtedy czuje się najbardziej okropnie.

Poklepałem dziecinę po głowie.

– Do kurwy, panie, musisz sprowadzić tej dziewczynie jakichś nauczycieli, którzy nie są zakonnkami.

– Należy mi się kara! – powiedziała Goneryła.

– Mam tę kłatwę od miesięcy – oznajmiła Regana, nawet nie racząc podnieść wzroku znad haftu. – Przekonałam się, że jeśli pójdę do lochu i każę poddać paru więźniów torturom, czuję się lepiej.

– Nie, ja chcę swojego Kieszonkę – odezwała się Kordelia, zaczynając łkać.

– Nie możesz go mieć – odrzekła Goneryła. – Jego też spotka kara. Po tym, co zrobił.

Oswald pokłonił się bez szczególnego powodu.

– Mogę zaproponować wystawienie na widok publiczny jego głowy na włócznie na Moście Londyńskim, panie, by odstraszyć innych od rozpusty?

– Cisza! – wykrzyknął Lir i wstał. Zszedł po schodach, minął Oswalda, który padł na kolana, i stanął przede mną. Położył dłoń na głowie Kordelii. Stary władca wbił we mnie swoje sokołe spojrzenie. – Nie mówiła przez trzy lata, dopóki się nie zjawileś – powiedział.

– Tak, panie – przyznałem, patrząc w dół.

Odwrócił się do Goneryli.

– Idź do swych komnat. Niech piastunka się tobą zajmie. Dopilnuje, by nic z tego nie wynikło.

– Ale, ojczu, błazen i ja...

– Bzdura, jesteś dziewczicą – powiedział Lir. – Umówiliśmy się, że taką cię dostanie książę Albanii, i to jest właśnie prawda.

– Ale pani została zgwałcona – wtrącił Oswald, który popadał już w rozpacz.

– Straże! Zabrać Oswalda na dziedziniec i wymierzyć mu dwadzieścia batów za kłamstwo.

– Ale, panie! – Oswald zaczął się szarpać, gdy dwaj strażnicy złapali go za ramiona.

– Dwadzieścia batów to dowód mojej łaski! Jeszcze jedno słowo na ten temat, kiedykolwiek, a to twoja głowa ozdobi Most Londyński.

Patrzyliśmy w oszołomieniu, jak strażnicy odciągają Oswalda. Wredny sługus szlochał i poczerwieniał na twarzy, ze wszystkich sił starając się powstrzymać język.

– Mogę iść popatrzeć? – spytała Goneryla.

– Tak, idź – zezwolił Lir. – A potem do piastunki.

Regana wybiegła z pomieszczenia za starszą siostrą, powiewając kruczymi włosami, które przypominały ogon mrocznej komety.

– Jesteś moim błaznem, Kieszonko – powiedziała Kordelia, biorąc mnie za rękę. – Chodź, pomóż mi. Uczę Lalę mówić po francusku.

Mała księżniczka odciągnęła mnie. Stary król patrzył za nami, unosząc siwą brew, pod którą jego sokołe oko płonęło niczym odległa gwiazda.

SŁODKO-GORZKI BŁAZEN

Goneryła zrzuciła mnie na podłogę, jakby nagle odkryła na swoich kolanach worek utopionych kociąt. Otworzyła list i zaczęła czytać, nie zadając sobie nawet trudu, by wcisnąć biust z powrotem pod suknię.

– Milady – powiedział znów Oswald. Wyciągnął wnioski z batożenia. Zachowywał się, jakby mnie nie widział. – Twój ojciec jest w wielkiej sali i pyta o swojego błazna.

Goneryła ze złością uniosła wzrok.

– W takim razie go zabierz. Zabierz go, zabierz, zabierz. – Odpędziła nas jak natrętne muchy.

– Dobrze, pani. – Odwrócił się na pięcie i odmaszerował. – Chodź, błaznie.

Wstałem i pocierając tyłek, wyszedłem za nim z saloniku. Tak, zadek miałem poturbowany, lecz odczuwałem także ból w sercu. Co za gorzka dziwka, że mnie wyrzuciła, gdy mój tyłek wciąż płonął od jej pełnych pasji razów. Dzwonki na mojej czapce opadły w rozpacz.

Kent dołączył do mnie w korytarzu.

– I co, straciła dla ciebie głowę?

– Dla Edmunda z Gloucester – odparłem.

– Dla Edmunda? Straciła głowę dla bękarta?

– Kapryśna kurew – powiedziałem.

Wydawał się zaskoczony i odsunął rondo kapelusza, by mnie lepiej widzieć.

– Ale zaczarowałaś ją, by tak się stało?

– O, tak, tak mi się zdaje – odrzekłem. A zatem była odporna na me wdzięki tylko za sprawą mrocznej i potężnej magii. Ha! Poczuję się lepiej. – Właśnie czyta list, który sfalszowałem.

– Twój błazen – oznajmił Oswald, gdy weszliśmy do sali.

Był w niej stary król z kapitanem Kuranem i tuzinem innych rycerzy, którzy wyglądali, jakby właśnie wrócili z łowów – na mnie, bez wątpienia.

– Mój chłopcze! – zawołał Lir, szeroko rozkładając ramiona.

Wszedłem w jego objęcia, ale nie oddałem uścisku. Na jego widok nie odnalazłem w sercu czułości, za to wciąż kipiał we mnie gniew.

– O, radości – odezwał się Oswald głosem, który ociekał pogardą niczym jadem. – Powrót dupka marnotrawnego.

– Słuchaj – powiedział Lir. – Moim ludziom trzeba jeszcze zapłacić. Powiedz mojej córce, że chcę ją widzieć.

Oswald nie zważał na starca, tylko szedł dalej.

– Ej, panie! – ryknął władca. – Słyszałeś?

Tamten odwrócił się powoli, jakby usłyszał swoje imię, niesione z oddali przez wiatr.

– Słyszałem.

– Wiesz, kim jestem?

Oswald zaczął dłubać w zębach paznokciem małego palca.

– Ojcem mojej pani.

Uśmiechnął się drwiąco. Miał drań tupet, muszę mu to przyznać, a może odczuwał palące pragnienie, by polecieć jak z katapulty prosto w zaświaty.

– Ojcem twojej pani! – Lir ściągnął ciężką, skórzaną, myśliwską rękawicę i uderzył nią Oswalda w twarz. – Ty łotrze! Ty kurwi synu! Nędzny niewolniku! Kundlu!

W miejscach, gdzie trafiły metalowe ćwieki na rękawicy, pojawiła się krew.

– Nie jestem nikim takim. Nie pozwolę, byś mnie bił. – Oswald cofał się ku wielkim, podwójnym drzwiom, a Lir zamachiwał się na niego rękawicą. Gdy jednak sługa odwrócił się, by uciec, Kent wyciągnął stopę i zwałił go z nóg.

– Potknąłeś się, matole! – powiedział hrabia.

Oswald przetoczył się pod nogi jednego ze strażników Goneryli, po czym zerwał się i wybiegł. Żołnierze udawali, że nic nie widzą.

– Ładnie się spisałeś, przyjacielu – zwrócił się do Kenta Lir. – Czy to ty przywiodłeś mego błazna do domu?

– Tak, to on, wujciu – rzekłem. – Ocalił mnie z najmroczniejszego serca lasu i walczył ze zbójcami, pigmejami i parą tygrysów, by mnie tu przyprowadzić. Lecz nie pozwól, by mówił do ciebie po walijsku, bo jeden tygrys szczuł w strudze flegmy i pod śmiercionośnymi ciosami spółgłosek.

Lir przyjrzał się z bliska swojemu staremu przyjacielowi, po czym zadrzał – bez wątpienia lodowate szpony wyrzutów sumienia przejechały mu po grzbiecie.

– Witaj tedy, panie. Dziękuję ci. – Król podał Kentowi małą sakiewkę z monetami. – Oto zapłata za twą służbę.

– Składam dzięki i swój miecz – odrzekł z ukłonem hrabia.

– Jak cię zwać?

– Kajus – powiedział Kent.

– A skąd się wziąłeś?

– Z Ruchania, panie.

– No tak, mój drogi, jak my wszyscy – odparł Lir – ale z jakiej miejscowości?

– Z Ruchania Dolnego na Robalowej Kopie – powiedziałem ze wzruszeniem ramion. – Cóż, Walia...

– Dobrze, dołącz do mego orszaku – rzekł król. – Przyjmuję cię.

– O, i pozwól, bym także ja cię przyjął – odezwałem się, ściągając czapkę i z dzwonieniem podając ją Kentowi.

– A to co? – spytał.

– Któż, jeśli nie błazen, może pracować dla błazna?

– Licz się ze słowami, chłopcze – ostrzegł Lir. – Musisz znaleźć własną czapkę, błaznie – odrzekłem królowi. – Swoją już komuś obiecałem.

Kapitan Kuran odwrócił się, by ukryć uśmiech.

– Nazywasz mnie błaznem?

– O, a mam nie nazywać? Wszystkie inne tytuły już rozdałeś, wraz z ziemią.

– Każę cię wybatożyć.

Potarłem obolały tyłek.

– To jedyne dziedzictwo, jakie ci pozostało, wujciu.

– Pod swą nieobecność zostałeś gorzkim błaznem – stwierdził król.

– A ty słodkim – odparłem. – Błaznem, który w żart obraca własny los.

– Chłopak nie całkiem jest błaznem – wtrącił Kent.

Lir odwrócił się do starego rycerza, ale nie w gniewie.

– Może – powiedział słabo, omiatając wzrokiem kamienie posadzki, jakby szukał tam odpowiedzi. – Może.

– Lady Goneryla, księżna Albanii! – oznajmił jeden ze strażników.

– Tchórzliwa zdzira! – dodałem, niemal pewien, że gwardzista o tym zapomni.

Goneryla wpadła do pomieszczenia i, nie bacząc na mnie, podeszła prosto do ojca. Starzec rozłożył ręce, lecz ona stanęła na odległość miecza od niego.

– Obieś mego człowieka za to, że złajał błazna? – Wykrzywiła się do mnie.

Potarłem się po tyłku i posłałem jej całusa.

Oswald zajrzał przez drzwi, jakby czekał na odpowiedź.

– Uderzyłem łotra za zuchwałość. Poprosiłem jeno, by cię tu przywiódł. Mój błazen ledwie powrócił po długiej nieobecności. Nie czas na dąsy, córko.

– Nie licz na uśmiechy, panie – rzekłem. – Teraz, gdy nie masz nic do zaoferowania. Pani ma tylko żółć dla błaznów i tych, którzy nie szczycą się żadnym tytułem.

– Milcz, chłopcze – nakazał król.

– Widzisz – powiedziała Goneryla. – Nie tylko twój błazen ze wszystkimi uprawnieniami, ale cała twoja świta traktuje mój pałac jak karczmę i burdel. Cały dzień biją się i jedzą, całą noc piją i hulają, ty zaś nie dbasz o nic prócz swego drogiego błazna.

– I tak być powinno – odezwał się Jones, choć po cichu. Gdy szaleje królewski gniew, nawet kropelki śliny z ich ust mogą okazać się śmiercionośnym deszczem dla prostej lalki czy człowieka.

– Dbam o wiele, a moi ludzie są najlepsi w kraju. Niestety, nie dostali zapłaty, odkąd wyruszyliśmy z Londynu. Może gdybyś...

– Nie dostaną zapłaty! – oznajmiła Goneryla i nagle wszyscy obecni rycerze zaczęli się uważnie przysłuchiwać.

– Gdym ci wszystko oddał, warunkiem było utrzymywanie mojej świty, córko.

– Tak, ojcze, i świta otrzyma utrzymanie, lecz nie pod twym dowództwem i nie w pełnej liczbie.

Lir poczerwieniał na twarzy i trząsł się z gniewu, jakby doznał porażenia.

– Mów wyraźnie moje, dziecko, bo stare lata mnie zwodzą.

Goneryla podeszła do ojca i wzięła go za rękę.

– Tak, ojciec, jesteś stary. Bardzo stary. Naprawdę, naprawdę, wyjątkowo, porażająco... – Odwróciła się ku mnie po wypowiedź.

– Skurwysyńsko – podsunąłem.

– ... skurwysyńsko stary – powiedziała księżna. – Jesteś niedołączny, zasikany, cuchnący gotowaną kapustą, stary. Jesteś szaleńczo, słabowicie...

– Jestem, kurwa, stary! – uciął Lir.

– Podpisuję się pod tym – rzekłem.

– I – ciągnęła Goneryla – choć w swym dzieciństwie powinieneś być szanowany za mądrość i łaskę, szciesz na swoje dziedzictwo i reputację, trzymając tę bandę łajdaków. To dla ciebie zbyt wiele.

– To moi wierni ludzie, a ty zgodziłaś się ich utrzymywać.

– I będę to czyniła. Zapłacę twym ludziom, ale połowa z nich zostanie w Albanii, pod moimi rozkazami, w żołnierskich kwaterach, zamiast płatać się po dziedzińcu niby jacyś maruderzy.

– Na ciemność i diabły – zaklął Lir. – Tak być nie może! Kuranie, osiodłaj konie i zwołaj mój orszak. Mam jeszcze drugą córkę.

– Jedź tedy do niej – powiedziała Goneryla. – Bijesz moich służących, a twoja zgraja robi służących z lepszych od siebie. Jedź zatem, lecz połowa twego orszaku pozostanie tutaj.

– Szykować konie! – zawołał Lir.

Kuran wybiegł z sali, a w ślad za nim podążyli inni rycerze, mijając księcia Albanii, który właśnie wchodził do środka. Księżę wydawał się dość mocno zdezorientowany.

– Czemu królewski kapitan wyszedł tak pośpiesznie? – zdziwił się.

– Czy wiesz, że ta harpia zamierza pozbawić mnie orszaku? – spytał Lir.

– Pierwsze słyszę – odrzekł księżę. – Na litość, cierpliwości, panie. Milady? – Spojrzał na Gonerylę.

– Nie odbieramy mu rycerzy. Zaproponowałam, że zostaną tutaj, wraz z naszymi siłami, podczas gdy ojciec wyjedzie do zamku mej siostry. Będziemy traktowali jego ludzi jak własnych, z pełną dyscypliną, jak przystało na żołnierzy, a nie gości czy hulaków. Staruszek przestał nad nimi panować.

Księżę Albanii odwrócił się z powrotem do Lira i wzruszył ramionami.

– Kłamie! – krzyknął Lir, wymachując palcem pod nosem córki. – Ty nienawistna zmijo. Niewdzięczna diabolic. Ty ohydna... ee...

– Dziwko – podsunąłem. – Ty żaloszny lachociągu. Zadufana w sobie jędzo. Cuchnąca smakoszko psiej moszny. Teraz ty, księżę, ja nie mogę tak bez końca, choćby i w natchnieniu. Z pewnością chcesz uwolnić skrywane latami urazy. Ty trędowata torbo na nasienie. Ty zeżarta przez robale...

– Zamilcz, błaznie – powiedział Lir.

– Wybacz, najjaśniejszy panie, myślałem, że jedynie straciłeś impet.

– Jak mogłem cenić tę łajzę wyżej od mojej słodkiej Kordelii? – spytał Lir.

– Bez wątpienia ta kwestia bardziej zabłądziła w lesie anizeli ja, skoro dopiero teraz do ciebie dotarła, panie. Czy powinniśmy skryć się przed siłą olśnienia, żeś nagrodził królestwem te owoce swych lędźwi, które najlepiej kłamią?

Kto by pomyślał. Czulem wobec starca większą litość, zanim zdał sobie sprawę ze swego obłądu. Teraz... Zwrócił oczy ku niebu i zaczął wzywać bogów:

*Słuchaj, naturo, ukochane bóstwo,
Uczyń nieplodną tę tutaj istotę,
Wysusz jej łono,
Nie pozwól, by wydała dziecię,
Co by chlubę jej przyniosło.
Niech jej płód będzie ze złości i żółci.
Niech jej dokucza i wyryje zmarszczki na jej czole.
Za odebrane od niej dobrodziejstwa
Niech jej zapłaci śmiechem i pogardą,
By mogła uczuć, o ile dotkliwiej
Niż ukąszenie zjadliwego gadu
Boli niewdzięczność dziecka³¹!*

Z tymi słowami starzec splunął Goneryli pod nogi i wybiegł z sali.

– Chyba zniósł to lepiej, niż rozsądny człowiek mógł się spodziewać – rzekłem. Zostałem zignorowany, pomimo radosnego tonu i słonecznego uśmiechu.

– Oswaldzie! – zawołała Goneryla. Sługus wystąpił naprzód. – Szybko, zawieź list do mojej siostry i księcia Kornwalii. Weź dwa najszybsze konie i je zmieniaj. Nie spoczniej, dopóki list nie trafi do jej ręki. A potem ruszaj do Gloucester i doręcz jeszcze to drugie pismo.

³¹ Parafraza fragmentu *Króla Lira* (Akt I, scena 4), oparta na przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

– Nie dałaś mi drugiego pisma, pani – powiedział robal.

– Tak, racja, chodź ze mną. Ułożymy list. – Wyprowadziła Oswalda z wielkiej sali, pozostawiając księcia Albanii, który patrzył na mnie, oczekując wyjaśnień.

Wzruszyłem ramionami.

– Zmienia się w istny huragan cycków i grozy, gdy coś sobie umyśli, prawda, panie?

Księżę jakby nie słyszał moich słów i sprawiał nieco żalosne wrażenie. Jakby broda siwiała mu ze zgryzoty, gdy tak stał.

– Nie pochwalam jej zachowania wobec króla. Zasłużył na większy szacunek. I co z tymi listami do księcia Kornwalii i Glouceстера?

Pomyślałem, że to świetna okazja, by wspomnieć o jej świeżym afekcie do Edmunda z Gloucester i naszej niedawnej sesji sprośnej dyscypliny, okraszając to kilkoma metaforami o potajemnym chędożeniu, ale gdy księżę rozmyślał, odezwał się Jones:

Przyprawianie rogów,

Tyś mistrz tej roboty.

Pora się już zabrać

Za trudniejsze psoty.

– Co? – spytałem.

Wcześniej, jeśli Jones się odzywał, to zawsze moim głosem, czasem cieńszym i przytłumionym, ale zawsze moim, chyba że Śliniak akurat naśladował lalkę. To ja poruszam małym pierścieniem i sznurkiem, które zawiadują ustami Jonesa. Ale to nie był mój głos, nie poruszyłem też lalki. Był to dziewczęcy duch z Tower.

– Nie drażnij mnie, Kieszonko – powiedział księżę. – Nie mam cierpliwości do lalek i rymów.

Jones odrzekł:

Damę nazwiesz kurwą

Po tysiącu nocy.

Tylko dzisiaj blazen

Może wojnę toczyć.

I wtedy, jakby spadająca gwiazda przecięła blaskiem ciemnotę mojego umysłu, zrozumiałem, co zjawą miała na myśli.

Powiedziałem:

– Nie wiem, co pani wysłała do Kornwalii, mój dobry książę, ale gdy w zeszłym miesiącu byłem w Gloucester, słyszałem, jak żołnierze mówili, że książę Kornwalii i Regana zbierają oddziały nad morzem.

– Zbierają armię? W jakim celu? Gdy na tronie Francji zasiadają Kordelia i Jeff, szaleństwem byłoby ruszać za kanał. Mamy tam dobrego sojusznika.

– O, nie szykują tych wojsk przeciwko Francji, lecz przeciwko tobie, mój panie. Regana zostanie królową całej Brytanii. A przynajmniej tak słyszałem.

– Słyszałeś to od żołnierzy? Pod którym sztandarem?

– Od najemników, panie. Jedyńm sztandarem jest im fortuna, a rozeszła się wieść, że w Kornwalii nie brak monet dla wolnych wojowników. Muszę już iść. Król będzie chciał kogoś wybatożyć za zuchwałe słowa twej pani.

– To nie wydaje się sprawiedliwe – powiedział książę.

Pozostała w nim krzyna przyzwoitości, której Goneryla jakoś nie zdołała zdusić. W dodatku wyraźnie zapomniał, że miał mnie przypadkiem powiesić.

– Nie martw się o mnie, dobry książę. Masz własne troski. Ktoś musi zbierać razy za twą panią, niech to zatem będzie tenże skromny błazen. Powtórz jej, proszę, co powiedziałem: ktoś zawsze musi oberwać. Żegnam cię, mości książę.

I wyszedłem, z radością i z obolałym tyłkiem, by spuścić psy wojny. Hi, hi, ha, ha!

Lir siedział na swoim wierzchowcu przed zamkiem księcia Albanii, wyjąc do księżycyca niczym szaleniec.

– Niech nimfy natury zakażą zgniłe gniazdo jej kobiecości robactwem wielkości homarów, niech węże zatopią kły w jej sutkach i wiszą tam, aż jej zatrute cyce poczernieją i spadną na ziemię niby przejrzałe figi!

Spojrzałem na Kenta.

– Ździebko się zagotował, co? – rzekłem.

– Niech Thor walnie ją młotem w bebechy, by doznała bolesnego wzdęcia, od którego zwiędnie las, a ona rzuci się z blanków w stertę gnoju!

– Właściwie nie trzyma się żadnego konkretnego panteonu, prawda? – zauważył Kent.

– O, Posejdonie, przyślij swego jednookiego syna, by wejrzał w jej bitumiczne serce i rozpałił je płomieniami najohydniejszego cierpienia.

– Wiesz – powiedziałem – król wyjątkowo mocno skłania się ku klątwom, jak na kogoś, kto miał tak niemiłe relacje z czarownicami.

– Zaiste – przytaknął Kent. – Zdaje się, że skierował swój gniew na najstarszą córkę, o ile się nie mylę.

– Och, cóż ty powiesz? – rzekłem. – Oczywiście, zapewne możesz mieć rację.

Usłyszeliśmy tętent koni i odciągnąłem Kenta z mostu zwodzonego. Po chwili dwaj jeźdźcy wiodący za sobą sześć koni przejechali po nim galopem.

– Oswald – stwierdził Kent.

– Z zapasowymi końmi – dodałem. – Jedzie do Kornwalii.

Lir przerwał ciąg przekleństw i popatrzył za jeźdźcami oddalającymi się przez wrzosowisko.

– Jaką sprawę ma ten łajdak w Kornwalii?

– Wiezie wiadomość, wujciu – odparłem. – Słyszałem, jak Goneryla kazała mu przekazać jej słowa siostrze, by Regana i jej pan udali się do Gloucester. Ma ich nie być w Kornwalii, kiedy przybędziesz.

– Goneryło, ty plugawa bestio! – zakrzyknął król, waląc się w czoło.

– Zaiste – powiedziałem.

– O, straszliwa bestio!

– Bez wątpienia – przyznał Kent.

– O, złośliwa bestio, doskonała w swej perfidii!

Kent i ja popatrzyliśmy po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Rzekłem – zauważył Lir – „złośliwa bestio, doskonała w swej perfidii”!

Kent ruchem dłoni zarysował przed sobą obfite piersi i uniósł brwi, jakby chciał spytać: „Cycki?”.

Wzruszyłem ramionami, co oznaczało: „Cycki by pasowały”.

– Zgubna to perfidia, panie – rzekłem.

– Nad wyraz jędrna, podrygująca perfidia³² – dodał Kent.

A potem, jakby otrząsając się z transu, Lir wyprostował się w siodle.

³² Perfidia – przebiegłość; z całą pewnością nie cycki.

– Kajusie, niech Kuran osiodła ci szybkiego konia. Musisz pognać do Gloucester i powiedzieć memu przyjacielowi hrabiemu, że jedziemy.

– Tak, panie – powiedział Kent.

– I jeszcze dopilnuj, by mego czeladnika Śliniaka nie spotkała krzywda – dodałem.

Kent uklonił się i ruszył z powrotem przez most zwodzony. Stary król spuścił wzrok na mnie.

– O, mój drogi Czarny Błaźnie, kiedyż pobłądziłem w ojcowskich powinnościach, że w Goneryli narosła taka niewdzięczność niby szalona gorączka?

– Jestem tylko błaznem, panie, ale gdybym miał zgadywać, sądzę, że w swej delikatnej młodości pani potrzebowała więcej dyscypliny, która ukształtowałaby jej charakter.

– Mów wprost, Kieszonko. Nie uczynię ci nic złego. – Trzeba było sukę prac, gdy była jeszcze młoda, mój panie. Bo teraz podajesz córce kij i sam ściągasz galoty.

– Każę cię wychłostać, błaźnie.

– Jego słowo jest jak rosa – stwierdziła lalka Jones. – W świetle dnia znika.

Roześmiałem się, bom głupi błazen, wcale nie myśląc o tym, że Lir staje się niestały niczym motyl.

– Muszę porozmawiać z Kuranem i znaleźć konia na tę podróż, panie – rzekłem. – Przyniosę ci płaszcz.

Lir zapadł się w siodle, wyczerpany swą perorą.

– Idź, mój dobry Kieszonko. Każ rycerzom się szykować.

– Tak uczynię – zapewniłem. – Tak uczynię.

Zostawiłem starca samego przed zamkiem.

DROGA KRÓLA

Uruchomiwszy bieg wydarzeń, zastanawiam się, czy moje szkolenie na mniszkę i wyćwiczone umiejętności opowiadania dowcipów, żonglerki i śpiewu stanowią odpowiednie kwalifikacje do wszczynania wojny. Tak często byłem narzędziem cudzych kaprysów, nawet nie pionkiem na dworze, a jedynie częścią oporządzenia dla króla czy jego córek. Zabawnym ornamentem. Drobnym wyrzutem sumienia, przypomnieniem o człowieczeństwie, okraszonym taką ilością humoru, by go zlekceważyć i wyśmiać. Może nie bez powodu na szachownicy brak figury błazna. Jaki ruch – błaznem? Jaka strategia – błazen? Po cóż błazen? Ach, ale błazen występuje w talii kart, jako dzoker, czasami nawet dwa. Bez wartości, ma się rozumieć. Bez istotnego celu. Wygląda jak karta atutowa, ale nie ma jej mocy. Po prostu czynnik losowy. Tylko rozdający może nadać wartość dzokerowi. Uczynić z niego atut. Czy karty rozdaje los? Bóg? Król? Duch? Wiedzmy?

Anachoretka mówiła o kartach tarota, zakazanych i pogańskich. Nie mieliśmy kart, ale opisała mi je, a ja narysowałem je węglem na kamieniach w przedsionku.

– Liczbą błazna jest zero – powiedziała – ale to dlatego, że symbolizuje on nieskończone możliwości wszystkiego. Może stać się czymkolwiek. Widzisz, nosi cały swój dobytek w zawiniątku na plecach. Jest gotów na wszystko, może podążyć dokądkolwiek, stać się, kim zechce. Nie lekceważ błazna tylko dlatego, że jego liczbą jest zero.

Czy wiedziała, dokąd zmierzam, czy też jej słowa nabrały dla mnie znaczenia dopiero teraz, gdy ja, zero, zupełne nic, próbuję sterować narodami? Wojna? Nie widziałem w niej nic kuszącego.

Pewnego wieczoru Lir, pijany i w złowieszczym nastroju, rozmyślał o wojnie, gdy zasugerowałem, że nastrój poprawi mu zgrabna dziewczyna.

– Oj, Kieszonko, jużem za stary i radość chędożenia więdnie w mych łądzwiach. Tylko porządne zabijanie może jeszcze rozpalić żądę w moich żyłach. I jedna śmierć nie wystarczy. Zabijcie setkę, tysiąc, dziesięć tysięcy na mój rozkaz, niech pola spłyną rzekami krwi, tylko to może tchnąć płomień w męską włócznię.

– Ach – rzekłem. – Chciałem ci przyprowadzić z pralni Kiłową Mary, ale dziesięć tysięcy trupów i rzeki krwi chyba przekraczają jej możliwości, Wasza Wysokość.

– Nie, dziękuję, wolę siedzieć i powoli, ze smutkiem zsuwać się w otchłań.

– Albo – ciągnąłem – mógłbym nałożyć ceber na łeb Śliniaka i okładać go workiem buraków, aż całą podłogę zbryzga czerwienią, a Kiłowa Mary ciągnęłaby ci, jak należy, by podkreślić grozę.

– Nie, błaznie, nie sposób udać wojny.

– A co z Walią, Wasza Wysokość? Moglibyśmy najechać Walińczyków, urządzić rzeź, by podnieść cię na duchu i wrócić na podwieczorek.

– Walia jest nasza, chłopie.

– Do licha. Co zatem sądzisz o ataku na North Kensington?

– Kensington leży niecałą milę stąd. Niemal na naszym dziedzińcu.

– Zaiste, wujciu, i to jest piękne, będą zupełnie zaskoczeni. Wejdziemy jak nóż w masło. Z zamkowych murów słyszeliśmybyśmy lamenty wdów i sierot, niby kołysankę dla twojej chuci.

– Raczej nie. Nie będę dla zabawy atakował okolic Londynu, Kieszonko. Za jakiego tyрана mnie uważasz?

– O, powyżej przeciętnej, panie. Znacznie powyżej cholernej przeciętnej.

– Nie pozwalam ci już mówić o wojnie, błaznie. Masz zbyt słodką naturę do tak nikczemnych spraw.

Zbyt słodką? *Moi*? Myślę, że sztukę wojny stworzono dla błaznów, błaznów zaś dla wojny. Tej nocy Kensington drżało.

W drodze do Gloucester pozwoliłem, by mój gniew osłabł, i próbowałem pocieszyć starego króla najlepiej jak umiałem, nadstawiając współczującego ucha i wypowiadając miłe słowa, gdy tylko tego potrzebował.

– Ty stary, płacziwy onanisto! Czegoś się spodziewał, powierzając swe zgniłe ciało szponom tego ścierwojada, swojej córki? – (Może jednak została we mnie odrobina gniewu).

– Ale oddałem jej pół królestwa.

– A ona w zamian dała ci pół prawdy, gdy powiedziała, że kocha cię całą sobą.

Starzec zwiesił głowę i siwe włosy opadły mu na twarz. Siedzieliśmy na kamieniach przy ognisku. W pobliskim lesie rozstawiono namiot dla wygody monarchy, w tym północnym hrabstwie bowiem nie było żadnego zamku, gdzie mógłby się schronić. Reszta, w tym ja, spała w zimnie, pod gołym niebem.

– Zaczekaj, błaznie, aż znajdziemy się pod dachem mej drugiej córki – powiedział Lir. – Regana zawsze była słodka i nie okaże mi takiej podłości.

Nie miałem serca dłużej męczyć staruszka. Oczekiwanie czułości od Regany było jak śpiew w rytmie szaleństwa. Zawsze słodka? Regana? Raczej nie.

W moim drugim tygodniu w zamku zastałem Reganę i Gonerylę w jednym z królewskich solarów, jak dokuczały małej Kordelii, podając sobie nad jej głową kociaka, którego polubiła, i drwiąc z niej.

– No, chodź po kotka – powiedziała Regana. – Uważaj, bo może wylecieć przez okno. – Udawała, że za chwilę może wyrzucić biednego kociaka, a gdy Kordelia podbiegła z wyciągniętymi rękami, by go złapać, Regana odwróciła się i cisnęła go do Goneryli, która podeszła do drugiego okna.

– O, spójrz, Kordi, utonie w fosie, zupełnie jak ta zdrajczyni, twoja matka.

– Niiieee! – załkała Kordelia.

Niemal brakło jej już tchu od biegania za kotkiem od siostry do siostry.

Stałem w drzwiach, zdumiony ich okrucieństwem. Szambelan powiedział mi, że matkę Kordelii, trzecią żonę Lira, oskarżono o zdradę i wygnano trzy lata wcześniej. Nikt nie znał dokładnych okoliczności zbrodni, ale krążyły plotki, że praktykowała starą religię, inni zaś mówili, że dopuściła się cudzołóstwa. Szambelan wiedział na pewno tylko tyle, że królową w środku nocy zabrano z wieży, i od tamtej pory, aż do mojego przybycia do zamku Kordelia nie wypowiedziała ani jednej spójnej sylaby.

– Utopiono ją jak czarownicę – powiedziała Regana, łapiąc kociaka w powietrzu. Tym razem jednak jego pazurki dosięgły królewskiego ciała. – Au! Ty małe gównu! – Regana wyrzuciła kocię przez okno. Kordelia wydała z siebie rozdzierający krzyk.

Bez namysłu wyskoczyłem przez okno w ślad za zwierzakiem, łapiąc się stopami plecionego sznura. Złapałem kotka mniej więcej pięć stóp pod oknem, choć sznur palił mi kostki. Nie przemyślałem tego ruchu i nie wziąłem pod uwagę, jak z kotem w ręce złapać się sznura, gdy ten walnie mną o ścianę wieży. Sznur zacisnął się na mojej prawej kostce. Przyjąłem uderzenie na ramię i odbiłem się, patrząc przy tym, jak moja błazeńska czapka spada do fosy na podobieństwo rannego ptaka.

Wsunąłem sobie kocię za kaftan, po czym wspiąłem się z powrotem po sznurze i wszedłem przez okno.

– Piękny dzień na przechadzkę, nie sądzicie, moje damy?

Wszystkie trzy stały z szeroko otwartymi ustami, przy czym starsze siostry cofnęły się pod ściany solaru.

– Wyglądacie, jakby świeże powietrze mogło wam się przydać – rzekłem.

Wyjąłem kocię zza poły i podałem Kordelii.

– Kotek przeżył przygodę. Może powinnaś zabrać go do jego mamy, żeby się zdrzemnął.

Wzięła ode mnie kociaka i wybiegła z komnaty.

– Możemy kazać cię ściąć, błażnie – powiedziała Regana, otrząsnąwszy się z zaskoczenia.

– Kiedy tylko zechcemy – dodała Goneryła, z mniejszym niż u siostry przekonaniem w głosie.

– Mam przysłać służącą, by z powrotem przywiązała gobelin? – spytałem, szerokim gestem wskazując gobelin, który oderwałem od ściany przy swoim skoku.

– Ee, tak, zrób to – nakazała Regana. – W tej chwili!

– W tej chwili – warknęła Goneryła.

– Natychmiast, pani. – Uśmiechnąłem się, pokłoniłem, i już mnie nie było.

Schodziłem po spiralnych, przyległych do ściany schodach, z obawą, że moje serce nie wytrzyma i potoczę się w dół. Kordelia stała na dole, tuląc kociaka i patrząc na mnie, jakbym był Jezusem, Zeusem i świętym Jerzym w dniu, w którym ubił smoka. Oczy miała nienaturalnie szeroko otwarte i zdawało się, że przestała oddychać. Zapewne wyrażała tym cholerny podziw.

– Przestań tak patrzeć, aniołku, bo to niepokojące. Jeszcze ktoś pomyśli, że w gardle stanęła ci kość kurczaka.

– Dziękuję – powiedziała z donośnym szlochem, od którego zatrzęsy jej się ramiona.

Poklepałem ją po głowie.

– Nie ma za co, kochanie. A teraz biegnij. Kieszonka musi wyłowić swoją czapkę z fosi, a potem iść do kuchni i pić, aż ręce przestaną mu się trząść albo utopi się we własnych rzygowinach, zależy, co nastąpi pierwsze.

Cofnęła się, by mnie przepuścić, nie odrywając spojrzenia od moich oczu. Było tak od dnia, gdy zjawiłem się w zamku – kiedy to jej umysł pierwszy raz wypełził z nieznanego, mrocznego miejsca, w którym krył się przed moim przybyciem – te wielkie, kryształowe niebieskie oczy patrzyły na mnie bez mrugnięcia, z zachwytem. Czasami to dziecko naprawdę przyprawiało o dreszcze.

– Nie udawaj, żeś nienawykły do niespodzianek, wujciu – rzekłem. Trzymałem wodze obu naszych wierzchowców, które piły ze skutego lodem strumienia, jakieś sto mil na północ od Gloucester. – Regana to skarb, bez wątpienia, ale myśleć może tak samo jak siostra. Choć zapewne by zaprzeczyły, to jednak często tak bywało.

– Nie umiem tak o tym myśleć – powiedział król. – Regana przyjmie nas z otwartymi ramionami. – Za nami rozległ się jakiś hałas i król się odwrócił. – Ach, cóż to?

Jaskrawo pomalowany wóz nadjeżdżał ku nam z lasu. Niektórzy rycerze sięgnęli po miecze i włócznie. Kapitan Kuran machnął im na spocznij.

– Kuglarze, panie – oznajmił.

– Tak – powiedział Lir. – Zapomniałem, że już prawie Jul, przesilenie zimowe. Idę o zakład, że też jadą do Gloucester, by wystąpić podczas uczyty. Kieszonko, idź im powiedzieć, że zapewnimy im bezpieczny przejazd i mogą jechać z orszakiem pod naszą ochroną.

Wóz zatrzymał się ze skrzypnięciem. Orszak pięćdziesięciu rycerzy z pomocnikami w wiejskiej okolicy wzbudziłby czujność każdego wędrownego artysty. Woźnica wstał i pomachał do nas. Nosił dużą, fioletową czapkę z białym piórem.

Przeskoczyłem wąski strumyk i ruszyłem w górę traktu. Gdy woźnica ujrzał mój strój, uśmiechnął się. Ja także uśmiechnąłem się z ulgą – nie był to okrutny pan z czasów, gdy sam byłem kuglarzem.

- Witaj, błaznie. Co cię sprowadza tak daleko od dworu i zamku?
- Dwór wożę ze sobą, a mój zamek rozciąga się przed nami, panie.
- Wozisz ze sobą? Zatem ten siwy mężczyzna to...
- Król Lir we własnej osobie.
- Czyli ty jesteś sławnym Czarnym Błaznem.
- Do cholernych usług – odrzekłem z ukłonem.
- Jesteś mniejszy niż w opowieściach – stwierdziła gnida w wielkiej czapie.
- A twoja czapka to ocean, w którym twój dowcip pływa niby zagubiony statek zadżumionych.

Kuglarz parsknął śmiechem.

– Dajesz mi więcej, niż mi się należy, panie. Dowcip to nie nasz fach, lecz twój, chytry błaznie. Jesteśmy wędrowną trupą!

Po tych słowach zza wozu wyłonili się trzej młodzi mężczyźni i dziewczyna, po czym pokłonili się z wdziękiem i znacznie większą emfazą niż należało.

– Trupa – powiedzieli chórem.

Traciłem swoją czapkę.

– Rozumiem wasze upodobania – rzekłem – ale nie wiem, czy się jakiś znajdzie.

– Nie chcemy trupa – odparła dziewczyna – jeno jesteśmy trupą aktorską.

– Aha – powiedziałem. – To co innego.

– Nie trzeba nam dowcipu, liczy się gra – odezwał się ten z wielką czapą. – Z naszych ust nie wychodzi żadne słowo, którego wcześniej nasz skryba trzy razy nie przeżuł i nie wypluł.

– Nie ciąży nad nami piętno oryginalności – stwierdził aktor w czerwonej kamizelce.

Dziewczyna powiedziała:

– Choć dźwigamy krzyż cudownie pięknych włosów...

– Jesteśmy jak niezapisane tabliczki – wtrącił inny aktor.

– Zaledwie przedłużeniem pióra, że tak powiem – dorzucił wielka czapa.

– Owszem, jesteście cholernym przedłużeniem – mruknąłem pod nosem. – Aktorzy zatem. Znakomicie. Król kazał powiedzieć, że zapewni wam bezpieczny przejazd do Gloucester i proponuje ochronę.

– Ojej – powiedział tamten. – Wybieramy się jeno do Birmingham, ale chyba możemy nadłożyć drogi do Gloucester, jeśli Jego Wysokość pragnie naszego występu.

– Nie – odrzekłem. – Proszę, przejedźcie i ruszajcie w drogę do Birmingham. Król nigdy nie przeszkodziłby artyście.

– Jesteś pewien? – spytał wielka czapa. – Właśnie mieliśmy próby klasycznej sztuki starożytnej pod tytułem *Zgniłe jajka i cham Let*³³. To historia młodego księcia Danii, który popada w szaleństwo, topi narzeczoną, a w akcie wyrzutów sumienia wciska każdemu, kogo spotka, zgniłe śniadanie. Poskładano ją z fragmentów antycznego merykańskiego manuskryptu.

– Nie – powiedziałem. – Myślę, że przedstawienie byłoby dla króla zbyt ezoteryczne. Jest stary i przysypia podczas długich przedstawień.

– Szkoda – stwierdził wielka czapa. – To poruszająca sztuka. Pozwól, że zacytuję ci fragment. „Zgniłe czy nie zgniłe? Oto jest pytanie. Jest li w istocie szlachetniejszą rzeczą spożyć je z szynką i chleba kruszynką... „

– Przestań! – przerwałem mu. – Jedźcie już, prędko. W kraju zaczęła się wojna i plotka głosi, że gdy tylko wykończą prawników, zabiją wszystkich aktorów.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Z pełnym przekonaniem pokiwałem głową. – Szybko, do Birmingham, zanim was wszystkich wyrzną.

– Wszyscy do wozu – polecił wielka czapa, a aktorzy usłuchali. – Bądź zdrów, błaznie! – A potem strzelił lejcami i odjechał. Koła podskakiwały w koleinach traktu.

Orszak Lira rozstał się i rycerze patrzyli, jak ciągnące wóz konie przechodzą w galop.

– Co to było? – spytał Lir, gdy wróciłem.

– Wagon durniów – odrzekłem.

– Czemuż tak im się spieszy?

– Tak nakazaliśmy, wujciu. Połowę trupy zmogła gorączka. Nie chciałem, by zbliżali się do twych ludzi.

³³ W oryginale tytuł brzmi *Green Eggs and Hamlet* i stanowi odwołanie do książki dla dzieci Dr. Seussa *Green Eggs and Ham* (przyp. tłum.).

– O, dobrze się zatem spisałeś, chłopie. Myślałem, że może zatęskniłeś za życiem i zechcesz dołączyć do trupy.

Zadrzałem na tę myśl. Był zimny grudniowy dzień, jak wtedy, gdy przybyłem do Tower ze swoją trupą kuglarzy. Nie byliśmy aktorami, lecz śpiewakami, zonglerami i akrobatami, ja zaś stanowiłem szczególny atut, albowiem posiadałem wszystkie te trzy umiejętności. Naszym panem był garbaty Belg imieniem Belette, który kupił mnie od matki Bazylia za dziesięć szylingów i obietnicę, że będzie mnie karmił. Władał niderlandzkim, francuskim i bardzo łamanym angielskim, więc nie wiem, jak zdołał załatwić występ w Tower na Boże Narodzenie, ale później słyszałem, że członkowie trupy, która miała pierwotnie wystąpić, doznali nagle skurczów żołądka, i nabrałem podejrzeń, że Belette ich otrul.

Byłem z nim już od paru miesięcy i, jeśli nie liczyć bicia i spania pod wozem w zimne noce, otrzymałem jedynie chleb, czasami kubek wina oraz umiejętność rzucania nożem i zręczne ręce, pozwalające kraść sakiewki.

Zaprowadzono nas do wielkiej sali w zamku, gdzie szlachta huląca i pochłaniała potrawy, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Król Lir siedział pośrodku, przy głównym stole, w towarzystwie dwóch pięknych dziewcząt mniej więcej w moim wieku – później się dowiedziałem, że to Regana i Goneryla. Przy tej pierwszej siedział Gloucester, jego żona oraz ich syn Edgar. Nieustraszony Kent usiadł po drugiej stronie, obok Goneryli. Pod stołem, u stóp Lira, kuliła się mała dziewczynka, obserwująca uroczystość szeroko otwartymi oczami, niczym dzikie zwierzę, i kurczowo trzymająca szmacianą lalkę. Przyznaję, doszedłem do wniosku, że dziecko musi być głuche albo niedorozwinięte.

Występowaliśmy przez jakieś dwie godziny, śpiewając do kolacji pieśni o świętych, a potem przechodząc do rubaszniejszego repertuaru, bo wino płynęło i gościom coraz mniej zależało na przyzwoitości. Późnym wieczorem wszyscy się już śmiali, goście tańczyli z artystami, a do zabawy dołączyli nawet mieszkający w zamku prostytutki, lecz dziewczynka pozostawała pod stołem i nie wydawała żadnego dźwięku. Nawet się nie uśmiechnęła, nie uniosła w zachwycie brwi. W tych kryształowych oczach lśnił blask – nie była głupia – ale zdawało się, że patrzy nimi z bardzo daleka.

Wpełzłem pod stół i usiadłem obok niej. Ledwie zauważyła moją obecność. Nachyliłem się i głową wskazałem Belette'a, który stał przy kolumnie, blisko środka hali, gapiąc się lubieżnie na młode dziewczęta, które płaszały obok. Zauważyłem, że

mała też obserwuje drania. Po cichu zaśpiewałem piosenkę, której nauczyła mnie anachoretką, nieco zmieniając tekst, by pasował do sytuacji.

*Belette szczurem był, szczurem był, szczurem był,
Belette szczurem był, szczurem był, szczurem był,
Belette szczurem był, co własny ogon zjadł.*

Dziewczynka odchyliła się i popatrzyła na mnie, jakby chciała sprawdzić, czy naprawdę zaśpiewałem coś takiego. A ja ciągnąłem:

*Belette szczurem był, szczurem był, szczurem był,
Belette szczurem był, szczurem był, szczurem był,
Belette szczurem był, który do cebra wpadł.*

I mała zachichotała, łamiącym się, dziewczęcym śmiechem, w którym pobrzmiwały niewinność, radość i zachwyt.

Śpiewałem dalej, a ona mi cicho zawtórowała.

*Belette szczurem był, szczurem był, szczurem był,
Belette szczurem był...*

I nie byliśmy już pod stołem sami. Pojawiła się druga para krystalicznie niebieskich oczu, a wraz z nią siwowłósy król. Uśmiechnął się i ścisnął mój biceps. Zanim inni goście zauważyli, że monarcha wlaź pod stół, on usiadł z powrotem na tronie, ale opuścił ręce, kładąc jedną dłoń na ramieniu dziewczynki, a drugą na moim. Te ręce sięgały przez szeroką przepaść rzeczywistości – z wysokiej pozycji władcy całego królestwa do nisko urodzonego sieroty, śpijącego w błocie pod wozem. Pomyślałem, że właśnie tak musiał się czuć rycerz, gdy królewski miecz dotykał jego ramienia, nadając mu godność szlachecką.

Śpiewaliśmy:

Szczurem był, szczurem był, szczurem był...

Gdy zabawa zaczęła zamierać, szlachetni goście przewiesili się pijani przez stoły, a słudzy położyli się na kupie przy ogniu, Belette zaczął chodzić między uczestnikami przyjęcia i poszturchiwać swoich artystów, wzywając ich, by zebrali się

przy drzwiach. Zasnąłem pod stołem, a dziewczynka oparła mi się na ramieniu. Belette pociągnął mnie za włosy.

– Cały wieczór nic nie robiłeś. Widziałem.

Wiedziałem, że po powrocie do wozu czeka mnie lanie i byłem na to przygotowany. Przynajmniej podczas uczty zdołałem coś zjeść.

Ale gdy Belette odwrócił się, by mnie odciągnąć, nagle się zatrzymał. Podniosłem wzrok i zobaczyłem swojego pana, znieruchomiałego, z czubkiem miecza przyciśniętym do policzka tuż pod okiem. Puścił moje włosy.

– Słusznie – powiedział Kent, ten stary byk, i cofnął miecz, ale wciąż trzymał go o dłoń od twarzy Belette'a.

Rozległ się brzęk monet o stół i Belette nie mógł się powstrzymać, tylko spuścił wzrok, mimo że zagrożone było jego życie. Leżała przed nim sakiewka z kozłej skóry o rozmiarach pięści.

Obok Kenta stał szambelan, wysoki, surowy mężczyzna, bez przerwy zerkający na swój nos. Powiedział:

– Twoja zapłata plus dziesięć funtów, które weźmiesz za tego chłopaka.

– Ale... – zaczął Belette.

– Jedno słowo dzieli cię od śmierci, panie – odezwał się Lir. – Mów dalej.

Siedział na tronie, prosto, po królewsku, z ręką przyciśniętą do policzka dziewczynki, która obudziła się i przytuliła do jego nogi.

Belette wziął sakiewkę, pokłonił się głęboko i cofnął przez salę. Pozostali kuglarze z mojej trupy także oddali ukłony i poszli w jego ślady.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – spytał Lir.

– Kieszonka, Wasza Wysokość.

– Dobrze, Kieszonko, widzisz to dziecko?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Nazywa się Kordelia. To nasza najmłodsza córka i od tej pory będzie twoją panią. Masz jeden obowiązek. Musisz ją uszczęśliwić.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Zabierzcie go do Bańki – polecił król. – Niech go nakarmi i wykąpie, a potem znajdzie mu nowe ubranie.

Po powrocie na drogę do Gloucester Lir zagadnął:

– Czego sobie zatem życzysz, Kieszonko? Znowu zostaniesz wędrownym kuglarzem? Zamienisz zamkową wygodę na przygody na drodze?

– Najwyraźniej już zamieniłem, wujciu – odrzekłem.

Obozowaliśmy nad strumieniem, który zamarzył przez noc. Starzec siedział przy ognisku i trząsał się, opatulony płaszczem z gęstego futra. Odzienie było tak grube, a on sam tak szczupły, że wyglądało to, jakby powoli pożerała go powolna, ale dobrze odżywiona bestia. Oprócz futra widać było jedynie jego siwe włosy i orli nos, a także dwie świecące gwiazdy oczu.

Śnieg padał wokół nas w wielkiej, mokrej orgii płatków, a mój wełniany płaszcz, który naciągnąłem sobie na głowę, zupełnie przemókł.

– Czy tak bardzo zawiodłem jako ojciec, że córki zwracają się przeciwko mnie?

Dlaczego właśnie teraz postanowił wejrzeć w ciemną beczkę swej duszy, skoro przez tyle lat zadowalał się po prostu zaspokajaniem własnych żądz i pozwalał, by inni ponosili tego konsekwencje?

Cholernie niewłaściwy moment na introspekcję, gdy już odebrało ci zdrowe zmysły. Nic jednak nie mówiłem.

– A co ja wiem o ojcostwie, panie? Nie miałem ojca ani matki. Wychował mnie Kościół, za który nie dałbym nawet własnych ciepłych szczyn.

– Biedny chłopcze – powiedział król. – Dopóki żyję, będziesz miał ojca i rodzinę.

Chciałem zauważyć, że według własnych słów zmierzał już do grobu i że, zważywszy na jego postępowanie wobec córek, może lepiej byłoby pozostać sierotą, ale starzec ocalił mnie od życia niewolnika i włóczęgi, zapewnił mi dach nad głową w pałacu, przyjaciół oraz chyba swego rodzaju rodzinę. Odparłem więc:

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

Westchnął ciężko i powiedział:

– Żadna z moich trzech królowych mnie nie kochała.

– Oj, do kurwy, Lirze, jestem trefnisiem, a nie cholernym czarodziejem. Jeśli zamierzasz się dalej tarzać w błocie swoich żalów, to po prostu przytrzymam ci miecz, a ty ruszysz swoją starą dupę i opadniesz na ostry koniec, żebyśmy obaj mieli cholerny spokój.

Lir roześmiał się, a potem poklepał mnie po ramieniu.

– Nie mógłbym prosić syna o więcej niż trochę śmiechu w chwili rozpacz. Idę do łóżka. Śpij dziś w moim namiocie, Kieszonko, z dala od chłodu.

– Tak, panie. – Muszę przyznać, że wzruszyła mnie jego uprzejmość.

Poczłapał do namiotu. Jeden z paziów od godziny znosił tam rozgrzane kamienie i poczułem falę gorąca, gdy król wszedł do środka.

– Przyjdę, tylko się wysiusiam – rzekłem.

Ruszyłem na skraj blasku ognia i zacząłem opróżniać pęcherz przy dużym, nagim wiąznię, gdy w lesie przede mną zamigotał niebieski blask.

– Proszę, jaka wełnista kępa, jak u barana – usłyszałem damski głos i widmo wyłoniło się zza drzewa, na które lałem.

– Na boże jajca, zjawo, prawie na ciebie nasikałem!

– Ostrożnie, błażnie – powiedziało widmo, które teraz wydawało się przerażająco cielesne, tylko trochę przejrzyste. Płatki śniegów przelatowały przez nie na wylot. Ale ja się nie bałem.

Przy królewskiej rodzinie

Serce wdzięczne grzeję,

Choć nie jesteś sierotą,

Pomnij zbrodnię jej.

– To wszystko? – spytałem. – Rymy i zagadki? Ciągłe?

– Na razie nic więcej ci nie potrzeba – odrzekł duch.

– Widziałem wiedźmy – oznajmiłem. – Zdaje się, że cię znały.

– Zaiste – przyznała zjawka. – W Gloucester szykują się nieczne czyny, błażnie. Miej oko.

– Na co?

Ale już zniknęła, a ja stałem w lesie, z wackiem w ręce, i gadałem do drzewa. Rano ruszymy do Gloucester i zobaczę, na co mam mieć oko. Czy coś w tym rodzaju.

Flagi księcia Kornwalii i Regany powiewały nad blankami obok barw hrabiego Gloucester, co oznaczało, że już przyjechali. Zamek składał się z kilku wież, z trzech stron otaczało go jezioro, a od przodu szeroka fosa – nie było muru zewnętrznego, jak

w Tower czy zamku księcia Albanii, nie było międzymurza, tylko mały dziedziniec i barbakan, chroniący wejście. Mury miejskie od strony lądu stanowiły zewnętrzną ochronę stajni i baraków.

Gdy podeszliśmy bliżej, na murach zagrała trąbka, ogłaszając nasze przybycie. Śliniak wybiegł na most zwodzony z wysoko uniesionymi rękami.

– Kieszonko, Kieszonko, gdzieś ty był? Przyjacielu! Przyjacielu!

Poczułem wielką ulgę, widząc go żywego, ale ten wielki jak niedźwiedź prostak ściągnął mnie z konia i tulił tak długo, że ledwie mogłem oddychać, zatańczył ze mną w kółko, a moje nogi fruwały w powietrzu, jakbym był lalką.

– Przestań mnie lizać, gamoniu, bo mi włosy wyrwiesz. Walnąłem niezdare Jonesem w plecy, aż zawył.

– Au! Nie bij, Kieszonko.

Opuścił mnie i ukląkł, tuląc sam siebie, jakby był własną matką i pocieszycielką, co zresztą mogło być prawdą, o ile mi było wiadomo. Ujrzałem czerwono-brązowe plamy na plecach jego koszuli, więc uniosłem materiał, by sprawdzić przyczynę.

– Oj, chłopie, co ci się stało? – Głos mi się załamał, łzy napłynęły do oczu i jęknąłem. Muskularne plecy Śliniaka były niemal zupełnie odarte ze skóry, która była porozrywana i pokryta strupami od bezwzględnych smagnień bata.

– Strasznie za tobą tęskniłem – powiedział Śliniak.

– Ja też, ale skąd ci się wzięły te ślady?

– Lord Edmund mówi, że obrazę natury i należy mnie karać.

Edmund. Bękart.

GNIAZDO ŁOTRÓW

Edmund. Należało się nim zająć, zmierzyć się z nim. Z trudem zwalczyłem w sobie ochotę, by znaleźć tego łajdaka o czarnym sercu i wrazić mu między żebra jeden ze swoich sztyletów, ale miałem już plan, a przynajmniej coś w tym rodzaju, i wciąż byłem w posiadaniu sakiewki z dwiema z purchawek, które dały mi wiedźmy. Przełknąłem gniew i poprowadziłem Śliniaka do zamku.

– Ej, Kieszonko! To ty, chłopie? – Walijski akcent. – Jest z tobą król?

Ujrzałem czubek męskiej głowy, wystający z dybów, które ustawiono pośrodku dziedzińca. Ciemne długie włosy opadały mu na twarz. Podszedłem bliżej i pochyliłem się, by zobaczyć, kto to taki.

– Kent? Też sobie znalazłeś kołnierz.

– Mów mi Kajus – poprawił stary rycerz. – Król jest z tobą?

Nieszczęśnik nie mógł nawet podnieść wzroku.

– Już jedzie. Ludzie zostawiają konie w stajniach w mieście. W jaki sposób trafiłeś w dyby?

– Starłem się z tym skurwysynem Oswaldem, sługą Goneryli. Książę Kornwalii uznał, że wina leży po mojej stronie i kazał mnie zakuć. Jestem tu od zeszłego wieczoru.

– Śliniaku, przynieś wody dla tego dobrego rycerza – poprosiłem.

Olbrzym ruszył na poszukiwanie wiadra. Ja obszedłem Kenta dookoła i lekko poklepałem go po tyłku.

– Wiesz, Kencie, ee... Kajusie, jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

– Nicponiu, nie pozwolę, byś mnie dręczył.

Znowu dałem mu klapsa, aż z jego rajtuzów wzbił się kurz.

– Nie, nie, nie, nie ja. To nie w moim guście. Ale Śliniak, on wychędożyłby nawet samą noc, gdyby nie bał się ciemności. A natura obdarzyła go niby wołu. Przypuszczam, że przez dwa tygodnie będziesz z siebie wyciskał grube stolce, jak już Śliniak się tobą zajmie. Kolacja wyleci z ciebie niczym pestka wiśni z kościelnego dzwonu.

Śliniak właśnie wracał przez dziedziniec, niosąc drewniane wiadro i chochlę.

– Nie! Stój! – wrzasnął Kent. – Nikczemność! Gwałt! Zatrzymajcie tych łotrów! Strażnicy patrzyli na nas z murów. Nabrałem chochlę wody z wiadra i chlusałem mu w twarz, by się uspokoił. Parsknął i zaczął się szarpać w dybach.

– Spokojnie, dobry Kencie, tylko cię nabierałem. Wyciągniemy cię stąd, jak tylko przybędzie król. – Przytrzymałem chochlę, żeby się napił.

Gdy skończył, jęknął:

– Na mieszek Chrystusa, Kieszonko, czemuś wygadywał takie rzeczy?

– Zapewne dlatego że jestem wcieleniem czystego zła.

– Przestań. To do ciebie nie pasuje.

– Pracuję nad tym, by pasowało – odparłem.

Kilka chwil później Lir przejechał przez bramę w towarzystwie kapitana Kurana i innego, starszego rycerza.

– A to co? – spytał król. – Mój posłaniec w dybach! Jak do tego doszło? Kto cię zakuł?

– Twoja córka i zięć, panie – odrzekł Kent.

– Nie. Na brodę Jowisza, powiadam nie – powiedział Lir.

– Tak, na łuskowate stopy Kardamona³⁴, powiadam tak – odparł Kent.

– Na powiewający napletek Frei, powiadam „chędożyć wszystko” – odezwał się Jones.

W tej chwili spojrzeli na pewną siebie lalkę na patyku.

– Powiadam nie – ciągnął Lir. – To gorsze od morderstwa, tak traktować królewskiego posłańca. Gdzie moja córka?

³⁴ „Łuskowate stopy Kardamona” – według legendy święty Kardamon był mnichem z Włoch, któremu ukazał się archanioł Razjel, prosząc o wodę do picia. Kardamon przypadkiem wszedł do jaskini, która prowadziła do piekła. Zaginał tam na czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Choć zaraz po przybyciu paliły go stopy, wkrótce wykształciły mu się zielone, porośnięte łuską nogi jaszczurki, które chroniły go od piekielnego ognia. Gdy wrócił do anioła z dzbanem wody lodowej (jakiej nikt dotąd nie widział), otrzymał dar łuskowatych stóp po wsze czasy. Często mawia się, że kobieta o stopach tak twardych, że drą prześcieradła, została „pobłogosławiona przez świętego Kardamona”. Święty Kardamon jest patronem cery mieszanej, zimnych napojów i nekrofilii.

Stary król ruszył przez wewnętrzną bramę w towarzystwie kapitana Kurana i tuzina innych rycerzy ze swojego orszaku, którzy przyjechali do zamku.

Śliniak usiadł na ziemi w rozkroku, zrównując się twarzą z Kentem, i powiedział:

– Jak się miewałeś?

– Jestem w dybach – odrzekł Kent. – Trzymali mnie w nich całą noc.

Śliniak skinął głową i strużka śliny pociekła mu po podbródku.

– Czyli niedobrze?

– Nie, chłopie – przyznał hrabia.

– Teraz już lepiej, bo Kieszonka przybył nam na ratunek, co?

– Owszem, ratunek trwa. Nie widziałeś jakichś kluczy, kiedy poszedłeś po wodę?

– Nie. Żadnych kluczy – odparł Śliniak. – Mają tu praczkę z cudnymi cycami, która czasem pracuje przy studni, ale nie chce się zabawić. Pytałem ją. Pięć razy.

– Śliniaku, nie możesz tak po prostu pytać bez żadnych wstępów – wtrąciłem.

– Powiedziałem „proszę” – zapewnił.

– Pięknie, zatem cieszę się, że zachowałeś dobre maniery w obliczu takiej nikczemności.

– Dziękuję, dobry panie – powiedział Śliniak głosem bękartu Edmunda, doskonałym, ociekającym złem.

– Cholerne ciarki przechodzą – stwierdził Kent. – Kieszonko, mógłbyś coś zrobić, by mnie uwolniono? Godzinę temu straciłem czucie w rękach, a obetną mi je z powodu gangreny, mogę mieć kłopot z trzymaniem miecza.

– Zajmę się tym – odrzekłem. – Pozwól Reganie wylać trochę jadu na ojca, a potem pójde do niej po klucz. Bardzo mnie lubi, wiesz?

– Obsikałeś się, co? – powiedział Śliniak, już swoim własnym głosem, ale z lekkim walijskim akcentem, bez wątpienia po to, by pocieszyć zniesmaczonego Kenta.

– Już kilka godzin temu, a potem jeszcze dwa razy – przyznał hrabia.

– Czasami robię tak nocą, gdy zimno i do wygodki daleko.

– Jestem po prostu stary i pęcherz skurczył mi się do wielkości orzecha.

– Wywołałem wojnę – wtrąciłem, jako że najwyraźniej zaczęliśmy intymne wyznania.

Kent zaczął się wiercić w dybach, by na mnie spojrzeć.

– A to co? Od klucza, przez siki, po „wywołałem cholerną wojnę”, i to nawet bez pytania? Jestem zdumiony.

– I martwi mnie to, bo to wy stanowicie moją armię.

– Cudnie! – stwierdził Śliniak.

Hrabia Gloucester osobiście przyszedł uwolnić Kenta.

– Przykro mi, dobry człowieku. Wiesz, że bym na to nie pozwolił, ale kiedy książę Kornwalii coś postanowi...

– Słyszałem, że próbowałeś – powiedział Kent.

Ci dwaj byli przyjaciółmi w poprzednim życiu, ale teraz, gdy Kent stał się szczupły i długowłosy, nabrał młodego i dość groźnego wyglądu, na Gloucesterze natomiast minione tygodnie odcisnęły takie piętno, jakby to były lata. Bardzo osłabł i musiał zmagać się z wielkim kluczem od dybów. Wziąłem go odeń delikatnie i otworzyłem zamek.

– A co do ciebie, błaznie, nie pozwolę ci naigrywać się z tego, że Edmund to bękart.

– Zatem przestał być bękartem? Ożeniłeś się z jego matką. Gratuluję, drogi hrabio.

– Nie, jego matka od dawna nie żyje. Jego prawowitość wzięła się z podłości mego drugiego syna, Edgara, który mnie zdradził.

– Jak to? – spytałem, doskonale znając odpowiedź.

– Zamierzał odebrać mi ziemie i zagnać mnie do grobu.

Nie to napisałem w liście. Oczywiście, ziemie miały zostać stracone, ale nie było wzmianki o zamordowaniu starca. To była sprawka Edmunda.

– Co uczyniłeś, żeś rozgniewał naszego ojca? – odezwał się Śliniak, idealnie naśladowując głos Edmunda.

Wszyscy się odwróciliśmy, by popatrzeć na tego wielkiego niezdare, gdy z jego przepastnych ust dobywał się głos, który zupełnie nie pasował do jego rozmiarów.

– Nic nie zrobiłem – powiedział innym głosem.

– Edgar? – spytał Gloucester.

Tak, ten głos zaiste należał do Edgara. Naprężyłem się, czekając, co będzie dalej.

– Weź broń i ukryj się – znów rozbrzmiał głos bękarta. – Ojciec umyślił sobie, że popełniłeś jakieś przestępstwo, i rozkazał strażnikom, by cię pojмали.

– Co? – zdziwił się Gloucester. – Cóż to za dziwne czary?

I jeszcze raz powrócił głos bękarta:

– Poradziłem się konstelacji. Przepowiadają, że nasz ojciec oszaleje i zacznie cię ścigać...

W tejże chwili zacisnąłem dłoń na ustach Śliniaka.

– To nic, milordzie – stwierdziłem. – Ten naturalny jest niespełna rozumu. To zapewne gorączka. Naśladuje głosy, ale niecelowo. Jego myśli to groch z kapustą.

– Ale to były głosy moich synów – powiedział hrabia. – Tak, ale tylko z brzmienia. Tylko z brzmienia. Ten wielki błazen jest jak rozgadany ptak. Jeśli masz kwaterę, do której mógłbym go zabrać...

– I jeszcze ulubionego królewskiego błazna. I z maltretowanego sługę – dodał Kent, pocierając obolałe od dybów nadgarstki.

Gloucester zastanawiał się przez chwilę.

– Ty, drogi panie, zostałeś niesłusznie ukarany. Sługa Goneryli, Oswald, nie jest człowiekiem honoru. A Lir, choć tajemnica to dla mnie niezgłębiona, zaiste kocha Czarnego Błazna. W północnej wieży jest nieużywany solar. Przecieka, ale chroni od wiatru i znajduje się blisko twego pana, który ma kwaterę w tym samym skrzydle.

– Dziękuję, dobry panie – rzekłem. – Naturalnym trzeba się zająć. Owiniemy go kocami, a potem pójdę do medyka po pijawkę.

Wepchnęliśmy Śliniaka do wieży, a Kent zamknął i zaryglował ciężkie drzwi. Było tam jedno wysokie okno z połamanymi okiennicami i dwa otwory strzelnicze, wszystkie we wnękach, gobeliny zaś odciągnięto na bok i przywiązano, by wpuścić odrobinę światła. W zimowym powietrzu widzieliśmy własne oddechy.

– Zaciągnąć te gobeliny – powiedział Kent.

– Najpierw idź po świece – odparłem. – Bo wtedy zrobi się tu ciemno jak u Nyks³⁵ w dupie.

Kent wyszedł z pomieszczenia i po kilku minutach wrócił, niosąc ciężki żelazny kandelabr z trzema zapalonymi świecami.

– Służąca przyniesie nam koksownik oraz trochę chleba i piwa – rzekł rycerz. – Dobry człek ze starego Glouceстера.

– I wystarczająco rozsądny, by nie mówić królowi, co myśli o jego córkach – odrzekłem.

– Dostałem nauczkę – stwierdził Kent.

– Prawda. – Odwróciłem się do Śliniaka, który bawił się woskiem skapującym z grubych świec. – Coś ty mówił? Wiesz, o knowaniach Edmunda i Edgara.

– Nie wiem, Kieszonko. Po prostu gadam, nie wiem co to znaczy. Ale lord Edmund mnie bije, kiedy mówię jego głosem. Powiada, że obrażam naturę i należy mnie karać.

Kent pokręcił głową niczym wielki ogar wytrząsający wodę z uszu.

– Jakąż to zawilą niegodziwość wprawileś w ruch, Kieszonko?

– Ja? To nie moja sprawka, autorem całego łotrostwa jest ten szubrawiec Edmund. Ale to sprzyja naszym planom. Rozmowy między Edgarem a Edmundem leżą na półkach w umyśle Śliniaka niczym zapomniane tomy w bibliotece, musimy tylko durnia nakłonić, by je otworzył. A teraz do dzieła. Śliniaku, powtórz słowa Edgara, kiedy to Edmund poradził mu, by się ukrył.

A zatem wydobywaliśmy wydarzenia z pamięci Śliniaka, używając podpowiedzi niczym sztamajzy³⁶. Grzejąc się przy koksowniku i zajadając chleb, obserwowaliśmy fragmenty zdrady Edmunda, odgrywane głosami oryginalnych bohaterów.

– Zatem Edmund zranił się i udawał, że uczynił to Edgar – odezwał się Kent. – Czemu po prostu nie zabił brata?

– Najpierw musi sobie zapewnić dziedzictwo, a nóż w plecy byłby podejrzany – odparłem. – Poza tym Edgar to świetny wojownik. Nie sądzę, by Edmund chciał stawić mu czoło.

– Zdrajca i tchórz – powiedział Kent.

³⁵ Nyks – grecka bogini nocy.

³⁶ Sztamajza – rodzaj łomu.

– I to są jego zalety – odrzekłem. – A przynajmniej tak powinniśmy je wykorzystać. – Lekko poklepałem Śliniaka po ramieniu. – Chłopie, znakomita błazenada. Teraz chcę sprawdzić, czy zdołasz powiedzieć to, co ja, głosem bękarta.

– Spróbuję, Kieszonko. Powiedziałem:

– O, moja słodka pani, Regano, jesteś piękniejsza niżli blask księżyca, jaśniejsza od słońca, wspanialsza od wszystkich gwiazd. Muszę cię mieć, bo niechybnie szczeszę.

W mgnieniu oka Śliniak powtórzył moje słowa głosem Edmunda z Gloucester, z intonacją i rozpaczą, które stanowiły doskonały klucz do afektów Regany, tak przynajmniej sądziłem.

– I jak? – spytał głupek.

– Znakomicie – pochwaliłem.

– Nie do wiary – powiedział Kent. – Dlaczego Edmund pozwolił naturalnemu żyć? Na pewno wie, że to świadek jego zdrady.

– Świetne pytanie. Chodźmy go spytać, dobrze?

Gdy zmierzaliśmy do kwater Edmunda, przyszło mi do głowy, że odkąd widziałem bękarta, władza mego protektora, czyli króla Lira, dość mocno osłabła, podczas gdy wpływy Edmunda, a tym samym jego nietykalność, wzrosły, gdy został dziedzicem Gloucester. Krótko mówiąc, czynniki, które powstrzymywały bękarta przed zamordowaniem mnie, dosłownie wyparowały. Do ochrony miałem tylko miecz Kenta i lęk Edmunda przed karą ze strony ducha. Mimo to woreczek z wiedźmowymi purchawkami stanowił ciężką broń.

Giermek zaprowadził mnie do przedsionka wielkiej zamkowej sali.

– Jego lordowska mość przyjmie tylko ciebie, błaznie – oznajmił.

Kent, zdaje się, był gotów przyłożyć chłopakowi, ale uniosłem dłoń, by go powstrzymać.

– Dopilnuję, by drzwi pozostały niezamknięte, drogi Kajusie. Gdybym wołał, wejdz, proszę, i pokaż bękartowi swą śmiercionośną werwę. – Wyszczrzyłem się do piegowatego giermka. – Choć to mało prawdopodobne – dodałem. – Edmund ma o

mnie wysokie mniemanie, a ja o nim. Komplementy zostawią nam niewiele czasu na rozmowy o interesach.

Minąłem młodzieńca i wszedłem do pomieszczenia, gdzie Edmund siedział samotnie przy pulpicie.

Przemówiłem:

– Ty pokryty łuską łotrze, trupożerna larwo, przestań ucztować na zwłokach lepszych od siebie i przyjmij Czarnego Błazna, nim mściwe duchy przyjdą wyrwać z twego ciała wynaturzoną duszę i zaciągną ją w najmroczniejsze czeluści piekła za twoją zdradę.

– O, ładnie powiedziane, błażnie – stwierdził Edmund.

– Tak sądzisz?

– O tak, przeszło mnie do głębi. Może nigdy się nie otrząsnę.

– Ułożone zupełnie na poczekaniu – zapewniłem. – Trochę czasu i pracy... cóż, mogę wyjść i wrócić z lepszą wersją.

– Porzuć tę myśl – odrzekł bękart. – Poświęć chwilę na złapanie tchu, a potem upajaj się swoją retoryczną maestrią. – Wskazał stojące naprzeciwko siebie krzesło z wysokim oparciem.

– Dziękuję, tak uczynię.

– Wciąż jednak maleńki, jak widzę – stwierdził.

– No tak, natura to taka niesforna cipa...

– I wciąż słaby, jak przypuszczam?

– Woli nie mam słabej.

– Ma się rozumieć, odnosiłem się jeno do twych gibkich kończyn.

– A tak, w takim wypadku przypominam nieco przemoknięte kocię.

– Wspaniale. Przybyłeś tedy, by cię zamordowano?

– Nie od razu. Ee, Edmundzie, jeśli wolno mi powiedzieć, jesteś dziś odpychająco miły.

– Dziękuję. Przyjąłem strategię uprzejmości. Okazuje się, że można się dopuścić wszelakich ohydnych podłości pod płaszczykiem grzeczności i dobroci. – Edmund pochylił się nad pulpitem, jakby szykował się do najintymniejszego wyznania. – Wygląda na to, że człowiek jest gotów porzucić rozsądne samolubstwo, jeśli uzna cię za dość życzliwego, by razem usiąść nad dzbanem piwa.

– Jesteś zatem uprzejmy?

– Tak.

- To niestosowne.
- Oczywiście.
- Otrzymałeś tedy wiadomość od Goneryli?
- Oswald dał mi ją dwa dni temu.
- I? – spytałem.
- Bez wątpienia wpadłem jej w oko.
- I jak się z tym czujesz?
- Czyż można się jej dziwić? Szczególnie teraz, gdy jestem zarówno uprzejmy,

jak i przystojny.

- Powinienem był poderżnąć ci gardło, gdy miał okazję – rzekłem.

– Ach, cóż, było, minęło, prawda? Swoją drogą, doskonały plan z tym listem dyskredytującym mego brata Edgara. Udało się wyśmienicie. Oczywiście nieco go upiększyłem. Improwizowałem, innymi słowy.

– Wiem – odparłem. – Sugestia ojcobójstwa i samookaleczenie. – Skinąłem głową w stronę jego obandażowanej prawej ręki.

- A tak, naturalny z tobą rozmawia, mam rację?

– Zatem z ciekawości. Czemu ten cholerny wielki głupek jeszcze dycha, skoro tyle wie o twoich planach? Strach przed duchami, tak?

Pierwszy raz jego uprzejmy i szczery uśmiech zadrzał.

– To też, lecz poza tym bardzo lubię go bić. A gdy go nie biję, w jego towarzystwie czuję się mądrzejszy.

– Ty prosty bękarcie, przy Śliniaku nawet kowadło czuje się mądrzejsze. Jakie to cholernie gminne z twojej strony.

To zmieniło postać rzeczy. Najwyraźniej pozory uprzejmości zniknęły, gdy przychodziło do kwestii klasy. Dłoń Edmunda wsunęła się pod stół, po czym wyciągnęła długi sztylet. Lecz ja tymczasem opuszczałem już Jonesa i uderzyłem nim bękarta w zabandażowane przedramię. Broń opadła, wirując, w taki sposób, że mogłem kopnąć rękojeść i posłać sztylet do własnej, nadstawionej dłoni (prawdę mówiąc, równie sprawnie posługuję się prawą i lewą ręką; nie wiem, czy to zasługa żonglerki, czy też złodziejskiego szkolenia u Belette'a).

Obróciłem ostrze i trzymałem je w gotowości do rzutu.

- Siadaj! Jesteś o pół obrotu od piekła, Edmundzie. No, drgnij. Proszę.

Widział moje występy z nożami na dworze i znał me umiejętności.

Bękart usiadł, trzymając się za zranioną rękę. Przez bandaż przesączała się krew.

Plunął w moją stopę, lecz chybił.

– Dostanę cię...

– Ha, ha, ha – zaśmiałem się, wymachując sztyletem. – Uprzejmość.

Edmund warknął, ale urwał, gdy Kent wpadł do pomieszczenia, wywalając drzwi z zawiasów. Dzierżył obnażony miecz, a dwaj podążający za nim giermkowie właśnie wyciągali swoje. Kent odwrócił się i uderzył pierwszego giermka w czoło ręką broni, zwalając chłopaka z nóg i pozbawiając zmysłów. Hrabia zawirował i płazem miecza podciął nogi drugiego. Giermek wylądował z donośnym jękiem na plecach. Stary rycerz cofnął się, by przeszyć mu serce.

– Stój! – rzekłem. – Nie zabijaj go!

Kent powstrzymał się i podniósł wzrok, dopiero teraz oceniając sytuację.

– Słyszałem szczęk broni. Myślałem, że ten łajdak cię morduje.

– Nie. Podarował mi ten piękny sztylet ze smoczą głową na znak pokoju.

– Nieprawda – zaprzeczył bękart.

– Czyli – powiedział Kent, zwracając szczególną uwagę na mą trzymaną w gotowości broń – to ty mordujesz bękarta?

– Sprawdzam jeno wyważenie broni, dobry rycerzu.

– A, przepraszam.

– Nie szkodzi. Dziękuję. Zawołam, gdybym cię potrzebował. Weź tego nieprzytomnego ze sobą, dobrze? – Popatrzyłem na drugiego giermka, który drżał na podłodze. – Edmundzie, bądź łaskaw pouczyć swych rycerzy, by byli uprzejmi wobec mojego zbira. To ulubieniec króla.

– Zostawcie go samego – warknął Edmund.

Kent i przytomny giermek wyciągnęli tego drugiego z komnaty, po czym zamknęli drzwi.

– Masz rację, cała ta uprzejmość to jakieś psie jajca, Edmundzie. – Podrzuciłem sztylet, złapałem go za rękę. Gdy tamten drgnął, jakby chciał wykonać ruch, z powrotem chwyciłem broń za klingę. Podejrzliwie uniosłem brwi. – Mówiłeś o tym, jak znakomicie powiódł się mój plan.

– Edgar nosi piętno zdrajcy. Rycerze mojego ojca już na niego polują. Będę panem Gloucester.

– Ależ Edmundzie, czy to naprawdę wystarczy?

– Owszem – odrzekł bękart.

– Ee, co owszem?

Czyżby już zwracał wzrok na włości księcia Albanii, mimo że jeszcze nie rozmawiał z Gonerylą? Byłem teraz podwójnie niepewny, co robić. Mój własny plan, by złączyć bękart z Gonerylą i podkopać fundamenty królestwa był jedyną rzeczą, która powstrzymywała mnie przed posłaniem mu sztyletu w gardło, gdy zaś pomyślałem o śladach bata na plecach nieszczęsnego Śliniaka, ręka mi zadrżała i chciałem posłać ostrze w cel. Ale co on zamierzał?

– Łup wojenny może być wielki jak całe królestwo – powiedział Edmund.

– Wojenny? – Wiedział o wojnie? O mojej wojnie.

– Tak, błaznie. Wojenny.

– Do ciężkiej kurwy – rzekłem.

Wypuściłem nóż, który pomknął, tnąc powietrze, ja zaś wybiegłem z pomieszczenia z brzękiem dzwonków.

Zbliżając się do naszej wieży, usłyszałem dźwięki, które brzmiały tak, jakby ktoś torturował łosia podczas burzy. Pomyślałem, że może Edmund nasłał jednak zabójcę na Śliniaka, więc przeszedłem cicho przez drzwi, trzymając jeden ze sztyletów w pogotowiu.

Śliniak leżał na plecach na kocu, a złotowłosa kobieta w białej sukni, podciągniętej nad biodra, ujeżdżała go, jakby brali udział w gonitwie dla idiotów. Już ją widziałem, lecz nigdy tak materialnie. Oboje jęczeli w ekstazie.

– Śliniaku, co ty robisz?

– Ładna – odrzekł z szerokim uśmiechem, radosnym i głupawym.

– Istne zjawisko, chłopie, ale rzniesz ducha.

– Nie. – Tępy olbrzym przerwał swoje podskoki, uniósł ją za talię i przyjrzał się z bliska, jakby znalazł w łóżku pchłę.

– Duch?

Skinęła głową.

Odrzucił ją na bok i z przeciągłym, rozedrganym krzykiem pobiegł do okna i wyskoczył, roztrzaskując okiennice. Krzyk cichł stopniowo, by skończyć się pluskiem.

Zjawa obciągnęła suknię, odrzuciła włosy z twarzy i uśmiechnęła się.

– Woda w fosie – powiedziała. – Nic mu się nie stanie. Ale ja odejdę chyba niezaspokojona.

– Tak, ale miło z twojej strony, że zamiast pobrzękiwać łańcuchami i zwiastować cholerne nieszczęścia, poświęcasz trochę czasu na wychędożenie przygłupa.

– Zatem sam nie masz ochoty się potarzać? – Wykonała ruch, jakby znów chciała unieść suknię nad biodra.

– Zdupczaj, zjawo, muszę wyłowić durnia z fosy. Nie umie pływać.

– Z lataniem najwyraźniej też sobie zbytnio nie radzi.

Nie miałem na to czasu. Schowałem sztylet, obróciłem się na pięcie i wyszedłem.

– Nie twoja to wojna, błaznie – powiedziało widmo.

Przystanąłem. Większość rzeczy Śliniak robił powoli i być może z tonięciem sprawa miała się podobnie.

– Bękart ma własną wojnę?

– Ma. – Zjawa pokiwała głową, rozpluwając się jednocześnie we mgle.

Dobry plan błazna

Owoce zrodzi,

Bękarta szansa

Z Francji przychodzi.

– Ty gadatliwa mgło, rozpapłany wyziewie, paro o węzowym języku, na umiłowanie prawdy, mówże wprost i bez przeklętych rymów.

Ale w tej chwili już jej nie było.

– Kim jesteś?! – krzyknąłem do pustej wieży.

DELIKATNE ROGI

– Chędożyłem ducha – rzekł Śliniak, mokry, nagi i żalorny, siedząc w kotle do prania w podziemiach zamku w Gloucester.

– Zawsze jest jakiś cholerny duch – stwierdziła praczka, szorując ubranie przygłupa, które w fosie mocno się pobrudziło. Trzeba było czterech ludzi Lira i jeszcze mnie, by wyciągnąć wielkiego durnia z cuchnącej brei.

– Nie ma na to wymówki, słowo daję – rzekłem. – Z trzech stron zamku macie jezioro, wystarczyłoby otworzyć na nie fosę, a wtedy wymyłoby wszystkie odpadki i cały smród. Dam głowę, kiedyś odkryją, że stojąca woda wywołuje choroby. Rodzi złośliwe wodne chochliki, dam głowę.

– Rety, jesteś strasznie gadatliwy, jak na takiego malca – powiedziała praczka.

– To talent – wyjaśniłem, wykonując zamaszysty gest Jonesem. Także byłem nagi, nie licząc czapki i lalki na patyku, albowiem gdym ratował Śliniaka, również mój strój pokryła warstwa szlamu z fosy.

– Ogłosić alarm! – Kent jak burza zbiegł po schodach do pralni, z obnażonym mieczem w dłoni i w towarzystwie dwóch młodych giermków, którym spuścił lanie niecałą godzinę wcześniej. – Zaryglować drzwi! Do broni, błaznie!

– Witaj – rzekłem.

– Jesteś nagi – stwierdził Kent, kolejny raz odczuwając potrzebę oznajmienia wszem wobec jakiejś oczywistości.

– Zaiste – przyznałem.

– Znajdźcie odzienie błazna, chłopcy, i go ubierzcie. Wilki w zagrodzie, musimy się bronić.

– Stać! – zawołałem. Giermkowie przestali miotać się jak szaleni po pralni i stanęli na baczność. – Znakomicie. Dobrze, Kajusie, o czym ty mówisz?

– Chędożyłem ducha – zwrócił się Śliniak do chłopaków. Udawali, że go nie słyszą.

Hrabia począł naprzód, nieco onieśmielony alabastrową wspaniałością mojej nagości.

– Znaleziono Edmunda ze sztyletem w uchu, przyszpilonego do oparcia krzesła.

– Musiał zatem być cholernie nieostrożny przy jedzeniu.

– Ty mu to zrobiłeś, Kieszonko. I dobrze o tym wiesz.

– *Moi?* Popatrz na mnie. Jestem mały, słaby i prosty, nigdy bym nie...

– Zażądał twojej głowy. Już teraz szuka cię po całym zamku – odparł Kent. – Przysięgam, że widziałem parę dobywającą się z jego nozdrzy.

– Chyba nie chce zakłócić obchodów Julu, co?

– Jul! Jul! Jul! – zanucił Śliniak. – Kieszonko, możemy iść do Fyllis? Możemy?

– Tak, chłopie. Jeśli w Gloucester jest jakiś lombard, zabiorę cię tam, jak tylko wyschnie ci ubranie.

Kent uniósł w zdumieniu brwi, przywodzące na myśl jeżozwierze.

– O czym on mówi?

– W każdy Jul idę ze Śliniakiem do Lombardu Fyllis Stein w Londynie, żeby mógł zaśpiewać „Sto lat” Jezusowi i zdmuchnąć świece w menorze.

– Ale Jul to pogańskie święto – wtrącił jeden z giermków.

– Zamknij się, cipo. Chcesz psuć cymbałowi zabawę? Skąd się tu w ogóle wzięliście? Chyba jesteście ludźmi Edmunda? Nie powinniście nadziewać mojej głowy na włócznie czy coś?

– Przeszli na moją stronę – wyjaśnił Kent. – Po laniu, które im spuściłem.

– To prawda – potwierdził pierwszy giermek. – Od tego dobrego rycerza więcej się nauczymy.

– Właśnie – dodał drugi. – Zresztą jesteśmy ludźmi Edgara. Lord Edmund to łajdak, jeśli wolno mi powiedzieć, panie.

– Drogi Kajusie – odezwałem się. – Czy wiedzą, żeś człkiem z gminu bez pensa przy duszy i nie możesz sobie pozwolić na utrzymywanie takich sił zbrojnych, jak... bo ja wiem... hrabia Kentu?

– Słuszna uwaga, Kieszonko – powiedział Kent. – Moi panowie, muszę was zwolnić ze służby.

– Nie dostaniemy zapłaty?

– Przykro mi, nie.

– W takim razie odejdziemy.

– Żegnajcie i bądźcie czujni, chłopcy – rzekł Kent. – Walczyć należy całym ciałem, a nie tylko mieczem.

Dwaj giermkowie wyszli z ukłonem z pralni.

– Powiedzą Edmundowi, gdzie się ukrywamy? – spytałem.

– Nie sądzę, ale tak czy owak lepiej się odziej.

– Praczeko, jak tam mój strój?

– Paruje przy ogniu, panie. Chyba wysechł już na tyle, byś mógł go nosić w komnatach. Czy dobrze słyszałam, że przebiłeś sztyłem ucho lorda Edmunda?

– Kto? Ja? Zwykły błazen? Nie, głupia. Jestem nieszkodliwy. Cios dowcipem, szturchnięcie prosto w dumę, oto jedyne obrażenia, jakie może zadać trefniś.

– Szkoda – stwierdziła praczka. – Zasłużył na coś podobnego i na jeszcze więcej za to, jak traktuje twego niemądrego przyjaciela... – odwróciła wzrok – ...i innych.

– Dlaczego zwyczajnie drania nie zabiłeś, Kieszonko? – spytał Kent, kopiąc subtelność do utraty zmysłów, a następnie zawijając ją w dywan.

– Tak, wykrzycz to ze wszystkich sił, pacanie.

– Jakbyś nigdy czegoś takiego nie zrobił.

– Wstaje nowy dzień, pogoda ponura. Zacząłem cholerną wojnę!

– Edmund ma swoją wojnę.

– Widzisz, znowu to zrobiłeś.

– Chciałem ci powiedzieć, kiedy zastałem tę dziewczęcą zjawę, jak gziła się ze Śliniakiem. Potem gamoń wyskoczył przez okno i trzeba go było ratować. Widmo napomknęło, że bękarta może ocalić Francja. Może zawarł pakt o inwazji z cholernym królem Jeffem?

– Duchy słyną ze swej niewiarygodności – stwierdził Kent. – Rozważałeś kiedyś możliwość, że oszalałeś i to wszystko twoje halucynacje? Śliniak, widziałeś tę zjawę?

– Trochę się z nią zabawiłem, zanim mnie wystraszyła – powiedział Śliniak ze smutkiem, kontemplując swój drąg przez parującą wodę. – Mój wacek chyba ogłuchł.

– Praczo, pomóż chłopakowi zmyć śmierć z wacka, dobrze?

– Nie ma mowy – odrzekła.

Przytrzymałem czubek czapki, by powstrzymać dzwonienie, i ukloniłem się, chcąc dowieść swej szczerości.

– Naprawdę, kochana, zadaj sobie pytanie: „co by uczynił Jezus?”.

– Gdyby miał cudne cycki – dodał Śliniak.

– Nie pomagaj.

– Przepraszam.

– Wojna? Mord? Zdrada? – przypomniał Kent. – Nasz plan?

– Racja – powiedziałem. – Jeśli Edmund toczy własną wojnę, zupełnie zburzy nam to plan wojny domowej między książętami Albanii i Kornwalii.

– Wszystko bardzo ładnie, lecz nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Dlaczego zwyczajnie nie ubieś bękarta?

– Poruszył się.

– Czyli chciałeś go zabić?

– Cóż, nie przemyślałem tego do końca, ale kiedy posłałem mu sztylet w gałkę oczną, pomyślałem, że skutek może okazać się śmiertelny. I muszę powiedzieć, że choć nie zostałem, by nacieszyć się tą chwilą, czułem wielką satysfakcję. Lir mówi, że u starców zabijanie zajmuje miejsce chędożenia. Zabiłeś wielu ludzi, Kencie. Uważasz, że ma rację?

– Nie, to obrzydliwa myśl.

– A jednak to Lirowi pozostajesz wierny.

– Zaczynam się zastanawiać – odezwał się Kent, siadając na odwróconej drewnianej balii. – Komu służę? Po co tu jestem?

– Jesteś tutaj, bo mimo coraz większej etycznej niejednoznaczności twojej sytuacji, jesteś nieugięty w swej prawości. To ku tobie, mój wygnany przyjacielu, wszyscy się obracamy, jesteś światłem wśród mrocznych spraw rodzinnych i politycznych. Jesteś moralnym kręgosłupem, na którym reszta nas zawiesza swoje skrwawione strzepy. Bez ciebie stajemy się zaledwie wijącą się masą żądź pośród własnej zółci.

– Naprawdę? – spytał stary rycerz.

– Tak – potwierdziłem.

– Nie jestem zatem pewien, czy chcę dotrzymywać wam towarzystwa.

– A któż inny cię przyjmie? Muszę spotkać się z Reganą, nim przeklute ucho bękarta udaremni nasze wysiłki. Zaniesiesz jej wiadomość, Kencie... ee, Kajusie?

– Włożysz spodnie, a przynajmniej mieszek?

– O, chyba tak. To zawsze była część planu.

– A zatem zaniosę twą wiadomość księżnej.

– Powiedz jej... nie, spytaj... czy nadal ma świecę, którą obiecała Kieszonce. A potem spytaj, czy możemy się spotkać gdzieś na osobności.

– Ruszam przeto. Ale postaraj się, by cię nie zamordowano, gdy mnie nie będzie, błaznie.

– Kotku! – powiedziałem.

– Nędzny robaku – odparła Regana, cała we wspaniałych pąsach. – Czego chcesz?

Kent zawiódł mnie do komnaty mieszczącej się głęboko w trzewiach budowli. Nie mogłem uwierzyć, że Gloucester ulokował królewskich gości w opuszczonym lochu. Regana musiała jakoś sama tu trafić. Miała upodobanie do takich miejsc.

– Dostałaś zatem list od Goneryli? – spytałem.

– Tak. A co ci do tego, błaznie?

– Pani mi się zwierzyła – rzekłem, unosząc brwi i prezentując uroczy uśmiech.

– I co sądzisz?

– Dlaczego miałyby odebrać ojcu rycerzy, a tym bardziej przyjąć ich na służbę? Mamy w Kornwalii niewielką armię.

– Cóż, nie jesteś w Kornwalii, prawda, kochana?

– Co ty wygadujesz, błaznie?

– Mówię, że twoja siostra nakłoniła cię do przyjazdu do Gloucester, byś przechwyciła Lira i jego świtę, a tym samym powstrzymała go przed wyjazdem do Kornwalii.

– Mój pan i ja przybyliśmy w wielkim pośpiechu.

– I z bardzo niewielkimi siłami, mam rację?

– Tak, wiadomość mówiła, że to pilne. Musieliśmy poruszać się szybko.

– A zatem gdy przybędą Goneryla z księciem Albanii, będziecie daleko od swego zamku i niemal bezbronni.

– Nie ośmieliłaby się.

– Pozwól, że spytam, pani, komu twoim zdaniem posłuszny jest hrabia Gloucester?

– To nasz sojusznik. Otworzył przed nami swój zamek.

– Gloucester,omal nie obalony przez swego pierworodnego syna... sądzisz, że stoi po twojej stronie?

– Po stronie ojca zatem, co na jedno wychodzi.

– Chyba że Lir sprzymierzył się z Gonerylą przeciwko tobie.

– Ale ona zabrała mu rycerzy. Po przyjeździe przez godzinę ciskał z tego powodu gromy, wymyślał Goneryli wszystkimi wyzwiskami świata i chwalił mnie za mój urok i lojalność, nie zważając nawet, że zakułam jego posłańca w dyby.

Nic nie powiedziałem. Zdjąłem błazeńską czapkę, podrapałem się po głowie i usiadłem na jakimś zakurzonej narzędziu tortur, by popatrzeć na damę w świetle pochodni. Była śliczna. Przypomniałem sobie, co mówiła matka przełożona: mądry człowiek poszukuje tylko takiej precyzji, na jaką pozwala natura. Pomyślałem, że może zaiste patrzę na precyzyjną, doskonałą maszynę. Szeroko otworzyła oczy, gdy spadło na nią zrozumienie.

– A to suka!

– Właśnie – rzekłem.

– Będą mieli wszystko, ona i ojciec?

– Właśnie tak – przytaknąłem. Widziałem, że jej gniew nie wynika ze zdrady, lecz z faktu, że nie ona pierwsza na to wpadła. – Potrzebujesz sojusznika, pani, i to o większych wpływach niż skromny błazen. Powiedz, co sądzisz o bękarcie Edmundzie?

– Dość przystojny, jak sądzę. – Przygryzła paznokiec i skupiła się. – Mogłabym się z nim gzić, gdyby nie to, że mój pan by go zamordował... choć, jeśli się nad tym zastanowić, może właśnie dlatego.

– Znakomicie! – rzekłem.

Oj, Regana, podopieczna Priapa³⁷, najbardziej oślizła spośród sióstr. Z usposobienia cudnie wilgotna, w dyspucie rozkosznie sucha. Moja jadowita jędrza, moja zmysłowa zaklinaczka węży – istne uosobienie doskonałości.

Czy ją kochałem? Oczywiście. Bo choć oskarżano mnie, że rogaty jebaka, me rogi są delikatne, jak u ślimaka – i nigdy ich nie wysunąłem, jeśli nie dźgnęła mnie strzała Kupida. Kochałem je wszystkie, całym sercem, i zapamiętałem imiona wielu z nich.

Regana. Doskonała. Regana.

O tak, kochałem ją.

Bez wątpienia była piękna – w całym królestwie nic jej nie dorównywało. Twarz, która mogłaby inspirować poezję, i ciało, które budziło żądzę, tęsknotę, instynkty złodziejskie, może nawet wojnę. (Nie jestem pozbawiony wiary). Mężczyźni mordowali się nawzajem, rywalizując o jej względy – dla jej męża, księcia Kornwalii, było to niemal hobby. Należy jej jednak oddać, że choć potrafiła się uśmiechać, gdy jakiś mężczyzna wykrwawiał się na śmierć z jej imieniem na ustach, to nie była skąpa w rozdzielaniu swych wdzięków. To tylko wzmagalo panujące wokół niej napięcie, świadomość, że w najbliższej przyszłości kogoś czeka szaleńcze chędożenie, a o ileż bardziej robiło się pasjonująco, jeśli jego życie miało przy tym zawisnąć na włosku. Właściwie perspektywa gwałtownej śmierci mogła być dla księżniczki Regany niby nektar dla samej Afrodyty, jeśli się nad tym zastanowić.

Inaczej dlaczego żadałaby mojej śmierci przed laty, gdym tak sumiennie jej służył, po tym, jak Goneryła opuściła Tower, by poślubić księcia Albanii? Wygląda na to, że zaczęło się od odrobiny zazdrości.

– Kieszonko – odezwała się Regana. Miała wtedy osiemnaście czy dziewiętnaście lat, ale w przeciwieństwie do Goneryli od lat ćwiczyła swoją kobiecą moc z różnymi mężczyznami w zamku. – Uważam za zniewagę to, że mej siostrze udzielałaś osobistych rad, lecz gdy ja wzywam cię do swoich komnat, dostaję tylko akrobacje i śpiewy.

– Zaiste, lecz piosenka i sztuczka to, zdałoby się, wszystko, czego trzeba, by podnieść damę na duchu, jeśli można powiedzieć.

– Nie można. Czy nie jestem ładna?

³⁷ Priap – grecki bóg o tak wielkiej chuci, że rzucono nań klątwę nieustannej erekcji, tak wielkiej, że nie mógł się ruszyć. Od niego wywodzi się medyczny termin *priapizm*.

– Nad wyraz, pani. Czy mam ułożyć rym o twej urodzie? Raz urocza dziwka z Nantucket...

– Nie tak ładna, jak Goneryla?

– Przy tobie ona jest niewidzialna, staje się migoczącą, zazdrosną próżnią.

– Ale czy ty, Kieszonko, masz mnie za atrakcyjną, w sensie cielesnym, tak jak moją siostrę? Chcesz mnie?

– Ach, oczywiście, pani, od przebudzenia rankiem mam tylko jedną myśl, jedną wizję: twej delikatności, która pod tym skromnym, niegodnym błaznem wiję się i wydaje małpie dźwięki.

– Doprawdy, to wszystko, o czym myślisz?

– Czasem jeszcze o śniadaniu, ale mija ledwie chwila i już wracam do Regany, wicia się i małpich dźwięków. Nie chciałabyś mieć małpy? Powinniśmy mieć w zamku małpę, nie sądzisz?

– Zatem to jest wszystko, o czym myślisz? – I z tymi słowami zrzuciła suknię, jak zwykle czerwoną i stała przede mną, kruczowłosa i jasnooka, zgrabna i śnieżna, jakby wykuta przez bogów z jednolitego bloku pożądania. Wyszła z kałuży krwistego aksamitu, po czym powiedziała: – Rzuć tę lalkę na patyku, błaznie, i chodź tutaj.

A ja, jak zwykle posłuszny, zrobiłem, co kazała.

I potem, och, zaczęło się wiele miesięcy potajemnych małpich dźwięków: wycia, stękania, pisków, skomlenia, mlaśnień, klapsów, śmiechów i wcale nierzadko szczekania. (Nie było jednak rzucania kupą, co małpy mają w zwyczaju. Tylko przyzwoite, prostolinijne małpie dźwięki, jakie powstają przy porządnym chędożeniu). Wkładałem w to także serce, ale cały romantyzm został niebawem zmiażdżony jej okrutną, acz delikatną stópką. Chyba nigdy się nie nauczę. Zdaje się, że błazna traktuje się zwykle jako lek nie tyle na melancholię, ile na nudę, powszechną wśród uprzywilejowanych.

– Ostatnio spędzasz wiele czasu z Kordelią – powiedziała Regana, kąpiąc się we wspaniałym blasku, jaki powstaje po chędożeniu (Wasz narrator zaś leżał w kałuży potu na podłodze przy łóżku, zrzucony z niego natychmiast po oddaniu szlachetnej przysługi). – Jestem zazdrosna.

– To tylko mała dziewczynka – zauważyłem.

– Ale gdy ona cię ma, ja mieć cię nie mogę. Jest moją młodszą siostrą. To nie do przyjęcia.

– Ale, pani, mam obowiązek dbać o uśmiech małej księżniczki, tak nakazał twój ojciec. Poza tym, gdy jestem zajęty gdzie indziej, możesz brać tego krzepkiego chłopca ze stajni, który tak ci się podoba, albo tego młodego strażnika ze szpiczastą bródką, albo tego hiszpańskiego księcia, czy kim on tam jest, co to od miesiąca pęta się po zamku. Czy zna choć słowo po angielsku? Myślę, że może być trochę zagubiony.

– To nie to samo.

Na te słowa zrobiło mi się cieplej na sercu. Czyżby to był prawdziwy afekt?

– Cóż, to, co jest między nami...

– Parzą się jak kozły, nie ma w tym sztuki, a mnie męczy wykrzykiwanie poleceń, zwłaszcza do tego Hiszpana... Zdaje się, że nie zna ani słowa po angielsku.

– Przykro mi, milady – rzekłem. – Teraz jednak muszę się już oddalić. Wstałem i wziąłem swoją kamizelkę spod szafy, rajtuzy z kominka, mieszek z żyrandola. – Obiecałem opowiedzieć Kordelii o gryfach i elfach przy podwieczorku z jej lalkami.

– Nie zrobisz tego – odparła Regana.

– Muszę – stwierdziłem.

– Chcę, byś został.

– Ach, smutek rozstania jest taki słodki – rzekłem i pocałowałem dołeczek na jej krzyżu.

– Straże! – zawołała Regana.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Straże! – Drzwi do jej saloniku otworzyły się i do środka wpadł zaalarmowany wartownik. – Pojmać tego łajdaka. Zgwałcił waszą księżniczkę. – W tak krótkim czasie zdołała zmusić się do łez. Była istnym cudem.

– Do ciężkiej kurwy – powiedziałem, gdy dwaj korpulentni strażnicy wzięli mnie za ręce i pociągnęli na dół, do wielkiej sali, w ślad za Reganą, która szła przed nami, zawodząc, w rozchylonej, powiewającej sukni.

Motyw wydawał się znajomy, nie czułem jednak pewności siebie, która przychodzi z wprawą. Może kwestia polegała na tym, że Lir zasiadał na tronie przed ludem, gdy weszliśmy do pomieszczenia. Kolejka wieśniaków, kupców i drobnych szlachciców czekała, a władca słuchał ich opowieści i wydawał sądy. Był wówczas wciąż w fazie chrześcijańskiej, czytał o mądrości Salomona i eksperymentował z rządami prawa, uważając je za osobliwe.

– Ojcze, nalegam, byś natychmiast powiesił tego błazna!

Lir był zupełnie zaskoczony, nie tylko żądaniem córki, ale także faktem, że ukazywała swoją nagość wszystkim przybyłym i nie raczyła zadać sobie trudu, by zamknąć swą czerwoną suknię. (O tym dniu krążyły legendy – iluż to prostaczków, ujrzawszy śnieżnoskórą księżniczkę w całej jej wspaniałości, uznało swoje skargi za żalotne, a życie za bezwartościowe, i natychmiast wróciło do domu, by zbić żonę albo utopić się w stawie młyńskim).

– Ojczy, twój błazen mnie zgwałcił.

– To jeden wielki dzban nietoperzowych bredni, panie – wtrąciłem. – Za pozwoleniem.

– Przemawiasz pochopnie, córko, i wydajesz się wściekła jak zapieniony pies. Uspokój się i przedstaw swoją skargę. Czym uchybił ci mój błazen?

– Wychędożył mnie mocno, wbrew mej woli, i za szybko skończył.

– Siłą? Kieszonka? Nie waży ośmiu kamieni, choćby i po uczcie. Nawet kotki nie wzięłyby siłą.

– Nieprawda, panie – rzekłem. – Gdyby uwagę kotki odwrócił pstrąg, to... ech, nieważne...

– Zgwałcił mą cnotę i zbrukał dziewictwo – powiedziała Regana. – Żądam, byś go powiesił, i to dwa razy, drugi raz, zanim skończy się dusić po pierwszym, to będzie sprawiedliwy wyrok.

Spytałem:

– Co napełniło twą krew żądzą zemsty, księżniczko? Wybierałem się jeno na podwieczorek z Kordelią. – Ponieważ mała nie była obecna, liczyłem, że jej imię przeciągnie króla na moją stronę, ale najwyraźniej tylko jeszcze bardziej rozsierdziło Reganę.

– Przymusił mnie i wykorzystał jak zwykłą zdzirę – powiedziała, gestykulując bardziej, niż obecni w sali mogli znieść. Niektórzy zaczęli okładać się pięściami po głowach, inni chwycili się za krocza i padli na kolana.

– Nie! – zawołałem. – Wiele dziewczek wzięłem ukradkiem, kilka podstępem, niejedną wdziękiem, parę nierządnic przekonały monety, a gdy wszystko inne zawiodło, zaczynałem błagać, ale na krew Pana, nigdy nie używałem siły!

– Dosyć! – powiedział Lir. – Nie chcę tego więcej słuchać. Regano, okryj się suknią. Zgodnie z moim zarządzeniem, jesteście królestwem prawa. Odbędzie się proces i jeśli nicpoń zostanie uznany winnym, osobiście dopilnuję, by dwa razy go powieszono. Zaczniemy proces.

– Teraz? – spytał skryba.

– Tak, teraz – potwierdził Lir. – A czego nam potrzeba? Paru chłopów do oskarżenia i obrony, weź kilku wieśniaków na świadków i po uczciwym procesie, *habeas corpus*, przy ładnej pogodzie i tak dalej, błazen zawiśnie z czarnym językiem jeszcze przed podwieczorkiem. Czy to ci odpowiada, córko?

Regana zamknęła poły sukni i odwróciła się z fałszywą skromnością.

– Chyba tak.

– A tobie, błaznie? – Lir puścił do mnie oko, niezbyt subtelnie.

– Tak, Wasza Wysokość. Może przydadzą się jeszcze przysięgli, wybrani z tej samej grupy, co świadkowie. – Warto było spróbować. Sądząc po ich reakcji, zostałbym uniewinniony na zasadzie „czy można mu się dziwić”. Nazwaliby to „uzasadnionym użyciem wacka”. Ale nie.

– Nie – rzekł król. – Woźny, odczytaj zarzuty.

Woźny nie miał oczywiście żadnych spisanych zarzutów, rozwinął więc zwój, na którym miał zanotowane rzeczy zupełnie bez związku z moją sprawą, i zmyślał:

– Korona oświadcza, że dzisiaj, czternastego dnia października roku pańskiego tysiąc dwieście osiemdziesiątego ósmego, błazen zwany Kieszonką, działając z premedytacją i w złej woli, wychędożył dziewiczą księżniczkę Reganę.

Wśród publiczności rozległy się wiwaty i lekkie drwiny z sądu.

– Nie było złej woli – stwierdziłem.

– Bez złej woli zatem – powiedział tamten.

W tym momencie sędzia pokoju, który zazwyczaj pełnił funkcję stolnika, szepnął do woźnego, na co dzień szambelana:

– Sąd chce wiedzieć, jak to było...

– Słodko, lecz wstrętne, wysoki sędzie.

– Zapisać: oskarżony przyznał, że było słodko i wstrętne, tym samym przyznając się do winy.

Kolejne wiwaty.

– Zaraz, nie byłem gotowy.

– Powąchajcie go – odezwała się Regana. – Cuchnie cielesnością, niby rybą, grzybami i potem, prawda?

Jeden z powołanych na świadków wieśniaków podbiegł i bezlitośnie mnie obwąchał, po czym spojrzał na króla i pokiwał głową.

– Tak, wasza miłość – powiedziałem. – Nie wątpię, że otacza mnie smród. Muszę wyznać, że byłem dziś w kuchni *sans trou*, czekając na swoje pranie, a Bańka zostawiła na podłodze duszone mięso, żeby ostygło. Potknąłem się i wpadłem po samego kutasa w sos i breję, ale szedłem wtedy właśnie do kaplicy.

– Wsadziłeś fiuta w mój obiad? – spytał Lir, po czym zwrócił się do woźnego: – Błazen wsadził fiuta w mój obiad?

– Nie, w twoją kochaną córkę – odezwała się Regana.

– Milcz, dziewczyno! – warknął władca. – Kapitanie Kuranie, poślij strażnika, by pilnował chleba i sera, zanim błazen zajmie się nimi po swojemu. I tak się to dalej toczyło.

Sprawy przybierały dla mnie dość ponury obrót, piętrzyły się dowody, chłopci korzystali z okazji, by opisać najbardziej sprośne sytuacje, w jakich potrafili sobie wyobrazić nikczemnego błazna z niewinną księżniczką.

Z początku uznałem zeznanie krzepkiego stajennego za szczególnie obciążające, ostatecznie jednak doprowadziło ono do uniewinnienia.

– Przeczytaj to jeszcze raz, by król mógł poznać prawdziwą, ohydłą naturę tej zbrodni – powiedział oskarżyciel, który, zdaje się, normalnie zajmował się zarzynaniem bydła na potrzeby zamku.

Skryba odczytał słowa stajennego:

– „Tak, tak, tak, jedź, szalony ogierze z trzema fiutami”.

– Nie to powiedziała – stwierdziłem.

– Właśnie, że to. Zawsze to mówi – odparł skryba.

– Tak – przytaknął stolnik.

– Tak, tak – dorzucił ksiądz.

– *Si* – odezwał się Hiszpan.

– Cóż, do mnie nie mówi tak nigdy – rzekłem.

– O – powiedział stajenny. – Więc może „brykaj, koniku z fiutem jak gałąź”?

– Możliwe – odparłem.

– Do mnie tak nie mówi – stwierdził strażnik ze szpiczastą bródką.

Potem na chwilę zapadła cisza i wszyscy, którzy się odezwali, patrzyli po sobie, później zaś zaczęli zaciekle unikać nawzajem swojego wzroku, odkrywając, że plamy na posadzce wyglądają nadzwyczaj ciekawie.

– Cóż – przemówiła Regana, przygryzając paznokiec. – Istnieje możliwość, że, ee, coś mi się przyśniło.

- Czyli błazen nie odebrał ci cnoty? – spytał Lir.
- Przepraszam – odrzekła księżniczka z zażenowaniem. – To był tylko sen. Nie będę już pijała wina do obiadu.
- Wypuścić błazna! – zarządził król.
- Tłum zawył z niezadowoleniem.
- Wyszedłem z sali u boku Regany.
- Mógł mnie powiesić – szepnąłem.
- Uroniłabym łzę – odparła z uśmiechem. – Naprawdę.
- Biada ci, pani, jeśli przy naszym następnym spotkaniu nie będziesz pilnie strzegła różowej gwiazdki swojej dupy. Niespodzianka błazna nadejdzie bez masła, a przyjemność Kieszonki będzie karą dla księżniczki.
- Oooo, drażnij się ze mną, błaznie, to włożę tam świecę, byś odnalazł drogę.
- Harpia!
- Łajdak!
- Kieszonko, gdzie się podziewałeś? – spytała Kordelia, nadchodząca korytarzem. – Herbata ci wystygła.
- Bronilem honoru twojej starszej siostry, moja słodka – rzekłem.
- Oj, nie bredź – powiedziała Regana.
- Kieszonka ubiera się jak błazen, ale to nasz bohater, prawda, Regano? – zwróciła się do niej Kordelia.
- Chyba zwymiotuję – stwierdziła starsza księżniczka.

– No, kochana – odezwałem się, wstając ze swojego miejsca na narzędziu tortur i sięgając pod kaftan. – Cieszę się, że tak właśnie myślisz o Lordzie Edmundzie, przysłała mi bowiem z tym listem.

Podąłem jej pismo. Pieczęć wyglądała podejrzanie, ale Regana nie przyglądała się szczegółom.

– Zadurzył się w tobie, Regano. Tak bardzo, że próbował odciąć sobie ucho, by przesłać je wraz z tym listem i pokazać ci głębię swoich uczuć.

– Doprawdy? Ucho?

– Nic nie mów na dzisiejszej uczcie z okazji Julu, pani, ale ujrysz bandaż.

Uznaj to za wyraz jego miłości.

– Widziałeś, jak obcina sobie ucho?

– Tak, i powstrzymałem go, nim tego dokonał.

– Myślisz, że to bolało?

– O tak, pani. Przecierpiał już więcej niż inni, którzy znają cię dłużej.

– Jakie to słodkie. Wiesz, co pisze w liście?

– Przysięgłem, że do niego nie zajrzę, pod groźbą śmierci, ale zbliż się...

Nachyliła się ku mnie, a ja ścisnąłem pod nosem wiedźmową purchawkę.

– Zdaje się, że jest w nim mowa o spotkaniu z Edmundem z Gloucester o północy.

OKIEM KOCHANKA

Ciepły wiatr wiał od zachodu, co spieprzyło cały Jul. Druidzi lubią śnieg wokół Stonehenge podczas święta, a palenie lasu jest znacznie przyjemniejsze w mroźnym powietrzu. Tymczasem wydawało się, że ucicie będzie towarzyszył deszcz. Chmury zbierające się nad horyzontem wyglądały tak, jakby zrodziły się przed letnią burzą.

– Wyglądają jak chmury przed letnią burzą – zauważył Kent.

Skryliśmy się w barbakanie nad bramą, wyglądając na otoczoną murem wioskę Gloucester i wzgórze za nią. Chowałem się od swojego spotkania z Edmundem. Bękart wyraźnie czuł się dotknięty.

Dostrzegliśmy Gonerylę, przekraczającą z orszakiem zewnętrzną bramę. Jechało z nią tuzin żołnierzy i strażników, ale od razu dał się zauważyć brak księcia Albanii.

Wartownik obwieścił z muru przyjazd księżnej Albanii. Na dziedzińcu pojawili się Gloucester i Edmund, a w ślad za nimi wyszła Regana z księciem Kornwalii. Regana starała się odwracać wzrok od zabandażowanego ucha Edmunda.

– Powinno być ciekawie – rzekłem. – Zbierają się jak sępy nad trupem.

– Trupem jest Brytania – powiedział Kent. – A my pozwoliliśmy, by ją rozszarpano.

– Bzdura. Trupem jest Lir. Ale ambitne ścierwojady nie czekają z posiłkiem na jego śmierć.

– Masz w sobie głęboką podłość, Kieszonko.

– Prawda ma w sobie podłość.

– Jest i król – zauważył. – Nikt mu nie towarzyszy. Powinienem do niego iść.

Lir wyszedł na dziedziniec w swoim ciężkim futrzanym płaszczu.

– Jakbyśmy patrzyli z góry na sprośne szachy, prawda? Król porusza się drobnymi kroczkami, bez określonego kierunku, niby pijak, który chce się uchylić przed strzałą z łuku. Inni opracowują strategię i czekają, aż starzec upadnie. Nie ma żadnej mocy, a jednak wszystkie moce krążą wokół niego, podatne na jego szaleńcze kaprysy. Wiedziałeś, że na szachownicy nie ma figury błazna, Kencie?

– Myślę, że błazen jest graczem, umysłem ponad bierkami.

– Bzdura jak plama z kocich szczyń. – Odwróciłem się do starego rycerza. – Ale bardzo ładnie powiedziane. Idź tedy do Lira. Edmund nie waży ci się naprzykrzać, a księżę Kornwalii musi udać jakąś skruchę za zakucie cię w dyby. Księżniczka będzie piękniała pod okiem Edmunda, a Gloucester... cóż, Gloucester dba o gościnę dla szakali i jest zajęty.

– Co uczynisz?

– Zdaje się, że stałem się niepożądany, choć brzmi to niewiarygodnie. Muszę znaleźć nam szpiega, kogoś bardziej skrytego, chytrego i perfidnego, niż słodka natura pozwala na to mnie.

– Powodzenia – powiedział Kent.

– Nienawidzę cię, gardzę tobą, przeklinam twoje istnienie i ohydne demony, które cię spłodziły. Budzisz we mnie odrazę swym gniewem, złością i złością.

– Oswaldzie – rzekłem. – Dobrze wyglądasz. – Śliniak i ja spotkaliśmy go na korytarzu.

Istnieje niepisana zasada, że podczas negocjacji z wrogiem nie należy ujawniać swojej znajomości planów tegoż wroga, choćby groziło to śmiercią. To w pewnym sensie kwestia honoru, ale ja widzę tu małosłowne komedianstwo i nie zamierzałem dogadzać w tym Oswaldowi. Potrzebowałem jednak jego pajęczych talentów, nie mogło się więc obyć bez odrobiny finezji.

– Oddałbym rękę, by zobaczyć, jak wisisz – powiedział Oswald.

– O, doskonały początek – stwierdziłem. – Nie sądzisz, Śliniaku?

– Tak, Kieszonko – odparł Śliniak, który górował między mną a Oswaldem, bezskutecznie chowając za plecami grubą nogę od stołu. Oswald mógł sięgnąć po miecz, ale olbrzym rozbiłby jego mózg na krwawą marmoladę jeszcze zanim klinga

wysunęłaby się z pochwy. Groźba niewypowiedziana, ale zrozumiała. – Cudny początek – dodał Śliniak.

– A zatem, Oswaldzie, od tego zacznijmy. Powiedzmy, że dostajesz, czego chcesz. Powiedzmy, że tracisz rękę, a mnie wieszają. W czym poprawiłoby to życie twej wspaniałej osoby? Zyskałbyś może wygodniejszą kwaterę? Wino lepiej by smakowało?

– Mało prawdopodobne, ale rozważmy różne możliwości, co?

– Dobrze – odrzekłem. – Ty pierwszy. Odetnij sobie rękę, a Śliniak mnie powiesi. Masz moje słowo.

– Masz moje słowo – powtórzył Śliniak moim głosem.

– Przestań marnować mój czas, błażnie. Przybyła moja pani i muszę do niej iść.

– W tym cały sęk. Czego chcesz. Czego naprawdę chcesz.

– Nigdy się nie dowiesz.

– Aprobaty swojej pani?

– Mam ją.

– A, zgadza się, jej miłości.

Oswald znieruchomiał, jakbym usunął całe powietrze z korytarza, w którym staliśmy. Chcąc udowodnić, że tak się nie stało, naciskałem dalej.

– Pragniesz miłości swej pani, jej szacunku, władzy, uległości, jej tyłka uniesionego przed tobą, jej błagań o zadowolenie i litość... Mam mniej więcej rację?

– Nie jestem taki prosty, jak ty, błażnie.

– A jednak nienawidzisz mnie właśnie za to, że mnie się to udało.

– Wcale nie. Nie kochała cię, nie szanowała ani nie oddała ci władzy. W najlepszym razie stanowiłaś rozrywkę.

– Ale wiem, jak się tam dostać, mój przyjacielu o czarnym sercu. Znam sposób, by sługa dostał tej łaski.

– Nigdy by tego nie zrobiła. Jestem nisko urodzony.

– O, nie mówię, że mogę uczynić cię księciem, jeno że zostaniesz panem jej ciała, serca i umysłu. Znasz jej słabość do łajdaków, Oswaldzie. Czyż sam nie nastręczyłeś swojej pani Edmunda?

– Nie, przekazałem tylko wiadomość. A Edmund to dziedzic hrabstwa.

– Tylko w tym cholernym tygodniu. I nie udawaj, że nie wiesz, co było w tym liście. Mam moc, otrzymaną od trzech wiedźm w wielkim lesie Birnam. Mogę rzucić na twą panią urok, by cię uwielbiała i pożądała.

Oswald roześmiał się, co nie zdarzało mu się zbyt często. Jego twarz do tego nie pasowała i wyglądał, jakby coś mu utkwilo w jednym z tylnych zębów.

– Masz mnie za głupca? Z drogi.

– A musiałbyś robić tylko to, co twoja pani i tak każe ci robić. Służyć jej pragnieniom – rzekłem. Musiałem szybko przedstawić swoją sprawę. – Już jest zaklęta, wiesz? Byłeś przy tym.

Oswald usiłował cofnąć się od Śliniaka, szukając innej drogi na dziedziniec i do Goneryli, gdy nagle przystanął.

– Byłeś przy tym, Oswaldzie. W Albanii. Goneryla łąpała mnie za wędkę, gdy wszedłeś. Ledwo przekroczyłeś próg, słyszałem. Miałem w ręce tę sakiewkę. – Pokazałem jedwabny woreczek, który dały mi wiedźmy. – Pamiętasz?

– Byłem tam.

– Dałem twojej pani list i powiedziałem, że to od Edmunda z Gloucester. Pamiętasz?

– Tak. A ona wyrzuciła cię na zbitą dupę.

– Masz rację. I przysłała cię tutaj z wiadomością do Edmunda. Czy kiedykolwiek wcześniej pisała do bękarta? Jesteś przy niej niemal w każdej chwili. Pisała do niego wcześniej?

– Nie. Ani razu. Wysłała parę listów do Edgara, ale nie do bękarta.

– Otóż to. Została zaklęta, by pokochała Edmunda, i to samo mogę uczynić dla ciebie. W każdym innym razie umrzesz jako niezaspokojony pochlebca. Został mi jeszcze jeden urok.

Oswald zrobił kilka ostrożnych kroków w moją stronę, jakby chodził po linie, a nie kamiennej posadzce zamkowego korytarza.

– Dlaczego nie użyjesz go dla siebie?

– Cóż, po pierwsze, ty byś się dowiedział, i, jak sędzę, nie zwlekałbyś z powiadomieniem księcia Albanii, który równie szybko kazałby mnie powiesić. Po drugie, miałem trzy takie uroki i jeden wykorzystałem już na własny użytek.

– Chyba nie mówisz o księżnej Kornwalii? – Widziałem, że przeraża go sama idea, a jednak w jego oczach pojawił się błysk podniecenia.

Posłałem mu przebiegły uśmiech i Jonesem trąciłem dzwonki swojej czapki.

– Mam z nią schadzkę jeszcze tej nocy, po uczcie. O północy, w opuszczonej wieży północnej.

– Ty mały, podły potworze!

– Oj, odczep się, Oswaldzie. Chcesz mieć swoją księżniczkę czy nie?

– Co muszę zrobić?

– Prawie nic – odrzekłem. – Ale wymaga to od ciebie trochę siły charakteru. Po pierwsze, musisz poradzić swej pani, by utrzymała pokój z siostrą, i przekonać ją do odebrania Lirowi reszty jego sił. Potem musisz doprowadzić do spotkania swojej pani z Edmundem, gdy wybije druga.

– Druga nad ranem?

– Zobaczysz, jak się rzuci na tę okazję. Pamiętaj, że jest zaklęta. To bardzo ważne, by sprzymierzyła się z domem Gloucester, nawet jeśli w tajemnicy. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz to znieść. Jeśli chcesz mieć damę i jej władzę, ktoś musi zlikwidować księcia Albanii... ktoś, kto będzie małą stratą, gdy go powieszą. Bękart Edmund idealnie nadaje się do tej roli, prawda?

Oswald skinął głową, a jego oczy stawały się szersze z każdym moim słowem. Przez całe życie nosił listy i wypełniał różne zadania dla Goneryli, ale wreszcie dostrzegł perspektywę nagrody za to, że był pionkiem w rozmaitych intrygach. Na szczęście ta możliwość zagłuszyła w nim głos rozsądku.

– Kiedy pani będzie moja?

– Jak wszystko się poukłada, przydupasie, jak wszystko się poukłada. Co wiesz o siłach przybywających z Francji?

– No... nic.

– Zatem zacznij się skradać i podsłuchiwać. Edmund wie o tych oddziałach albo sprowokował taką plotkę. Dowiedz się, ile zdołasz. Dowiedz się, ale nie mów Edmundowi o jego schadzce ze swoją panią, bo on sądzi, że to sekret.

Oswald wyprostował się na swoją pełną wysokość (wcześniej pochylał się, by rozmawiać ze mną twarzą w twarz).

– Co ty na tym zyskasz, błaznie?

Liczyłem, że o to nie zapyta.

– Nawet pomimo miłości, są tacy, którzy staną na drodze mojego szczęścia. Potrzebuję ciebie i tych, na których wpłyną twoje czyny, do ich usunięcia.

– Zabiłbyś księcia Kornwalii?

– To jeden, ale nieważne, kto mnie kocha, jestem związany z Lirem. Jestem jego niewolnikiem.

– Czyli króla też byś zabił? Nie martw się, głupcze. Mogę to uczynić. Mamy umowę.

– Do ciężkiej kurwy! – rzekłem.

– Piękne przedstawienie, Kieszonko – stwierdził Kent. – Idziesz szukać posłańca, a na koniec nasyłasz na króla cholernego zabójcę. Urodzony z siebie dyplomata.

– U starca sarkazm wypada bardzo nieatrakcyjnie. Nie mogłem tego odwołać, bo moja szczerłość zaczęłaby budzić wątpliwości.

– Nie byłeś szczery.

– W takim razie byłbym nieprzekonujący. Po prostu trzymaj się Lira podczas uczy i nie pozwól mu jeść niczego, jeśli sam tego wcześniej nie spróbujesz. Znając Oswalda, spróbuj zabić króla najbardziej tchórzliwymi sposobami.

– Albo wcale nie spróbuj.

– Co?

– Czemu sądzisz, że Oswald mówił ci prawdę w większym stopniu, niż ty jemu?

– Liczę, że jego kłamliwość ma swoje granice.

– Ale jakie granice?

Zacząłem chodzić w kółko po niewielkim pomieszczeniu.

– Co za przekłeta gmatwanina, jak w wozie pełnym zakonnicy. Wolałbym już z zawiązanymi oczami żonglować ogniem. Nie nadaję się do tych ciemnych sprawek, lepiej pasuję do śmiechu, dziecięcych urodzin, małych zwierzątek i przyjaznego chędożenia. Przekłete wiedźmy wszystko pomyliły.

– A jednak wywołałeś wojnę domową i posłałeś zabójcę na króla – stwierdził Kent. – Wielkie ambicje, jak na trefnisię występującego na dziecięcych urodzinach, nie uważasz?

– Stałeś się gorzki w swoim dzieciństwie, wiesz?

– Cóż, być może obowiązki Degustatora położą kres memu zgorzknieniu.

– Po prostu utrzymaj staruszkę przy życiu. Ciągłe trwa Jul i ucztę, tedy nie sądzę, by droga Regana powiedziała Lirowi, że zabiera jego rycerzy.

– Próbowwała zaprowadzić pokój między Gonerylą a swoim ojcem. Uspokoila go tylko na tyle, że zgodził się przyjść na ucztę.

– Dobrze. Bez wątplenia jutro wykona swój ruch. – Uśmiechnąłem się. – O ile samopoczucie jej pozwoli.

– To niegodziwość – powiedział Kent.

– Sprawiedliwość – odparłem.

Regana samotnie weszła po spiralnych schodach. Pojedyncza świeca, którą niosła w szklanej osłonie, rzucała na kamienną ścianę wysoki cień niczym widmo ponętnej śmierci. Stałem przed drzwiami solaru z kandelabrem w jednej ręce i skobłem drzwi w drugiej.

– Wesołych świąt, kotku – rzekłem.

– Cóż, uczta była gówniana, co? Cholerny Gloucester, pogańska cipa, nazywa to ucztą świętego Szczepana zamiast Bożym Narodzeniem. Na uczcie cholernego Szczepana nie ma prezentów. Bez prezentów to ja już wolę obchodzić Jul na zimowe przesilenie. Wtedy przynajmniej jest ofiara ze świni i wielkie, trzaskające ognisko.

– Gloucester i tak miał wiele szacunku dla twoich chrześcijańskich przekonań, kochana. Dla niego i Edmunda to święto to Saturnalia³⁸, istna orgia. Może zatem jest dla ciebie prezent, którego jeszcze nie odpakowałaś.

Uśmiechnęła się.

– Może. Edmund był podczas uczyty taki nieśmiały... Ledwie zerkał w moją stronę. Pewnie bał się księcia Kornwalii. Ale miałeś rację, widziałam zabandażowane ucho.

– Tak, pani, i powiem ci, że nieco się tego wstydzi. Może nie chce, by go widziano.

– Ale widziałam go na uczcie.

– Ale napomykał, że mogło nastąpić inne samookaleczenie na twoją cześć, i odczuwa wstyd.

Nagle wydała się dzieckiem, uradowanym Bożym Narodzeniem, gdy w jej głowie zatańczyły wizje biczącego się mężczyzny.

– O, Kieszonko, wpuść mnie.

Wpuściłem. Otworzyłem drzwi i wyjąłem świecę z jej garści, gdy mnie mijała.

– Ajajaj, kochana. Nie trzeba więcej światła niż z jednej świecy. Jest taki wstydlivy.

³⁸ Saturnalia – obchody przesilenia zimowego u Rzymian, związane ze składaniem hołdu Saturnowi, „siewcy”. Saturnalia polegały w dużej mierze na pijaństwie i nieskrępowanym chędożeniu. W czasach współczesnych ich odpowiednikiem jest rytuał „biurowych przyjęć bożonarodzeniowych”.

Usłyszałem głos Edmunda zza gobelinu:

– O, moja słodka pani, Regano, jesteś piękniejsza niżli blask księżycy, jaśniejsza od słońca, wspanialsza od wszystkich gwiazd. Muszę cię mieć, bo niechybnie szeszę.

Powoli zamknąłem i zarygnowałem drzwi.

– Nie, bogini, rozbierz się tam – dobiegł nas głos Edmunda. – Pozwól mi patrzeć.

Przez cały wieczór instruowałem Śliniaka, co ma mówić i w jaki dokładnie sposób. Później miał skomentować jej powab, poprosić, by zgasła jedyną świecę na stole i dołączyła doń za gobelinem, a potem już bezceremonialnie macać ją i chędożyć jak szalony.

Brzmiało to tak, jakby łoś próbował nadziać żbika na rozgrzany do czerwoności pogrzebacz. Nie brakowało miauków, warknięć, pisków i wrzasków. W pewnej chwili dostrzegłem drugie światło wspinające się po schodach. Po cieniu widziałem, że niosący je człowiek trzyma miecz. Oswald pozostał wierny swojej zdradzieckiej naturze, dokładnie tak, jak się spodziewałem.

– Odłóż tę broń, durniu, bo jeszcze wyjmiesz komuś oko.

Książę Kornwalii wyłonił się zza zakrętu schodów z opuszczonym ostrzem. Na jego twarzy malowało się zdumienie.

– Błazen?

– A gdyby po schodach zbiegało dziecko? – powiedziałem. – Ciężko byłoby wytłumaczyć Gloucesterowi, czemu jego ukochany wnuczek ma w żołądku cały jard stali z Sheffield.

– Gloucester nie ma wnuka – odparł książę, najwyraźniej zaskoczony, że w ogóle wdaje się w tę dyskusję.

– To nie zmniejsza potrzeby zachowania podstawowych środków ostrożności przy noszeniu broni.

– Ale przyszedłem tu, by cię zabić.

– *Moi?* – spytałem w doskonałym pieprzonym francuskim. – Za cóż to?

– Bo chędożysz moją panią.

Z pomieszczenia w wieży rozległ się donośny ryk, a po nim dziki damski pisk.

– To był ból czy rozkosz, jak sądzisz? – spytałem.

– Kto tam jest? – Znowu uniósł miecz.

– Cóż, to twoja pani, i bez wątpienia jest chędożona, przez Edmunda z Gloucester, ale roztropność nakazywałaby wstrzymanie ostrza. – Położyłem Jonesa na nadgarstku księcia i pchnąłem dłoń z mieczem w dół. – Chyba, że w ogóle nie dbasz o to, by zostać królem Brytanii.

– O czym ty mówisz, błaznie? – Księżę bardzo chciał kogoś zabić, ale ambicja przyćmiewała żądzę krwi.

– Oj, jedź, wielki nosorożcu z trzema fiutami! – krzyknęła Regana w pomieszczeniu obok.

– Ciągłe tak mówi? – spytałem.

– Zwykle to „ogier z trzema fiutami” – wyjaśnił księżę.

– Umie zrobić dobry użytek z metafory. – Na pociechę położyłem mu rękę na ramieniu. – Wiem, przykra to dla ciebie niespodzianka, dam głowę. Gdy mężczyzna, wejrząwszy w swą duszę, w końcu decyduje się zerznąć żmiję, ma przynajmniej nadzieję, że nie zobaczy pary butów stojących już przed jej norą.

Strząsnął moją dłoń.

– Zabiję go!

– Księżę, wkrótce grozi ci atak. Księżę Albanii w tej chwili szykuje się do zajęcia całej Brytanii dla siebie. Będziesz potrzebował Edmunda i sił Gloucester, by z nim zwyciężyć, a gdy tego dokonasz, zostaniesz królem. Jeśli teraz wejdiesz do tej komnaty, zabijesz jebakę, lecz stracisz królestwo.

– Na krew Pana – powiedział. – Czy to prawda?

– Wygraj wojnę, dobry panie. A potem zabij bękarta, jeśli zechcesz, kiedy czas pozwoli ci zrobić to jak należy. Honor Regany jest, cóż, plastyczny, prawda?

– Jesteś pewien co do tej wojny?

– Jestem. Dlatego musisz zabrać resztę rycerzy i giermków Lira, tak jak Goneryla i księżę Albanii zabrali już ich część. I nie pozwól, by Regana dowiedziała się, że wiesz. Twa pani stara się, by Gloucester opowiedział się po twojej stronie.

– Naprawdę? To dlatego gzi się z Edmudem?

Do chwili, gdy to powiedziałem, nie przyszło mi to do głowy, ale całkiem nieźle zdało egzamin.

– O tak, milordzie, jej entuzjazm wypływa z głębokiej lojalności wobec ciebie.

– Oczywiście – powiedział księżę Kornwalii, chowając miecz. – Powiniennem był to dostrzec.

– Co nie oznacza, że nie możesz zabić Edmunda, gdy już będzie po wszystkim – rzekłem.

– Jak najbardziej – odparł książę.

Gdy poszedł, a po jakimś czasie dzwon straży oznajmił nadejście godziny pierwszej, zapukałem do drzwi i wsunąłem głowę do środka.

– Lordzie Edmundzie – powiedziałem. – W wieży księcia zapanował zamęt. Może powinniście się już pożegnać.

Przytknąłem świecę w szklanej osłonie do szpary w drzwiach, by Regana znalazła drogę, i po kilku chwilach wytoczyła się z pomieszczenia w sukni tył na przód, z włosami w strąkach i struzką śliny spływającą między piersiami. Właściwie cała wydawała się dość oślizgła.

Była oszołomiona, utykała, ciągnąc jeden z butów stopą za pasek, i wyglądało na to, że nie do końca wie, w którą stronę iść.

– Pani, mam ci przynieść drugi but?

– Do licha z nim – odrzekła, zataczając się jak pijana i omal nie spadając ze schodów.

Przytrzymałem ją, pomogłem odwrócić suknię, otarłem ją trochę jej własną koszulą, po czym wziąłem pod ramię i pomogłem zejść ze schodów.

– Z bliska jest trochę większy, niż się wydaje z drugiej strony komnaty.

– Tak?

– Przez dwa tygodnie nie usiądę.

– Ach, słodycz romansu. Dasz radę dotrzeć do swych kwater, kotku?

– Chyba tak. Tyś mądry, Kieszonko. Zaczynaj wymyślać wymówki dla Edmunda, jeśli jutro nie zdołam wstać z łóżka.

– Z przyjemnością, kotku. Śpij dobrze.

Wróciłem na górę, gdzie Śliniak stał bez rajtuzów przy świecy. Wciąż miał taką erekcję, że gdyby wychędożył ciele, straciłoby zmysły.

– Przepraszam, że wyszedłem, Kieszonko. Było ciemno.

– Nie szkodzi, chłopie. Piękny występ.

– Dobra była.

– No. Całkiem.

– Co to nosorożec?

– Coś jakby jednorożec z pancernymi jajami. Coś dobrego. Zaczynaj żuć te liście mięty i wytrzymaj cię. Poszukam ręcznika, a ty poćwicz teksty Edmunda.

Gdy rozległ się dzwon na drugą, scena była już przygotowana. Kolejna świeca rozświetliła schody, rzucając na ścianę piersiasty cień.

– Pączusiu!

– Co tu robisz, robaku?

– Pełnię tylko wartę. Wejdz, ale zostaw mi świecę. Edmund wstydzi się rany, którą zadał sobie na twoją cześć.

Goneryla uśmiechnęła się na myśl o cierpieniu bękarta, po czym weszła do środka.

Minęło kilka minut, nim po schodach wdrapał się Oswald.

– Błaźnie? Jeszcze żyjesz?

– Owszem. – Przyłożyłem dłoń do ucha. – Ale posłuchaj dzieci nocy. Cóż to za muzyka.

– Brzmi, jakby klepa próbowała wysrać rodzinę jeży – powiedział łajdak.

– O, to dobre. Myślałem raczej o mlecznej krowie, okładanej płonąca gęsią, ale możesz mieć rację. Ach, któż to może ocenić? Powinniśmy iść, drogi Oswaldzie, i uszanować prywatność kochanków.

– Nie spotkałeś się z księżniczką Reganą?

– O, przelożyliśmy schadzkę na czwartą, a co?

ZBIERA SIĘ NA BURZĘ

Nocą nadciągnęła burza. Jadłem śniadanie w kuchni, gdy na dziedzińcu wybuchła awantura. Usłyszałem ryk Lira i pobiegłem, by stanąć przy nim, zostawiając swoją owsiankę Ślimakowi. Kent przechwycił mnie w korytarzu.

– Zatem staruszek przeżył noc? – zagadnąłem.

– Spałem u jego drzwi – odparł Kent. – A ty gdzie byłeś?

– Próbowałem dopilnować bezceremonialnego chędożenia dwóch księżniczek i wzniecałem wojnę domową, dziękuję, i to jeszcze bez porządnej kolacji.

– Świetna uczta – rzekł hrabia. – Jadłem, aż omal nie pękłem, po to jeno, by nie otruto króla. A w ogóle kim jest cholerny święty Szczepan?

Wtedy zobaczyłem Oswalda, zbliżającego się korytarzem.

– Drogi Kencie, postaraj się, żeby córki nie zabiły króla, księżę Kornwalii nie zabił Edmunda, a siostry nie pozabijały się nawzajem, i jeśli tylko się da, sam nikogo nie zabij. Za wcześnie na zabijanie.

Kent oddalił się, gdy Oswald znalazł się przy mnie.

– Więc przeżyłeś noc – zauważył.

– Oczywiście, czemu miałbym nie przeżyć? – spytałem.

– Cóż, powiedziałem księciu Kornwalii o twojej schadzce z Reganą i spodziewałem się, że cię zabije.

– Oj, do kurwy, Oswaldzie, okaż odrobinę sprytu, dobrze? Poziom łotrostwa w tym zamku schodzi na psy, skoro Edmund jest miły, a ty mówisz wprost. Co jeszcze, księżę Kornwalii zacznie karmić sieroty, a z dupy będą mu wylatywać ptaszęta? Spróbujmy jeszcze raz, zobaczymy, czy umiesz zachować przynajmniej pozory zła. Śmiało.

– Więc przeżyłeś noc? – zaczął.

– Oczywiście, czemu miałbym nie przeżyć? – spytałem.

– A, bez powodu. Martwiłem się o ciebie. Walnąłem go Jonesem w ucho.

– Nie, głupku, nigdy nie uwierzę, że przejmujesz się moim losem. Prawdziwa z ciebie gnida, prawda?

Sięgnął po miecz, ale zadałem mu w nadgarstek mocny cios kijem od Jonesa. Łajdak odskoczył i roztarł obolałą rękę.

– Pomimo twojej nieudolności, nasza umowa obowiązuje. Chcę, żebyś porozumiał się z Edmundem. Daj mu ten list od Regany. – Podąłem mu list, który napisałem przy pierwszych promieniach dnia. Pismo Regany było łatwe do podrobienia. Zamiast kropek nad „i” stawiła serduszka. – Nie łam pieczęci. Wyznaję mu swoje oddanie, ale poucza, by otwarcie nie okazywał jej uczuć. Musisz go też uczulić, by nie okazywał poważania twojej pani Goneryli w obecności Regany. A ponieważ wiem, że ta intryga mąci ci w głowie, pozwól, że nakreślę ci twój interes. Edmund zlikwiduje księcia Albanii, uwalniając twoją panią dla innych uczuć. Dopiero wtedy wyjawimy księciu Kornwalii, że Edmund przyprawił mu rogi z Reganą i księżę odeśle bękarta na tamten świat. A wtedy ja rzucę na Gonerylę miłosny urok, posyłając ją prosto w twe nędzne ramiona.

– Możesz kłamać. Próbowałem doprowadzić do twojej śmierci. Dlaczego miałbyś mi pomagać?

– Doskonałe pytanie. Po pierwsze, w przeciwieństwie do ciebie nie jestem łotrem, można przeto oczekiwać po mnie krztyny prawości. A po drugie, chcę dokonać zemsty na Goneryli za to, jak traktowała mnie, swoją młodszą siostrę Kordelię i króla Lira. Nie wyobrażam sobie lepszej kary niż złączenie jej z taką kupą odchodów o ludzkich kształtach, jak ty.

– O, to ma sens – stwierdził Oswald.

– Ruszaj zatem. Dopilnuj, by Edmund nie okazywał poważania.

– Sam mógłbym go usiec za gwałt na mej pani.

– Nie, nie mógłbyś, jesteś tchórzem. A może zapomniałeś?

Zatrząsł się z gniewu, ale nie próbował sięgnąć po miecz.

– No, biegnij, kolego. Kieszonka ma jeszcze w planach mnóstwo wygłupów.

Jurna ręka wiatru obmacywała dziedziniec, podrywając suknie sióstr i chłoscząc ich twarze włosami. Kent przykucnął i trzymał swój kapelusz z szerokim rondem, by nie porwał go wicher. Stary król okrył się ciasno futrzanym płaszczem i mrużył oczy przed miotanym podmuchami pyłem, podczas gdy księżę Kornwalii i hrabia Gloucester stali dla osłony przy wielkiej bramie – księżę był najwyraźniej kontent, że to księżna zajmuje się rozmową. Z ulgą zauważyłem nieobecność Edmunda, więc tanecznym krokiem wyszedłem na dziedziniec, z dźwiękiem dzwonek i pieśnią w sercu.

– Hej, ho! – zawołałem. – Każdy porządnie pochodził na Saturnalia?

Dwie siostry popatrzyły na mnie beznamiętnie, jakbym mówił po chińsku albo po psiemu, one zaś ostatniej nocy nie gziły się raz po raz z olbrzymim durkiem o drażu jak u osła. Gloucester opuścił wzrok, zapewne zakłopotany, że porzucił własny panteon na rzecz świętego Szczepana i całego tego cholernie natchnionego święta. Księżę Kornwalii wyszczerzył się w uśmiechu.

– Ach – rzekłem. – Był to zatem róg obfitości ze świąteczną atmosferą i małym Jezuskiem z ciasta? Cicha noc, wielbłądy i trzech mędrców z kadzeniem, złotem i mirrą?

– Przekłete harpie Bożego Narodzenia chcą mi zabrać rycerzy – oznajmił Lir. – Połowę orszaku już niemal oddałem tobie, Goneryło, nie chcę stracić reszty.

– O tak, panie – powiedziałem. – Ich wadą jest chrześcijaństwo. Zapomniałem, że niebo nad tobą jest dziś pogańskie.

Regana wystąpiła wtedy naprzód. O, tak, chodziła trochę krzywo.

– Po co ci tych pięćdziesięciu ludzi, ojczy? Mamy wielu służących, którzy mogą o ciebie zadbać.

– Poza tym – dodała Goneryła – trafią pod nasze rozkazy, więc nie będzie niezgody w murach naszych domów.

– Zgadzam się z siostrą – oznajmiła Regana.

– Zawsze się z nią zgadzasz – odparł Lir. – Własna myśl rozłupałaby ci delikatną czaszkę niby grom, ty tchórzliwa jędzo.

– I to jest właściwa postawa, panie – rzekłem. – Traktuj je niczym kosze z brudnymi pieluchami i patrz, jak przychodzą do zmysłów. Dziw, że wyrosły na tak urocze istoty przy takim ojcu.

– Więc ich weźcie, mięsożerne harpie! Szkoda, że nie mogę wyciągnąć waszej matki z grobu i oskarżyć jej o najstraszniejsze cudzołóstwo, bo nie możecie być potomstwem z moich lędźwi, skoro tak mnie traktujecie.

Pokiwałem głową i złożyłem ją na ramieniu Goneryli.

– Najwyraźniej cudzołóstwo nastąpiło po stronie mamy, pączusiu. Gorycz i wspaniałe piersi masz po ojcu.

Odepchnęła mnie pomimo mej mądrości. Lir zupełnie tracił już panowanie nad sobą, trząśł się, krzycząc na córki i słabł z każdym słowem.

– Usłyszcie mnie, bogowie! Jeśli to wy wzbudzacie serca córek przeciwko ojcu, obdarzcie mnie szlachetnym gniewem i nie plamcie mych policzków kobiecą bronią, kroplami wody.

– To nie łzy płyną po twych policzkach, wujciu – rzekłem. – Deszcz pada.

Gloucester i książę Kornwalii odwrócili od starca wzrok z zakłopotaniem. Kent położył dłonie na ramionach króla i próbował go delikatnie odprowadzić. Lir strząsnął je i ruszył do córek.

– Bestialskie wiedźmy! Dokonam na was zemsty, jakiej świat... ee, zrobię wam takie rzeczy, że nawet jeszcze nie wiem, ale będą to rzeczy straszne, wzbudzą postrach na całej ziemi! Ale nie będę płakał! Nie będę. Nawet jeśli serce rozpadnie mi się na sto tysięcy kawałków, nie będę płakał. O, błaznie, oszaleję!

– Ano, wujciu, początek masz znakomity. – Próbowałem go objąć, ale mnie odtrącił.

– Cofnijcie swe rozkazy, harpie, albo opuszczę ten dom. – Skierował kroki ku bramie.

– To dla twego dobra, ojcze – powiedziała Goneryla. – Przestań już ciskać gromy i chodź do środka.

– Oddałem wam wszystko! – wrzasnął, wymachując drżącym palcem w stronę Regany.

– I cholernie długo ci to zajęło, niedołączny stary pierdzielu – odparła tamta.

– Sama to wymyśliła, wujciu – oznajmiłem, we wszystkim doszukując się dobrych stron.

– Pójdę – zagroził Lir, czyniąc kolejny krok w kierunku bramy. – Nie nabieram was. Wyjdę przez te drzwi.

– Trudno – rzuciła Goneryla.

– Wielka szkoda – dodała Regana.

– Wychodzę. Przez tę bramę. I nigdy nie wrócę. Zupełnie sam.

– Mhm – mruknęła Goneryla.

– *Au revoir* – powiedziała Regana niemal doskonałą pieprzoną francuszczyzną.

– Mówię poważnie. – Starzec rzeczywiście przeszedł już przez bramę.

– Zamknąć ją – rozkazała Regana.

– Ależ, pani, to nie miejsce dla człeka ani zwierza – rzekł Gloucester.

– Zamknąć ją, kurwa! – krzyknęła Goneryla.

Rzuciła się naprzód i z całej siły pchnęła wielką, żelazną dźwignię przy barbakanie. Ciężka, okuta żelazem brona opadła z hukiem, a szpikulce ledwie chybiły starego króla, trafiając w głębokie na stopę szczeliny w kamieniu.

– Odejdę – powiedział Lir zza kraty. – Nie myślcie, że tego nie zrobię.

Siostry opuściły dziedziniec, by schronić się w zamku. Księżę Kornwalii podążył za nimi i zawołał Gloucestera, by doń dołączył.

– Ale burza – rzekł hrabia, patrząc na starego przyjaciela za prętami. – Nikt nie powinien wychodzić w taką burzę.

– Sam tego chciał – odparł księżę Kornwalii. – Chodź, mój dobry Gloucesterze.

Hrabia odsunął się od kraty i poszedł za tamtym do zamku, pozostawiając tylko Kenta i mnie, stojących na deszczu w wełnianych płaszczach. Kent wydawał się udręczony losem starca.

– Jest zupełnie sam, Kieszonko. Jeszcze nawet nie wybiło południe, a niebo ciemne jak o północy. Lir jest na zewnątrz, zupełnie sam.

– Oj, cholerne biedactwo – odrzekłem. Spojrzałem na łańcuchy, ciągnące się ku szczytowi barbakanu, na belki, sterczące z murów, na blanki mające chronić łuczników. Niech licho porwie anachoretkę i Belette'a za moje małe szkolenie akrobaty. – Pójdę z nim. Ale ty musisz chronić Śliniaka przed Edmundem. Pogadaj z tą praczką z pięknym cycem, pomoże. Chłopak jej się podoba, choćby mówiła co innego.

– Sprowadzę pomoc do podniesienia kraty – zaproponował.

– Nie ma potrzeby. Pilnuj naturalnego i chroń swój grzbiet przed Edmundem i Oswaldem. Wrócę ze staruszką, kiedy tylko zdołam. – Z tymi słowami wpełchnąłem sobie Jonesa za kamizelkę na plecach, rozpedziłem się i wskoczyłem na masywny łańcuch, wspiąłem się, wskoczyłem na jedną z belek wystających z kamienia powyżej, a potem przeskakiwałem z belki na belkę, aż znalazłem w murze punkt podparcia dla

dłoni i mogłem już wdrapać się na szczyt muru. – Wybacz, przeklęta twierdzo! – krzyknąłem, machając Kentowi. W mgnieniu oka znalazłem się za murem i po łańcuchach mostu zwodzonego opuściłem się na ziemię po drugiej stronie.

Starzec był już przy bramie okolonej murem wioski i niemal niel w deszczu. Pośród wrzosowiska wyglądał w swoim futrzanym płaszczu niczym stary, przemoczony szczur.

AKT III

„Z szyderców często bywają prorocy”.

Regana, *Król Lir*, Akt V, scena 3.

PANOWANIE BŁAZNÓW, KRZYKI SZALEŃCÓW

Dmijcie, wichrzyska, aż wam miechy pękną! Wściekajcie się! Dmijcie! – zagrział Lir. Starzec przycupnął na szczycie wzgórza pod Gloucester i krzyczał do wiatru jak przeklęty szaleniec, podczas gdy błyskawice drapały niebo rozgrzanymi do białości pazurami, a grzmoty wstrząsały mną do samych żeber.

– Zejdź stamtąd, cholerny, niedołączny, stary wariacie! – rzekłem, skulony pod pobliskim ostrokrzewem. Byłem przemoczony i zmarznięty, a moja cierpliwość wobec starca już się wyczerpywała. – Wróc do Gloucester i poproś córki o schronienie.

Lir wołał jednak dalej:

O, bogowie bez serca! Ześlijcie na mnie gromy, co dąb przepołowią!

Wy, siarką tchnące, śmiercionośne błyski!

Osmalcie biały mój włos i zmieńcie w kupkę popiołu!

Położcie mnie trupem! Niech wasz gniew w ognistej formie mnie unicestwi!

Weźcie mnie, okrucieństw nie szcędźcie!

Nie winię was, wyście nie me córki!

Nic wam nie dałem i na nic nie czekam!

Sprawcie sobie straszliwą przyjemność

Ja starzec biedny, słaby i wzgardzony!

Grzmij niebo! Połóż mnie trupem!³⁹

³⁹ Parafraza fragmentu *Króla Lira* (Akt III, scena 2) oparta na przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

Przerwał, gdy piorun przepołowił drzewo na wrzosowisku z oślepiającym błyskiem i hałasem, od którego nawet posągi by się zesrały. Wybiegłem spod krzaka, by stanąć przy królu.

– Chodź, wujciu. Schroń się pod krzewem, by choć odebrać żądło deszczom.

– Nie potrzeba mi schronienia. Niech natura dokona swej nagiej zemsty.

– Dobrze więc – rzekłem. – Zatem i tego nie potrzebujesz. – Wziąłem jego ciężki futrzany płaszcz, rzuciłem mu swój, wehniany i przesiąknięty wodą, po czym wycofałem się pod krzak, osłaniając się ciężką zwierzęcą skórą.

– Hej? – zdumiał się Lir.

– Dalej – odrzekłem. – *Grzmij, niebo, usmaż ten stary łeb, rozgnieć jajca, i tak dalej, i tak dalej.* Powiem ci, jeśli się pogubisz.

I znowu zaczął:

Potężny Thorze, ześlij swe gromy, by zatrzymały to zmęczone serce!

Fale Neptuna, wyrwijcie te kończyny ze stawów!

Szpony Hekate, wyszarpcie mi wątrobę i wysączcie mą duszę!

Baalu, wyciągnij me wnętrzności z ich chorej siedziby!

Jowiszu, zasyp ziemię moimi porwanymi mięśniami!

Na chwilę przerwał tyradę i z jego oczu zniknął błysk szaleństwa. Spojrzał na mnie.

– Naprawdę kurewski tu ziąb.

– Niby grom oczywistości na drodze do Damaszku, co, wujciu? – Rozchyliłem szeroki, futrzany płaszcz i skinąłem na starca, by schronił się ze mną pod krzewem.

Spełzył ze wzgórza, ostrożnie, by nie poślizgnąć się na strużkach błota i wody, spływających obok, i skulił się obok mnie.

Zadrzał i objął mnie swoją kościstą ręką.

– Jesteśmy bliżej siebie, niż przywykliśmy, co, chłopcze?

– Ano, wujciu, mówiłem ci kiedyś, że bardzo atrakcyjny z ciebie mężczyzna? – odezwał się Jones, wychylając marionetkową głowę spod płaszcza.

Starzec parsknął śmiechem i śmiał się, aż zatrzęsły mu się ramiona, śmiech zaś przerodził się w irytujący kaszel, który trwał i trwał, aż zdało się, że zaraz wykrztusi wewnętrzne organy. W złożone dłonie pochwyciłem trochę lodowatego deszczu i podałem mu, by się napił.

– Nie rozśmieszaj mnie, chłopcze. Oszalałem z żalu i gniewu, nie mam więc nastroju na żarty. Powinieneś się odsunąć, bo jeszcze usmaży cię piorun, gdy bogowie rozważą wyzwanie, które im rzuciłem.

– Wujciu, za pozwoleniem, jesteś aroganckim starym bałwanem! Bogowie nie powalą cię gromem tylko dlatego, że ich o to prosisz. Dlaczego mieliby dogadzać ci piorunem? Już prędeż czyrakiem, który się zaogni i stanie śmiertelny, a może niewdzięcznym dzieckiem albo dwojgiem dzieci, jako że bogowie kochają ironię.

– Bezczelność! – rzekł Lir.

– O tak, bezczelni to bogowie. A wywołałeś ich cały korzec. Jeśli teraz zginiesz, nie będzie wiadomo, kogo winić, chyba że grom wypali podpis na twojej skórze. Należało wyzwać jednego, a potem poczekać godzinę i dopiero domagać się ognia od całej bandy naraz.

Król otarł wodę z oczu.

– Kazałem tysiącowi mnichów i zakonnic modlić się o przebaczenie dla mnie, a poganom zarzynać całe stada kóz w imię mojego zbawienia, lecz obawiam się, że to nie wystarczy. Ani razu nie działałem w interesie swojego ludu, ani razu w interesie swoich żon czy matek mych córek. Służyłem sobie niby bóg i czuję, że nie jestem zbyt wielkoduszny. Bądź dobry, Kieszonko, bo inaczej pewnego dnia staniesz w obliczu ciemności, tak jak ja. Albo też, przy braku dobroci, bądź pijany.

– Ale wujciu – rzekłem – nie muszę liczyć się z dniem, gdy stanę się słaby. Już taki jestem. A na pocieszenie powiem, że może wcale nie ma Boga i twoje złe uczynki stanowią jeno nagrodę samą w sobie.

– Może nawet nie zasługuję, by szlachetnie zginąć – łkał Lir. – Bogowie zesłali te córki, by wysały ze mnie krew. To kara za to, jak potraktowałem własnego ojca. Wiesz, jak zostałem królem?

– Wyciągnąłeś miecz z kamienia i ubiłeś nim smoka, tak?

– Nie, to się nigdy nie zdarzyło.

– Przekłeta klasztorna edukacja. Niech mnie zatem licho, jeśli wiem, wujciu. Jak Lir został królem?

– Zamordowałem własnego ojca. Nie należy mi się godna śmierć.

Odebrało mi mowę. Służyłem królowi już ponad dekadę, a nigdy o tym nie słyszałem. Opowiadano, że stary król Baldud oddał koronę Lirowi i pojechał do Aten, gdzie kształcił się, by zostać nekromantą, a potem wrócił do Brytanii i zmarł na dżumę, służąc bogini Minerwie w świątyni w Bath. Ale zanim zdobyłem się na

odpowieź, niebo rozdarła błyskawica, ukazując naszym oczom potężną istotę, która zbliżała się ku nam z boczem wzgórze.

– Co to? – spytałem.

– Demon – odrzekł starzec. – Bogowie przysłali potwora, by dokonał na mnie zemsty.

Stwór był pokryty śluzem i poruszał się tak, jakby składał się z ziemi, po której kroczył. Sięgnąłem po sztylety na krzyżu i wyciągnąłem jeden z pochwy. Przy takiej ulewie nie było mowy o rzucaniu nożami. Nie miałem nawet pewności, czy zdołam utrzymać ostrze prosto.

– Miecz, Lirze – rzekłem. – Wyjmij go i broń się.

Wstałem i wyszedłem spod osłony krzewu. Odwróciłem Jonesa, trzymając w pogotowiu kijek, na którym był zamocowany, i wyrysowałem sztyletem zawijas w powietrzu.

– Podejdź tu, demonie! Kieszonka odeśle cię powozem prosto do piekła.

Przykucnąłem, zamierzając odskoczyć w bok, gdyby stwór rzucił się naprzód. Chociaż miał ludzkie kształty, dostrzegąłem ciągnące się za nim długie, lepkie macki, a także sączące się zeń błoto. Jak tylko się potknie, skoczę mu na plecy i zobaczę, czy zdołam go zmusić, by upadł i ześlizgnął się ze zbocza, jak najdalej od starego króla.

– Nie, niech mnie weźmie – powiedział Lir. Nagle zrzucił futrzany płaszcz i ruszył na potwora, szeroko rozkładając ręce, jakby oddawał potworowi swoje serce. – Zabij mnie, bezwzględny boże, wyrwij to czarne serce z piersi Brytanii!

Nie mogłem go zatrzymać i starzec padł w ramiona bestii. Ale ku mojemu zaskoczeniu nie nastąpiło wrywanie kończyn ani rozłupywanie czaszek. Monstrum pochwyciło starca i ułożyło go łagodnie na ziemi.

Opuściłem ostrze i zrobiłem mały krok naprzód.

– Zostaw go, bestio.

Stwór klęczał nad Lirem, któremu oczy uciekły w tył, a głowa podskakiwała niczym przy ataku padaczki. Bestia popatrzyła na mnie i przez błoto ujrzałem różowe pasma, białka jego oczu.

– Pomóż – powiedziała. – Pomóż go zabrać do schronienia.

Postąpiłem naprzód i starłem błoto z twarzy stwora. Był to mężczyzna, pokryty tak gęstą warstwą błota, że wypływało mu nawet z ust i umazało zęby, ale jednak mężczyzna. Za jego rękami ciągnęły się pnącza albo szmaty, nie mogłem odróżnić.

– Pomóż biednemu Tomowi zabrać go z tego ziąbu – rzekł.

Schowałem sztylet, wziąłem płaszcz starca i pomogłem ubłoconemu, nagiemu człowiekowi zanieść króla Lira do lasu.

Była to mała chatka, miejsca ledwie starczało, by stanąć prosto, ale ogień grzał, a stara kobieta mieszała w kociołku, który pachniał gotowanym mięsem i cebulą, a w tę ciemną noc ta woń była niczym oddech muz. Lir się poruszył. Minęły już godziny, odkąd zabraliśmy go z deszczu. Spoczywał na posłaniu ze słomy i skór. Jego futrzany płaszcz parował przy ogniu.

– Umarłem? – spytał.

– Nie, wujciu, lecz byłeś bliski lizania słonego pięt na śmierci – rzekłem.

– Odejdź, paskudny diable! – powiedział nagus, machając dłonią w powietrzu przed swoimi oczami. Pomogłem mu zmyć dużą część błota, był więc już tylko brudny i oszalały, ale już nie zniekształcony.

– Oj, biednemu Tomowi zimno! Tak zimno.

– To widać – stwierdziłem. – Chyba, że jesteś wyjątkowym olbrzymem, który urodził się z przyrodzeniem wielkości rodzyńka.

– Diabeł każe Tomowi żywić się żabami, kijankami, jaszczurkami i wodą z rowu. Zamiast surówki jem krowie placki, łykam szczury i kawałki zdechłych psów. Piję brudy ze stawu, a w każdej wiosce biją mnie i zakuwają w dyby. Precz, diable! Zostaw biednego, zmarzniętego Toma samego!

– Rety – rzekłem. – Pomyleńcy pięknie obrodzili tej nocy.

– Proponowałam mu duszoną baraninę – odezwała się staruszka przy ogniu, nie odwracając się – ale nie, on musiał jeść swoje żaby i krowie placki. Dość wybredny, jak na gołego wariata.

– Kieszonko – powiedział Lir, zaciskając palce na moim ramieniu. – Kim jest ten wielki, nagi chłop?

– Nazywa siebie Tomem, wujciu. Mówi, że dręczy go diabeł.

– Musi mieć córki. Powiedz, Tomie, oddałeś wszystko swoim córkom? Czy to dlatego jesteś szalony, biedny, a nawet nagi?

Tom przeczołgał się, aż znalazł się u boku Lira.

– Byłem próżnym i samolubnym sługą – rzekł wariat. – Co noc spałem ze swoją panią i budziłem się z myślą, by rano znów jej wsadzić. Piłem, hulałem i weseliłem się, choć mój przyrodni brat walczył na krucjacie w imię Kościoła, w który nie wierzył. Brałem wszystko, nie myśląc o tych, którzy nie mieli nic. Teraz sam nic nie mam, ani odzienia, ani okruszka chleba, ani miedziaka, a diabeł ściga mnie na krańce ziemi za moje samolubstwo.

– Widzisz – powiedział Lir. – Tylko okrutne córki mogły go przywieść do takiego stanu.

– Nie powiedział tego, dumny staruchu. Mówi, że był nieużytym libertynem i diabeł zabrał mu strój.

Teraz staruszka się odwróciła.

– Ano, błazen słusznie prawi. Młodszy wariat nie ma córek, a jego przekleństwem jest własna nieżyczliwość. – Przeszła przez chatę z dwiema parującymi miskami strawy i postawiła je przy nas na podłodze. – Ciebie zaś prześladuje twoje zło, Lirze, a nie córki.

Widziałem ją wcześniej. Była jedną z wiedźm z wielkiego lasu Birnam. Nosila inne ubranie i zdawała się nieco mniej zielona, ale to bez wątpienia była Rozmaryn, czarownica o kocich pazurach.

Lir osunął się na podłogę i ujął rękę nieszczęsnego Toma.

– Byłem samolubny. Wcale nie myślałem o wadze swych czynów. Własnego ojca uwięziłem w świątyni w Bath, bo był trędowaty, później zaś kazałem go zabić. Brata zamordowałem, podejrzewając go o cudzołóstwo z mą królową. Bez procesu, nawet bez honorowego wyzwania. Kazałem go zamordować we śnie, bez dowodów. A królowa też nie żyje przez mą zazdrość. Moje królestwo to owoc zdrady i owoce zdrady zbierałem. Nie zasługuję na odzienie na swym grzbiecie. Prawdę powiadasz, Tomie, że nic nie masz. Ja też nie będę miał nic, to moja słuszna nagroda!

Starzec zaczął zrywać z siebie ubranie, szarpiąc kołnierz koszuli i zdzierając więcej welinowej skóry niż lnu. Złapałem go za rękę, przytrzymałem nadgarstek i próbowałem pochwycić jego wzrok, by wyciągnąć go z szaleństwa.

– Och, skrzywdziłem swoją słodką Kordelię! – zawodził starzec. – Jedyna, która mnie kochała, a ja ją skrzywdziłem! Bogowie, zerwijcie te ubrania z mego grzbietu, zerwijcie mięso z mych kości!

Potem poczułem szpony zaciskające się na moim nadgarstku i zostałem odciągnięty od Lira jakby przez ciężkie żelazne kajdany.

– Niech cierpi – syknęła mi do ucha wiedźma.

– Ale to ja sprawiłem ten ból – odrzekłem.

– Ból Lira to jego własne dzieło – powiedziała.

Poczułem, że pomieszczenie wiruje, i usłyszałem głos dziewczęcej zjawy, nakazujący mi sen.

– Śpij, słodki Kieszonko.

– Kim jest ten nagi, ubłocony chłop, który obślinia królewski łeb? – spytał Kent.

Obudziłem się i ujrzałem starego rycerza, stojącego w wejściu z hrabią Gloucester. Na zewnątrz wciąż szalała burza, ale w blasku ognia ujrzałem nagiego szaleńca, Toma O'Bedlama, który owinał się wokół Lira i całował łysą głowę króla, jakby błogosławił noworodka.

– O, Wasza Wysokość – rzekł Gloucester – nie możesz znaleźć lepszego towarzystwa? Kim jest ten brutal?

– Filozofem – odparł Lir. – Porozmawiaj z nim.

– Nieszczęsny Tom O'Bedlam – odezwał się Tom. – Żywiący się kijankami, potępiony i przeklęty przez demony.

Kent spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

– Obaj to zupełni szaleńcy – powiedziałem. Rozejrzałem się za staruszką, by wziąć ją na świadka, ale zniknęła.

– Cóż, ocknij się, Wasza Wysokość, przynoszę nowiny z Francji – oznajmił Kent.

– Sos hollandaise, doskonały do jajek? – zainteresowałem się.

– Nie – odrzekł. – To coś poważniejszego.

– Wino i ser świetnie się uzupełniają? – drążyłem.

– Nie, szelmo o szorstkim języku, armia francuska wylądowała w Dover, a plotka głosi, że mają siły ukryte w innych miastach na brytyjskim wybrzeżu, gotowe do uderzenia.

– No cóż, to zaiste przebija wieści o winie i serze, prawda?

Gloucester odrywał Toma od króla Lira, ale ciężko mu to szło, starał się bowiem nie ubabrać sobie płaszczka błotem.

– Wysłałem do obozu Francuzów w Dover wiadomość, że Lir jest tutaj – powiedział. – Przedstawiłem córkom króla prośbę, by pozwoliły mi przyprowadzić go z powrotem z tej burzy, ale nie chcą ustąpić. Nawet w moim własnym domu ksiązę Kornwalii uzurpował sobie moją władzę. Regana i ksiązę przejęli dowództwo nad rycerzami Lira, a tym samym nad moim zamkiem.

– Przyszliśmy zabrać cię do nory przy miejskim murze – oznajmił Kent. – Kiedy burza ucichnie, Gloucester przyśle wóz, który zawiedzie Lira do obozu Francuzów w Dover.

– Nie – powiedział Lir. – Pozwólcie mi porozmawiać na osobności z moim przyjacielem filozofem. – Wskazał szalonego Toma. – Wie wiele o tym, jak należy żyć. Powiedz, przyjacielu, czemu grzmia pioruny?

Kent odwrócił się do Gloucestera i wzruszył ramionami.

– Nie jest przy zdrowych zmysłach.

– Czy można go winić? – odrzekł tamten. – Po tym, co zrobiły jego córki... Własna krew powstała przeciwko niemu. Mój ukochany syn spiskował, by mnie zamordować, i sama myśl o tym omal nie przyprawiła mnie o szaleństwo.

– Czy wy, szlachcice, znacie inną reakcję na trudności niż cholerne szczekanie, bieganie i żarcie ziemi? – spytałem. – Podciągnijcie jajca i miejcie to za sobą, dobrze? Kencie, co ze Śliniakem?

– Zostawiłem go ukrytego w pralni, ale Edmund go znajdzie, gdy jego umysł skupi się na wykonaniu zadania. Teraz jest pochłonięty unikaniem sióstr i spiskowaniem z księciem Kornwalii.

– Mój syn Edmund wciąż jest prawy – rzekł Gloucester.

– Zaiste, milordzie – odrzekłem. – I bacz, by nie potknąć się o kapryfolium, wyrastające mu z tyłka, kiedy go zobaczysz. Znasz sposób, by wprowadzić mnie do zamku tak, by Edmund nie wiedział, że tam jestem?

– Chyba tak. Ale nie przyjmuję rozkazów od ciebie, błaznie. Jesteś jeno niewolnikiem, i to zbyt zuchwałym.

– Wciąż jesteś zły o żarty z twojej zmarłej żony, tak?

– Spełnij wolę błazna! – zagrzmiął Lir. – Jego słowo jest moim.

Byłem tak wstrząśnięty, że najlżejszy powiew zwałiby mnie z nóg. W oczach starca wciąż lśniło szaleństwo, ale także płomień władzy. W jednej chwili był

mizernym, bredzącym biedakiem, a w następnej smok, mieszkający w jego wnętrzu, ział ogniem.

– Tak, Wasza Wysokość – rzekł Gloucester.

– To dobry chłopak – powiedział Kent, by trochę złagodzić wydzwięk rozkazu Lira.

– Wujciu, weź swego gołego szaleńca i chodźmy z Gloucesterem do tej nory przy murze. Wyciągnę z zamku swojego przygłupiego czeladnika, a potem ruszymy na spotkanie z cholernym żabim królem Jeffem w Dover.

Kent pogładził mnie po ramieniu.

– Przyda się miecz do pomocy?

– Nie, dziękuję – odrzekłem. – Zostań ze starym, doprowadź go do Dover. – Pociągnąłem go do paleniska i dałem znak, by się pochylił, chcąc szepnąć mu do ucha: – Wiedziałaś, że Lir zamordował swego brata?

Oczy starego rycerza stały się szersze, a potem zwęziły się, jakby doznał bólu.

– Wydał rozkaz.

– Oj, Kencie. Ty stary, wierny głupcze.

KOCIE PAZURY

Weszliśmy do zamku po kryjomu, co niespecjalnie mi odpowiada, jak się możecie domyślić. Lepiej nadaję się do wchodzenia z serią fikołków, stukotem, donośnym hałasem, i „dzień dobry, tumany!”. Jestem wyposażony w dzwonki i lalkę, do kurwy. Męczyło mnie całe to skradanie się i podstępny. Przeszedłem za hrabią Gloucester przez tajny wjazd w stajni do tunelu wiodącego pod fosą. W ciemności człapaliśmy w zimnej wodzie, głębokiej na stopę, i moim krokom oprócz dzwonienia towarzyszyły pluski. Nigdy nie wcisnąłbym Ślimaka w to wąskie przejście, nawet gdybym zdołał rozgnać ciemność pochodnią. Tunel kończył się kolejnym wjazdem, prowadzącym przez podłogę lochu. Hrabia odłączył się ode mnie w tej samej izbie tortur, w której spotkałem Reganę.

– Idę zorganizować przejazd twojego pana do Dover, błaznie. Nadal mam paru służących, którzy są mi wierni.

Czułem wdzięczność wobec starca, że wprowadził mnie do zamku, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego wcześniejszą gorycz wobec mnie.

– Trzymaj się z dala od bękarta, wasza miłość. Wiem, że to twój ulubiony syn, ale niesłusznie. To łajdak.

– Nie dyskredytuj Edmunda, błaznie. Znam twoją przebiegłość. A on ledwie wczorajszego wieczoru wsparł mnie w proteście przeciwko traktowaniu króla przez księcia Kornwalii.

Mogłem powiedzieć mu o liście, który sfalszowałem, by wyglądał na pisany ręką Edgara, o planach bękarta, by zająć miejsce brata, ale co on mógł zrobić? Pewnie wpadłby do komnat Edmunda i bękart zamordowałby go na miejscu.

– Dobrze więc – rzekłem. – Uważaj, mój panie. Księżę Kornwalii i Regana to zmija o czterech kłach i jeśli zwróci swój jad przeciw Edmundowi, musisz go pozostawić. Jeśli przyjdiesz mu z pomocą, i ciebie poranią trujące kolce.

– Mój ostatni prawy syn. Wstydz się, błaznie – powiedział hrabia. Prychnął i wybiegł z lochu, po czym ruszył po schodach.

Pomyślałem o modlitwie do tego czy innego boga, by chronił starca, ale jeśli bogowie mi sprzyjali, powinni to czynić dalej nieproszeni. Jeśli zaś byli mi przeciwni, nie było potrzeby zwracać ich uwagi na moją sprawę. Z bólem, ale zdjęłem buty i czapkę, po czym wcisnąłem je pod kamizelkę, by uciszyć dzwonki. Jones został z Lirem.

Pralnia znajdowała się na dolnych poziomach zamku, więc skierowałem się najpierw tam. Pracza z wcześniej wspomnianymi, oszałamiającymi cycami o ogromnej sile przekonywania, rozwieszała koszule, gdy wszedłem do środka.

– Gdzie Śliniak, kochana? – spytałem.

– W ukryciu – odparła.

– Wiem, że w cholernym ukryciu, inaczej pytanie byłoby zbyteczne, prawda?

– Więc chcesz, bym go po prostu wydała? Skąd wiem, że nie przyszedłeś go zabić? Ten stary rycerz, który go tu przywiódł, powiedział, że mam nikomu nie mówić, gdzie jest.

– Ale ja przyszedłem, by zabrać go z zamku. Uratować, innymi słowy.

– Ano, tak mówisz, ale...

– Słuchaj, cholerna zdziro, oddawaj przygłupa!

– Emma – powiedziała pracza.

Usiadłem przy palenisku i podparłem głowę rękami.

– Kochana, spędziłem noc wśród burzy z wiedźmą i dwoma majaczącymi szaleńcami. Rozmyślając o nadchodzących wojnach, a także gwałcie na dwóch księżniczkach i przyprawianiu rogów księżetom. Mam złamane serce, pogrążam się w żalu po stracie przyjaciela, a rosły, zaśliniony bałwan, który jest moim uczniem, włóczy się po zamku w poszukiwaniu śmiertelnej rany. Współczuj błaznowi, kochana, jeszcze jedna uwaga nie na temat może roztrzaskać moje kruche zdrowe zmysły na kawałki.

– Mam na imię Emma – oznajmiła pracza.

– Tu jestem, Kieszonko – odezwał się Śliniak, wstając w wielkim kotle. Sterta prania na głowie skrywała wielki, pusty łeb, czający się w wodzie. – Ta z cycem mnie ukryła. Kochana jest.

– Widzisz – powiedziała Emma. – Ciągłe nazywa mnie tą z cycem.

– To komplement, kochana.

– To brak szacunku – odparła. – Mam na imię Emma.

Nigdy nie zrozumieję kobiet. Praczka była ubrana w strój, który podkreślał piersi, mało tego, oddawał im cześć, mocno ściśnięty w talii, wypychający biust, aż wylewał się z dekoltu. A jednak, gdy chłop to zauważył, czuła się obrażona. Nigdy tego nie pojmem.

– Wiesz, że to idiota, co, Emmo?

– Na jedno wychodzi.

– Dobrze. Śliniaku, przeproś Emmę, że powiedziałeś, jakie cudne ma cyce.

– Przepraszam za twoje cyce – rzekł Śliniak, kłaniając się, przez co czapka z prania spadła mu z głowy z powrotem do wody.

– Zadowolona, Emmo? – spytałem.

– Chyba tak.

– Dobrze. A teraz, czy wiesz, gdzie może być kapitan Kuran, dowódca rycerzy króla Lira?

– O, tak – rzekła Emma. – Lord Edmund i książę konsultowali ze mną dziś rano wszystkie sprawy militarne, jak to mają w zwyczaju. W końcu jestem praczką i mam dostęp do wszystkich najlepszych taktyk, strategii i takich tam.

– Od sarkazmu cycki ci odpadną – odparłem.

– Wcale nie – zaprzeczyła, robiąc taki ruch, jakby chciała rękami podtrzymać piersi.

– To znany fakt – powiedziałem, kiwając z powagą głową.

Potem zerknąłem na Śliniaka, który też pokiwał głową i powtórzył:

– To znany fakt. – Ton w ton moim głosem.

– To okropne. – Emma zadrżała. – Możecie już wyjść z mojej pralni.

– Niech więc będzie – rzekłem. Skinąłem na Śliniaka, by wygramolił się z kotła.

– Dziękuję, że opiekowałaś się naturalnym, Emmo. Gdybym tylko mógł coś...

– Zabij Edmunda – powiedziała.

– Słucham?

– Syn budowniczego z cechu miał się ze mną ożenić, zanim przyszedłem tu do pracy. Szanowany człowiek. Edmund wziął mnie wbrew mej woli i przechwalał się tym w mojej wiosce. Mój chłop już mnie nie chciał. Nikt wartościowy mnie nie bierze, oprócz bękarta, on zaś kiedy tylko chce. To on kazał mi nosić tę kusą sukienkę. Mówi, że zamieszkać ze świniami, jeśli nie będę mu usługiwać. Zabij go dla mnie.

– Ależ, dziewczko, jestem jeno błaznem. Trefnisiem. I to małym.

– Jesteś kimś więcej, szelmo w czarnej czapce. Widziałam te groźne sztylety na twych plecach. Widzę, kto w tym zamku pociąga za sznurki, i nie jest to książę ani stary król. Zabij bękarta.

– Edmund mnie bił – odezwał się Śliniak. – A ona naprawdę ma cudne cyce.

– Śliniaku!

– No ma.

– No dobrze – rzekłem, ujmując praczkę za rękę. – Ale za jakiś czas. Najpierw mamy kilka zadań do wykonania. – Pochyliłem się nad jej dłonią, ucałowałem ją, po czym odwróciłem się na pięcie i boso wymaszerowałem z pralni, by stworzyć historię.

– Haniebne kurewstwo – szepnął Śliniak do praczki i puścił oko.

Ukryłem Śliniaka w barbakanie, wśród ciężkich łańcuchów, których użyłem do ucieczki, gdy w ślad za Lirem ruszyłem w burzę. Niezauważone wprowadzenie tego durnia na mur i do barbakanu stanowiło niełatwe zadanie. Zostawiał mokre ślady na kamieniach, aż dotarliśmy do zewnętrznej strony zamku, ale z powodu burzy strażnicy nie były zbyt czujne, więc większą część drogi po murze pokonaliśmy bez przeszkód. Zanim znów znalazłem się przy ogniu, miałem wrażenie, że moje stopy skuł lód, ale nie było innej możliwości. Śliniak w ciasnej przestrzeni tajnego tunelu, przy jego lęku przed ciemnością – tego nie życzyłbym nawet wrogowi. Znalazłem wełniany koc, owinałem nim przygłupa i kazałem czekać na swój powrót.

– Pilnuj moich butów i torby, Śliniaku.

Podążałem przed siebie, kryjąc się w zakamarkach, minąłem kuchnię, przez wejście dla służby dostałem się do wielkiej sali, z nadzieją że może uda mi się tam porozmawiać przez chwilę z Reganą. Wielkie palenisko w sali mogło skusić księżniczkę w tak zimny dzień, bo ciepło wabiło ją niczym kotkę.

Zamek w Gloucester nie miał zewnętrznych murów, więc nawet w wielkiej sali znajdowały się otwory strzelnicze, by budowli z każdego poziomu dało się bronić przed atakiem od strony wody. Te otwory powodowały przeciągi, więc wnęki zawieszono arrasami⁴⁰, chroniącymi przed wiatrem – idealne miejsce dla błazna, by obserwować sytuację, ogrzewać się i czekać na odpowiednią chwilę.

Wśliznąłem się do pomieszczenia za grupą służek, po czym skryłem się w alkwie, znajdującej się najbliżej kominka. Siedziała tam, przy ogniu, w ciężkim futrzanym płaszczu z kapturem, ukazując światu jedynie twarz.

Odsunąłem gobelin na bok i już miałem ją zawołać, gdy szcęknęła zasuwa głównych drzwi i do środka wszedł książę Kornwalii, jak zwykle wystrojony, z lwim herbem na piersi, ale co ważniejsze – w koronie Lira, tej, którą starzec cisnął na stół pamiętnego wieczoru w Tower. Nawet Regana wydawała się zaskoczona jej widokiem na głowie męża.

– Panie, czy to roztropne, nosić koronę Brytanii, gdy moja siostra wciąż jest w zamku?

– Tak, tak, musimy dbać o pozory, jakbyśmy nie wiedzieli, że książę Albanii zbiera przeciwko nam armię. – Zdjął koronę i schował ją pod poduszką przy kominku.

– Mam się tu spotkać z Edmundem i ułożyć plan na pohybel księciu. Miejmy nadzieję, że twej siostrze nic przy tym nie zagrozi.

Regana wzruszyła ramionami.

– Jeśli rzuca się pod kopyta przeznaczenia, czemu mielibyśmy ratować jej głowę przed zmiążdżeniem?

Książę wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował.

Oj, pani, pomyślałem, odepchnij go, bo splugawisz swe piękne usta łotrostwem. A potem przyszło mi do głowy, zapewne nawet później niż powinno, że nie poczuje owego łotrostwa, tak jak nałogowy miłośnik czosnku nie poczułby woni róży. Oddech tej damy był już skażony złem.

Podczas gdy książę ścisnął ją mocno i okazywał swoje oddanie, za jego plecami otarła wargi rękawem. Odepchnęła go, gdy do sali wszedł bękart Edmund.

– Panie – powiedział przybyły, ledwie kiwając Reganie głową. – Musimy odłożyć na później plany wobec księcia Albanii. Spójrz na ten list.

Książę wziął pergamin z rąk Edmunda.

⁴⁰ Arras – gobelin wieszany nad alkwą, by osłonić ją od wiatru i zapewnić prywatność. W *Hamlecie* Poloniusz został zabity, gdy schował się za arrasem.

– Co? – spytała Regana. – Co, co, co?

– Wojska Francji wylądowały. Król wie o sporach między nami a Albanią i ukrył oddziały w nadmorskich miastach całej Brytanii.

Regana wyrwała pismo z ręki księcia Kornwalii i sama je przeczytała.

– Jest adresowane do Glouceстера.

Edmund pochylił głowę z fałszywą skruchą.

– Ano, milady, znalazłem je w jego gabinecie i przyniosłem tutaj, gdy tylko poznałem jego treść.

– Straże! – zawołał książę Kornwalii. Wielkie drzwi otworzyły się i do środka zajrzał żołnierz. – Przyprować mi hrabiego Gloucester. Nie baczcie na jego tytuł, to zdrajca.

Szukałem sposobu, by wrócić do kuchni, być może znaleźć Glouceстера i uprzedzić go o zdradzie bękart, lecz Edmund był zwrócony twarzą do wnęki, w której się kryłem, i nie mogłem wydostać się niezauważony. Otworzyłem klapę zasłaniającą otwór strzelniczy. Choćbym zdołał się przez nią przesmyknąć, pionowa ściana opadała aż do jeziora poniżej. Cicho zamknąłem klapę i zasunąłem skobelek.

Zasuwa głównych drzwi znowu szczęknęła i wróciłem w przestrzeń pomiędzy murem a gobelinem, zza którego zobaczyłem, jak do środka wchodzi Goneryla, a za nią dwaj żołnierze, trzymający Glouceстера za ramiona. Starzec wyglądał, jakby już się poddał i wisiał między nimi niczym topielec.

– Powiesić go – rzekła Regana, odwracając się, by ogrzać ręce przy ogniu.

– Co to znaczy? – spytała Goneryla.

Książę Kornwalii podał jej list i stał, patrząc jej przez ramię, gdy czytała.

– Wyłupić mu oczy – powiedziała, starając się nie spojrzeć na Glouceстера.

Książę Kornwalii delikatnie wyjął list z rąk Goneryli i położył dłoń na jej ramieniu w geście braterskiego wsparcia.

– Zostaw go nam, siostrze. Edmundzie, dotrzyмай naszej siostrze towarzystwa i odprowadź ją bezpiecznie do domu. Pani, powiedz swemu księciu, że musimy połączyć siły przeciwko tym obcym wojskom. Rychło wymienimy meldunki. Idź już, hrabio Gloucester, nie chcesz widzieć, jak sobie poczynamy z tym zdrajcą.

Edmund nie potrafił skryć uśmiechu, gdy zwrócono się do niego tytułem, o którym marzył tyle lat.

– Dobrze – powiedział. Nadstawił rękę, a Goneryla ją przyjęła. Ruszyli do wyjścia z pomieszczenia.

– Nie! – zawołała Regana.

Wszyscy się zatrzymali. Książę Kornwalii stanął pomiędzy Reganą a jej siostrą.

– Pani, nadszedł czas, gdy wszyscy powinniśmy się zjednoczyć przeciwko zewnętrznej sile.

Regana zgrzytnęła zębami i odwróciła się z powrotem do ognia, machnąwszy ku nim ręką.

– Idźcie.

Edmund i Goneryla wyszli z sali.

– Przywiążcie go do tego krzesła, a potem nas zostawcie – rozkazał książę Kornwalii swoim żołnierzom.

Przywiązali starego hrabiego do ciężkiego krzesła, po czym się cofnęli.

– Jesteście moimi gośćmi – odezwał się Gloucester. – Nie czyńcie mi krzywdy.

– Ohydny zdrajca – powiedziała Regana. Wzięła list od męża i rzuciła go starcowi w twarz. Następnie chwyciła palcami jego brodę i pociągnęła. Mężczyzna zawył. – Taki siwy, a zdrajca – rzekła.

– Nie jestem zdrajcą. Jestem wierny królowi.

Znowu szarpnęła go za brodę.

– Jakie listy dostałeś ostatnio z Francji? Co oni zamierzają?

Gloucester spojrzał na pergamin na podłodze.

– Mam tylko ten.

Książę Kornwalii ruszył do niego i przyciągnął głowę starca z powrotem do oparcia krzesła.

– Mów, w czyje ręce posłałeś szalonego króla? Wiemy, że posłałeś mu pomoc.

– Do Dover. Posłałem go do Dover. Ledwie parę godzin temu.

– Dlaczego do Dover? – spytała Regana.

– Bo nie chciałem patrzeć, jak twoje okrutne paznokcie wyłupują mu oczy albo jak twoja siostra szarpie jego ciało swoimi dzikimi kłami. Bo tam są ludzie, którzy otoczą go opieką. Nie wyrzucą go na rozszałą burzę.

– Kłamie – rzekła Regana. – W lochu jest wspaniała izba tortur, skorzystamy?

Ale książę Kornwalii nie chciał czekać. W jednej chwili siedział już okrakiem na starcu i wciskał mu kciuk w oczodół. Gloucester krzyczał, aż głos mu się załamał i rozległ się budzący mdłości trzask.

Sięgnąłem po jeden ze swoich sztyletów do rzucania.

Główne drzwi do sali skrzypnęły i ze schodów, wiodących do kuchni, wychyliło się kilka głów.

– Dlaczego do Dover? – powtórzyła Regana.

– Ty ścierwojadzie! – wykrzyknął Gloucester, zanosząc się kaszlem. – Ty diablico, nie powiem.

– Zatem więcej nie ujrzysz światła – odrzekł książę Kornwalii i znowu rzucił się na starca.

Nie mogłem na to pozwolić. Uniosłem sztylet, by nim rzucić, lecz zanim mi się udało, na moim nadgarstku zacisnęło się coś lodowatego i uniosłem wzrok, by ujrzeć tuż obok siebie dziewczęcą zjawę, która wstrzymywała mój rzut, a właściwie mnie paraliżowała. Mogłem poruszać tylko oczami, by spojrzeć na grozę rozgrywającą się w wielkiej sali.

Nagle po schodach wbiegł chłopak, dzierżący długi, rzeźnicki nóż, i skoczył na księcia. Tamten wstał i chwycił miecz, ale nie zdążył wyciągnąć go z pochwy, bo chłopak już był przy nim i wbijał mu ostrze w bok. Gdy się cofnął, by zadać kolejny cios, Regana wyjęła sztylet z rękawa sukni i wraziła go w szyję młodzieńca, po czym cofnęła się przed fontanną krwi. Chłopak chwycił się kurczowo za szyję i upadł.

– Precz! – pisnęła Regana, wymachując sztyletem w stronę sług, stojących w drzwiach kuchennych i głównych, a ci zniknęli niczym spłoszone myszy.

Książę Kornwalii niepewnie wstał na nogi i zatopił miecz w sercu napastnika. Potem schował broń i pomacał się po boku. Jego dłoń umazała się krwią.

– Dobrze ci tak, nikczemny robaku – powiedział Gloucester.

Po tych słowach książę Kornwalii znowu był na nim.

– Wyłaż, plugawa galareto! – krzyknął, zatapiając kciuk w zdrowym oku hrabiego, lecz w tej chwili wyłupił je sztylet Regany.

– Nie kłopotz się, mój panie.

W tym momencie Gloucester omdlał z bólu i jego ciało zwiesiło się bezwładnie w więzach. Książę Kornwalii wstał i kopnął go w pierś, przywracając mu przytomność. Książę spojrział na Reganę z uwielbieniem, wyrażając wzrokiem ciepło i oddanie, jakie najwyraźniej rodzą się wtedy, gdy nóż twojej żony wydlubie w twoim imieniu oko innemu mężczyźnie.

– Twoja rana? – spytała krótko.

Książę wyciągnął rękę do żony, która wsunęła się w jego objęcia.

– Przejechał mi po żebrach. Krwawi i sprawia ból, ale po opatrzeniu nie będzie śmiertelna.

– Szkoda – rzekła Regana, po czym zatopiła ostrze przy jego mostku i przytrzymała, aż krew z jego serca poląła się na śnieżnobiałą dłoń.

Książę wydawał się nieco zaskoczony.

– Do licha – rzekł, po czym upadł. Regana otarła sztylet i dłonie o jego tunikę. Schowała broń w rękawie, a potem podeszła do poduszki, pod którą książę ukrył koronę jej ojca, zsunęła kaptur i nałożyła ją na głowę.

– No, Kieszonko – powiedziała, nie odwracając się ku wnętrzu, gdzie się schowałem. – Jak leży?

Byłem nieco zaskoczony (choć trochę mniej niż książę). Wtedy zjawa mnie puściła, a ja stałem za gobelinem z nożem wciąż przygotowanym do rzutu.

– Dorośniesz i będzie pasować, kotku – odrzekłem.

Spojrzała w stronę wnętrza i uśmiechnęła się.

– Tak, będzie, prawda? Chciałeś czegoś?

– Puść starego – powiedziałem. – Armia króla Francji wylądowała w Dover i dlatego Gloucester posłał tam Lira. Uczyniłabyś mądrze, zakładając obóz nieco dalej na południe. Zbierz swoje siły, a oddziały Edmunda i księcia Albanii skieruj może do Tower.

Skrzypnęły wielkie drzwi i ukazała się w nich głowa żołnierza w hełmie.

– Poślij po medyka! – zawołała Regana, starając się udąć rozpacz. – Mój pan został ranny. Rzucić napastnika na stertę gnoju, a tego zdrajcę wyrzucić za bramę. Węchem wyczuje drogę do Dover i swojego niedołęznego króla.

Po chwili salę wypełnili żołnierze i słudzy, Regana zaś wyszła, rzucając w stronę mojej kryjówki ostatnie spojrzenie i chytry uśmiech. Nie mam pojęcia, dlaczego zostawiła mnie przy życiu. Przypuszczam, że ciągle się jej podobałem.

Wymknąłem się przez kuchnię i skierowałem kroki z powrotem do barbakanu.

Widmo stało nad Śliniakiem, który kulił się pod kocem w kącie.

– Chodź, uroczy zwierzaku, wychędoż nas jak należy.

– Zostaw go, zjawo! – powiedziałem, choć była niemal równie materialna, jak śmiertelna kobieta.

– Wszystko dzisiaj schrzaniłeś⁴¹, co, błaznie?

– Mogłem uratować starcowi drugie oko.

⁴¹ Schrzanić – zepsuć, spartolić. Patrz też: „spieprzyć”, „zmusztardzić”.

– Nie udałoby ci się.
– Mogłem posłać Reganę do jej księcia, do tego piekła, gdzie trafił.
– Nie udałoby ci się. – A potem uniosła widmowy palec, odchrząknęła i powiedziała:

*Kiedy z drugiej będą drwić,
Skłamię, aby wzrok okadzić
I zerwać rodzinną nić,
Wariat ślepcą poprowadzi.*

– Już to mówiłaś.
– Wiem. Ale za wcześnie. Przepraszam. Myślę, że teraz lepiej zrozumiesz. Myślę, że nawet taki tępak jak ty może już rozwiązać zagadkę.
– Albo mogłabyś mi po prostu powiedzieć, co to znaczy, do kurwy – odrzekłem.
– Przykro mi, nie mogę. Tajemnice duchów i takie tam. Pa. – Z tymi słowami przeniknęła przez kamienną ścianę.
– Nie wychędożyłem ducha, Kieszonko – zapewnił Śliniak. – Nie wychędożyłem.
– Wiem, chłopie. Ona już odeszła. Wstań, musimy się zgramolić po łańcuchach mostu i znaleźć ślepego hrabiego.

WARIAT ŚLEPCA POPROWADZI

Gloucester pałętał się przed zamkiem, tuż przy moście zwodzonym, i niewiele brakowało, by wpadł do fosy. Burza wciąż szalała i krwawe strugi deszczu spływały z pustych oczodołów po twarzy hrabiego.

Śliniak chwycił starca za płaszcz na plecach i uniósł go niczym kocię. Gloucester zaczął się szamotać i w przerażeniu machał rękami, jakby złapał go olbrzymi drapieżny ptak, a nie po prostu przerośnięty głupiec.

– No już, już – powiedział Śliniak, próbując uspokoić starca, tak jak uspokaja się przestraszonego konia. – Mam cię.

– Zabierz go dalej od fosy i połóż na ziemi – poleciłem. – Lordzie Gloucester, to ja, Kieszonka, błazen Lira. Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce i opatrzemy twe rany. Król Lir też tam będzie. Tylko weź Śliniaka za rękę.

– Odejdźcie – powiedział hrabia. – Wasze próby pocieszenia zdadzą się na nic. Już po mnie. Moi synowie to łotry, me dobra stracone. Dajcie mi wpaść do fosy i się utopić.

Śliniak postawił go na ziemi i wskazał fosę.

– Idź zatem, milordzie.

– Łap go, Śliniaku, ty drewnianogłowy durniu!

– Ale powiedział, żeby dać mu się utopić, a to hrabia z zamkiem i w ogóle, a ty jesteś jeno błaznem, więc muszę robić, co powie.

Ruszyłem naprzód, złapałem Gloucestera i odprowadziłem go od krawędzi.

– Już nie jest hrabią, chłopie. Nie ma nic oprócz płaszcza, który chroni go przed deszczem, tak jak my.

– Nie ma nic? – powtórzył Śliniak. – Mogę nauczyć go żonglerki, by mógł zostać błaznem?

– Zabierzmy go do schronienia i dopilnujmy, by nie wykrwawił się na śmierć, a potem możesz udzielić mu lekcji błazeństwa.

– Zrobimy z ciebie błazna – zapewnił Śliniak, klepiąc starca po plecach. – Istne psie jajca, co, milordzie?

– Utopcie mnie – odrzekł Gloucester.

– O wiele lepiej być błaznem niż hrabią – powiedział przyglup, o wiele zbyt radosny jak na zimny, ponury dzień, w którym kogoś okaleczono. – Nie masz zamku, ale bawisz ludzi, a oni dają ci jabłka, a czasem jakaś dziewczka albo owca się z tobą zabawi. Kundle klejnoty⁴², słowo daję.

Przystanąłem i popatrzyłem na swego czeladnika.

– Zabawiałeś się z owcami?

Śliniak wznosił oczy ku szaremu niebu.

– Nie, ja... Czasem jemy też placek, jak Bańka usmaży. Polubisz Bańkę. Jest cudna.

Gloucester stracił już najwyraźniej całą swoją wolę i pozwolił się poprowadzić przez okolone murem miasteczko, stawiając słabe, rwane kroki. Gdy mijaliśmy podłużny budynek z muru pruskiego, który uznałem za koszary, usłyszałem, jak ktoś woła mnie po imieniu. Odwróciłem się w kierunku głosu i ujrzałem Kurana, kapitana gwardii Lira, który stał pod daszkiem. Pomachał do nas, byśmy podeszli, i po chwili przyciskaliśmy już plecy do ściany, próbując uciec przed deszczem.

– Czy to hrabia Gloucester? – spytał Kuran.

– Tak – przytaknąłem. Opowiedziałem mu, co się wydarzyło w zamku i na wrzosowisku, odkąd go ostatnio widziałem.

– Na krew Pana, dwie wojny. Księżę Kornwalii nie żyje. Kto teraz nami dowodzi?

– Pani – odparłem. – Zostańcie z Reganą. Plan taki jak wcześniej.

– Wcale nie. Nawet nie wiemy, kto jest jej wrogiem. Albania czy Francja.

– Niby tak, ale nasze działania powinny być takie same.

– Oddałbym miesięczny żołd, by dzierżyć ostrze, które zabije tego bękarta, Edmunda.

Na wzmiankę o swoim synu Gloucester znowu zawył.

⁴² Kundle klejnoty – potocznie „psie jajca”.

– Utopcie mnie! Nie chcę już cierpieć! Dajcie mi miecz, bym mógł się na niego wbić i skończyć swoją hańbę i boleść!

– Wybacz – zwróciłem się do Kurana. – Stał się płacziwą ciotą, odkąd wylupili mu oczy.

– Możecie go opatrzeć. Wprowadźcie go do środka. Łowczy nadal jest z nami. Dobrze się posługuje żegadłem.

– Pozwólcie mi przerwać me cierpienia – zawodził hrabia. – Nie mogę dłużej znosić kamieni i strzał...

– Milordzie, na osmalone jaja świętego Jerzego, proszę, czy byłbyś łaskaw zamknąć ryj?

– Trochę za ostro, nie? – powiedział Kuran.

– Co? Przecież powiedziałem „proszę”.

– Mimo wszystko.

– Wybacz, Gloucesterze, stary druhu. Wspaniały kapelusz.

– Nie nosi kapelusza – stwierdził kapitan.

– Ale jest ślepy, prawda? Gdybyś nic nie powiedział, mógłby się cieszyć swoim cholernym kapeluszem.

Hrabia znowu jęknął.

– Moi synowie to łajdaki, a ja nie mam kapelusza. – Chciał mówić dalej, ale Śliniak położył mu na ustach swoją wielką łapę.

– Dzięki, chłopie. Kuranie, masz coś do jedzenia?

– Tak, Kieszonko, możemy wam dać tyle chleba i sera, ile zdołacie unieść, a któryś z moich ludzi znajdzie też pewnie flaszkę wina. Jego lordowska mość był nadzwyczaj hojny, gdy zaopatrywał nas w strawę – powiedział Kuran, zerkając na Glouceстера. Starzec wił się w uścisku Śliniaka.

– Oj, Kuranie, znowu go rozdrażniłeś. Pospiesz się, jeśli łaska. Musimy znaleźć Lira i ruszać do Dover.

– Do Dover zatem? Dołączycie do króla Francji?

– Ano, do cholernego króla Jeffa, tego żabowatego złodzieja kobiet i pedzia o małym imieniu.

– Czyli go lubisz?

– Oj, odczep się, kapitanie. Dopilnuj, żeby nie dopadł nas pościg, który pośle za nami Regana. Nie buntuj się, po prostu ruszaj do Dover najpierw na wschód, a potem na południe. Ja powiodę Lira najpierw na południe, a potem na wschód.

– Pozwól mi jechać z tobą, Kieszonko. Król potrzebuje większej ochrony niż dwóch błaznów i ślepeca.

– Przy królu jest stary rycerz Kajus. Najlepiej przysłużysz się władcy, wykonując jego plan tutaj. – Nie była to do końca prawda, ale czy wypełniłby zadanie, gdyby za swego dowódcę uznał błazna? Raczej nie.

– W takim razie przyniosę wam prowiant – powiedział.

Gdy dotarliśmy do chaty, Tom O'Bedlam stał nago na deszczu i szczekał.

– Ten chłop, co szczeka, jest goły – zauważył Śliniak, przynajmniej raz nie składając hołdu świętej Oczwistości, jako że zaiste towarzyszył nam ślepiec.

– Pytanie brzmi, czy jest goły, bo szczeka, czy też szczeka, bo jest goły? – spytałem.

– Jestem głodny – oznajmił Śliniak, gdy jego umysł doznał przeciążenia.

– Biedny Tom jest zmarznięty i przeklęty – powiedział Tom między atakami szczekania.

Tym razem pierwszy raz zobaczyłem go czystego, w świetle dnia, i zdumiałem się. Bez warstwy błota wyglądał znajomo. Bardzo znajomo. Tom O'Bedlam był w istocie Edgarem z Gloucester, prawowitym synem hrabiego.

– Tom, czemu tu wyszedłeś?

– Ten stary rycerz Kajus rzekł, że biedny Tom musi stać na deszczu, aż będzie czysty i przestanie śmierdzieć.

– A czy powiedział, że masz szczekać i mówić o sobie samym w trzeciej osobie?

– Nie, to wymyśliłem sam.

– Chodź do środka. Pomóż Ślimakowi z tym starcem.

Tom pierwszy raz spojrział na Gloucestera, wytrzeszczył oczy i padł na kolana.

– Na okrucieństwo bogów – rzekł. – On jest ślepy.

Położyłem mu rękę na ramieniu i szepnąłem:

– Nie poddawaj się, Edgarze, ojcu trzeba twej pomocy.

W tym momencie jego oczy zalśniły, jakby powróciły zdrowe zmysły. Skinął głową i wstał, biorąc hrabiego za ramię. „Wariat ślepeca poprowadzi”.

– Pójdź, dobry panie – rzekł Edgar. – Tom jest szalony, ale pomoże obcemu w potrzebie.

– Pozwólcie mi umrzeć! – zawołał Gloucester, próbując odepchnąć Edgara. – Dajcie mi linę, bym zacisnął ją sobie na szyi, aż mój oddech ustanie.

– Ciągłe tak czyni – wyjaśniłem.

Otworzyłem drzwi, spodziewając się, że wewnątrz ujrzę Lira i Kenta, nora jednak okazała się pusta, a w palenisku dogasał żar.

– Tom, gdzie jest król?

– Ze swoim rycerzem ruszył do Dover.

– Beze mnie?

– Król był wściekły, że znowu wychodzi na burzę. To stary rycerz kazał ci powiedzieć, że pojechali do Dover.

– Już, już, wprowadź hrabiego do środka. – Usunąłem się na bok, by pozwolić Edgarowi zaciągnąć ojca do chaty. – Śliniaku, dorzuć drew do ognia. Możemy zostać tylko tak długo, by zjeść i się wysuszyć. Musimy ruszać za królem.

Śliniak przemknął przez drzwi i dostrzegł Jonesa, siedzącego na ławie przy ogniu, gdzie go zostawiłem.

– Jones! Mój przyjacielu – powiedział. Podniósł lalkę na patyku i przytulił ją. Nie do końca pojmował sztukę brzechomówstwa i choć mu tłumaczyłem, że Jones przemawia tylko przeze mnie, przywiązał się do lalki.

– Witaj, Śliniaku, wielki błaznie z trocinami w głowie. Odłóż mnie i dorzuć do ognia – powiedział Jones.

Śliniak zatknął sobie lalkę za pas i zaczął siekierą rąbać opał przy palenisku, podczas gdy ja dzieliłem chleb i ser, które dostaliśmy od Kurana. Edgar opatrzył oczy hrabiego najlepiej, jak umiał, starzec zaś uspokoił się na tyle, by zjeść kawałek sera i wypić trochę wina. Niestety, wino, a także z pewnością upływ krwi, przemieniły wycie i nieukojonny żal w duszną, czarną melancholię.

– Moja żona umarła, mając mnie za dziwkarza, ojciec uważał mnie za przeklętego, bo nie wyznawałem jego wiary, a obaj moi synowie to łotry. Myślałem, że Edmund odkupi nieprawę pochodzenie, będąc dobrym i szczerym, walcząc z niewiernymi na wyprawie krzyżowej, lecz to większy zdrajca niż jego brat z prawego łóża.

– Edgar nie jest zdrajcą – zwróciłem się do starca.

Słyszając te słowa, Edgar przyłożył palec do ust, dając mi znak, bym nie mówił nic więcej.

Skinąłem głową, by wiedział, że rozumiem jego wolę i nie zdradzę jego tożsamości. Jeśli o mnie chodziło, mógł być Tomem tak długo, jak chciał albo potrzebował, byle tylko włożył jakieś cholerne spodnie.

– Edgar zawsze był ci wierny, mój panie. Całą jego zdradę uknuł bękart Edmund. Jeden syn uczynił zło za dwóch. Edgar nie jest może najostrzejszą strzałą w kołczanie, lecz nie jest też zdrajcą.

Ten uniósł brwi.

– Nie dowiedziesz swojej inteligencji, dobry Tomie, siedząc nagi i zmarznięty, podczas gdy tuż obok masz ogień i koce, z których możesz zrobić sobie odzienie – rzekłem.

Podniósł się i podszedł do paleniska.

– Zatem to ja zdradziłem Edgara – powiedział Gloucester. – Och, bogowie zesłali na mnie nieszczęścia za me chwiejne serce. Posłałem dobrego syna na wygnanie, szczując go psami, i tylko robaki pozostały dziedzicami moich włości: tego oto słabego, ślepego ciała. O, jesteśmy jeno miękkimi workami śmiertelności, kołyszącymi się w wiadrze surowych zdarzeń. Wycieka z nas życie, aż zwiotczujemy i zapadniemy się we własną rozpacz. – Starzec machał rękami i walił się w czoło, wprowadzając się w gorączkowy nastrój, aż jego bandaże zaczęły się rozwijać. Śliniak podszedł i objął go rękami, by go uspokoić.

– W porządku, milordzie – powiedział. – Prawie wcale nie przeciekasz.

– Pozwólcie mi obrócić ten walący się dom w ruinę i gnić w wiecznym ziąbnie śmierci. Pozwólcie wyjść z tego śmiertelnego kręgu. Synowie zdradzeni, król obalony, moje dobra zajęte. Dajcie mi skończyć te męczarnie!

Naprawdę wygłaszał bardzo dobrą mowę. Wtem hrabia chwycił Jonesa i wyrwał go Śliniakowi zza pasa.

– Daj mi swój miecz, dobry rycerzu!

Edgar ruszył ku ojcu, by go powstrzymać, a ja wyciągnąłem rękę, by nie szedł dalej. Ruch mojej głowy wstrzymał interwencję Śliniaka.

Starzec wstał, przyłożył sobie kijek od Jonesa do klatki piersiowej, po czym padł przodem na klepisko. Z jego ciała dobyło się westchnienie i zarzęził z bólu. Moje wino grzało się w kubku przy ogniu. Chlusnąłem nim na pierś Gloucestera.

– Jestem ubity – wychrypiał hrabia, z trudem łapiąc oddech. – Krew życia ze mnie ucieka. Pochowajcie mnie na wzgórzu, z którego widać zamek Gloucester. I proście mego syna Edgara o wybaczenie. Skrzywdziłem go.

Edgar znowu chciał podejść do ojca, a ja go powstrzymałem. Śliniak trzymał dłoń na ustach, starając się nie roześmiać.

– Zimno mi, zimno, ale przynajmniej zabiorę swoje złe postęпки do grobu.

– Wiesz, milordzie – odezwałem się – zło trwa dłużej niż człowiek, a dobro jest często grzebane z jego kośćmi. Tak przynajmniej słyszałem.

– Edgarze, mój chłopcze, gdziekolwiek jest, wybac mi, wybac! – Starzec tarzał się po klepisku. Wydawał się nieco zdziwiony, gdy odpadł odeń miecz, na który jakoby się nadział. – Lirze, wybac mi, że nie służyłem ci lepiej!

– Popatrzcie – rzekłem. – Widać, jak czarna dusza uchodzi z jego ciała.

– Gdzie? – spytał Śliniak.

Palec, gorączkowo przyciśnięty do mych ust, uciszył naturalnego.

– O, wielkie sępy rwą duszę biednego Glouceстера na strzępy! O, dopadła go zemsta losu! Cierpi!

– Cierpię! – potwierdził hrabia.

– Trafi do najdalszych głębin Hadesu! I nigdy się stamtąd nie wydobędzie.

– Spadam w otchłań. Już nie dla mnie światło i ciepło.

– O, zabrała go zimna, samotna śmierć – rzekłem. – Za życia był istnym głównem, więc teraz będą go chędożyć miliardy diabłów o kolczastych kuśkach.

– Zimna, samotna śmierć ma mnie w swojej mocy – powiedział.

– Wcale nie – odparłem.

– Co?

– Nie umarłeś.

– Zatem wkrótce umrę. Upadłem na okrutne ostrze i życie umyka mi między palcami, mokre i lepkie.

– Upadłeś na lalkę – stwierdziłem.

– Nieprawda. To miecz. Wziąłem go od żołnierza.

– Wziąłeś lalkę na patyku od mego ucznia. Rzuciłeś się na lalkę.

– Kieszonko, ty szelmo, jesteś kłamcą, gotowym drwić z człeka, nawet gdy uchodzi zeń życie. Gdzie ten nagi szaleniec, który mi pomagał?

– Rzuciłeś się na lalkę – powiedział Edgar.

– Więc nie umarłem?

- Zgadza się – potwierdziłem.
- Rzuciłem się na lalkę?
- To właśnie mówię.
- Niegodziwiec z ciebie, Kieszonko.
- Jak się przeto czujesz, milordzie, skoro powróciłeś z martwych.

Starzec wstał i skosztował wina na swoich palcach.

- Lepiej – rzekł.
- Dobrze. Przedstawiam ci zatem Edgara z Gloucester, ongiś nagiego wariata, który powiedzie cię do Dover i twojego króla.

- Witaj, ojcze – powiedział Edgar.

Padli sobie w ramiona. Nastąpiły płacze, błagania o wybaczenie, obcałowywanie... Ogólnie wszystko to przyprawiało o mdłości. Minęła chwila bezgłośnego łkania dwóch mężczyzn, nim hrabia na nowo podjął swoje jęki.

- Oj, Edgarze, skrzywdziłem cię i żadne wybaczenie nie ulży mojej niedoli.

– Oj, do kurwy – rzekłem. – Chodź, Śliniaku, znajźmy Lira, a potem jazda do Dover i schronienia pieprzonych Francuzów.

- Ale burza nie ucichła – wtrącił Edgar.

– Wędruję w tej burzy już od kilku dni. Jestem bardziej zmarznięty i przemoczony niż kiedykolwiek, lada chwila dopadnie mnie gorączka i zdławi me delikatne ciało skwarem, ale na jajca Safony, ani godziny nie chcę już słuchać ślepego starego szaleńca, który biadoli o swoich występkach, gdy zostało jeszcze do uczynienia tyle zła. *Carpe diem*, Edgarze. *Carpe diem*.

- Ryba dnia? – spytał prawowity dziedzic hrabstwa Gloucester.

– Tak, właśnie. Przyzywam cholerną rybę dnia, głąbie. Już wołałem, jak żarłeś żaby, widziałeś demony i tak dalej. Śliniaku, zostaw im połowę stawy i ubierz się jak najcieplej. Ruszamy na poszukiwanie króla. Do zobaczenia w Dover.

AKT IV

„Czym są muchy dla psotnych chłopców,
tym ludzie dla bogów. Gnębią nas dla zabawki”.

Gloucester, *Król Lir*, Akt IV, scena 1

MAŁA ŚLICZNOTKA

Śliniak i ja cały dzień wleliśmy się przez zimny deszcz, przez góry i doliny, przez pustkowie, gdzie drogi nie były niczym więcej niż błotnistymi koleinami. Śliniak zachowywał się wyjątkowo rześko, zwłaszcza zważywszy na mroczne występkę, przed którymi właśnie umknął, ale pogodne usposobienie to błogosławieństwo głupców. Podśpiewywał i rozchlapywał wesoło kałuże. Nosilem ciężkie piętno rozumu i świadomości, więc uznałem, że smutek i nostalgia lepiej pasują do mojego nastroju. Żałowałem, że nie ukradłem koni, nie nabyłem ubrań z impregnowanej skóry, nie znalazłem krzesiwa i hubki, a także nie zamordowałem Edmunda, zanim wyruszyliśmy. To ostatnie między innymi dlatego, że nie mogłem jechać na ramionach Śliniaka, bo wciąż bolały go plecy, które obił Edmund. Łajdak jeden.

Tutaj powinienem zaznaczyć, że po kilku dniach na łasce żywiołów, pierwszych od czasu Belette'a i wędrowniej trupy, stwierdziłem, że jestem jednak błaznem ściśle nadwornym.

Moje szczupłe ciało kiepsko znosi ziąb, a i z wodą nie radzi sobie wiele lepiej. Chyba za bardzo nasiąkam, by być błaznem nadwornym. Na zimnie mój śpiewny głos staje się chrapliwy, me figle i żarty tracą subtelność, rzucając na wiatr, a niemiły chłód spowalnia mi mięśnie, nienawykłe do burzy, przystosowane raczej do ciepła kominka i puchowego łoża. O, ciepłe wino, ciepłe serce, ciepła dziewczka, gdzieście się podziały? Nieszczęsny, zmarznięty Kieszonka, niby przemoczony, zabiedzony szczur.

Jechaliśmy całymi milami w ciemności, zanim poczuliśmy na wietrze pachnący mięsem dym i dojrzeliliśmy w oddali pomarańczowy blask zza okna przykrytego skórą.

– Spójrz, Kieszonko, dom – powiedział Śliniak. – Posiedzimy przy ogniu, może nawet zjemy ciepłą kolację.

- Nie mamy pieniędzy, chłopie, ani nic na wymianę.
- Za kolację zapłacimy żartem, tak jak już kiedyś czyniliśmy.
- Nie umiem wymyślić nic zabawnego, Śliniaku. Akrobacje nie wchodzą w grę, palce mam zbyt sztywne, by obsłużyć sznurek sterujący Jonesem, i jestem zbyt zmęczony nawet na opowiadanie prostych historii.
- Możemy ich zwyczajnie poprosić. Może będą dla nas mili.
- To kupa cholernych bredni, nie?
- A może – upierał się przygłup. – Bańka dała mi kiedyś placek i nie musiałem nawet się wygłupiać. Po prostu mi go dała, z dobroci serca.
- Dobrze. Dobrze. Odwołamy się do ich dobroci, ale jeśli to zawiedzie, przygotuj się, by zgruchotać im czaszki i zabrać kolację siłą.
- A co, jeśli będzie ich siła? Nie pomożesz?
- Wzruszyłem ramionami i wskazałem swą wiotką sylwetkę.
- Jestem mały i zdrożony, chłopie. Mały i zdrożony. Skoro jestem zbyt słaby na spektakl lalkowy, to gruchotanie czaszek musi siłą rzeczy spaść na ciebie. Znajdź mocne bierwiono. Tam jest sterta drewna.
- Nie chcę gruchotać żadnych czaszek – odparł uparty dureń.
- Świetnie, weź przeto jeden z moich sztyletów. – Podałem mu nóż. – Dziabnij każdego, kto na to zasłuży.
- W tej chwili drzwi otworzyły się i wyłoniła się z nich jakaś pomarszczona postać z lampą w ręce.
- Kto idzie?
- Wybacz, panie – powiedział Śliniak. – Zastanawialiśmy się, czy zasłużył pan tego wieczoru na porządne sztyletowanie.
- Oddaj mi to. – Zabrałem mu sztylet i schowałem go do pochwy na krzyżu.
- Wybacz, waćpan, naturalny żartuje poza kolejnością. Szukamy schronienia przed burzą, a może także gorącej strawy. Mamy jeno chleb i trochę sera, ale podzielimy się w zamian za dach nad głową.
- Jesteśmy błaznami – dodał Śliniak.
- Zamilcz, Śliniaku, wszak widzi to po mym stroju i twym pustym spojrzeniu.
- Wejdz, Kieszonko z Dog Snogging – powiedziała pochylona postać. – Uważaj na głowę, przechodząc przez drzwi, Śliniaku.
- Padamy z nóg – rzekłem, przepychając Śliniaka przez drzwi przed sobą.

Były sobie wiedźmy trzy. Pietruszka, Szałwia i Rozmaryn. O nie, nie w wielkim lesie Birnam, gdzie przebywają na ogół, gdzie można by się spodziewać spotkania z nimi, ale tutaj, w ciepłej chacie przy drodze między wioskami Tossing Sod i Bongwater Crash w Gloucestershire. Może to dom na kurzej łapce? Podobno wiedźmy boją się takich budowli.

– Wziąłem cię za starca, ale jesteś staruszką – powiedział Śliniak do czarownicy, która nas wpuściła. – Wybacz.

– Bez dowodów, proszę – rzekłem, obawiając się, że jedna z wiedźm zechce unieść spódnicę dla potwierdzenia swej płci. – Ostatnio i tak wiele przeszedł.

– Może zupy? – odezwała się Szałwia, ta z brodawkami. Nad ogniem wisiał niewielki kociołek.

– Widziałem, co wkładacie do tej zupy.

– *Zupę, zupę, daję słowo* – odparła wysoka czarownica, Pietruszka.

– Tak, poproszę – powiedział Śliniak.

– To nie zupa – rzekłem. – Tak ją nazywają, bo im pasuje do wierszyka, ale to nie zupa.

– Nie, to zupa – wtrąciła Rozmaryn. – Wołowina, marchew i tak dalej.

– Obawiam się, że tak.

– Nie ma kawałków skrzydła nietoperza, oka zbereźnika, trzustki traszki i innych takich?

– Parę cebul – odparła Pietruszka.

– I to wszystko? Żadnych magicznych mocy? Żadnych zjaw? Klątwy? Pojawiacie się tutaj ni stąd, ni zowąd, na tym odludziu... nie, na samej krawędzi gaci na dupie odludzia... i chcecie tylko ogrzać i nakarmić naturalnego i mnie?

– Ano, z grubsza – powiedziała Rozmaryn.

– Czemu?

– Nie mogliśmy wymyślić żadnego rymu do cebuli – wyjaśniła Szałwia.

– Miałyśmy dosyć zaklęć, kiedy pojawiła się cebula – dodała Pietruszka.

– Prawdę mówiąc, wołowina postawiła nas pod ścianą, prawda? – odezwała się Rozmaryn.

– Tak, chyba mogłaby być „drobina” – myślała na głos Szałwia, kierując zdrowe oko na sklepienie. – I „pierzyna”, chociaż ściśle rzecz biorąc, to nie są dokładne rymy.

– Właśnie – przytaknęła Pietruszka. – Nie wiadomo, jaką podejrzaną zjawę przyzwałyby takie rymy. „Drobina”. „Pierzyna”. Żałosne i tyle.

– Poproszę zupy – powiedział Śliniak.

Pozwoliłem, by staruchy nas nakarmiły. Zupa była gorąca, gęsta i na szczęście pozbawiona kawałków płazów czy trupów. Połamaliśmy resztkę chleba, który dostaliśmy od Kurana i podzieliliśmy się z wiedźmami, a one wyciągnęły dzban wzmacnianego wina i nalały dla wszystkich. Rozgrzewało zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Pierwszy raz od – jak mi zdawało – wielu dni miałem suche ubranie i buty.

– Zatem wszystko idzie dobrze? – spytała Szałwia, gdy każdy wypił już kilka kubków wina.

Na palcach wyliczyłem nasze nieszczęścia:

– Lir pozbawiony rycerzy, wojna domowa między jego córkami, inwazja francuska, książę Kornwalii zamordowany, hrabia Gloucester oślepiiony, ale znów połączony z synem, który jest zupełnym wariatem, siostry zakłete i zakochane w bękarcie Edmundzie...

– Porządnie je wychędożyłem – dodał Śliniak.

– Tak, Śliniak gził się z nimi, aż obie ledwie chodziły, i jeszcze, pomyślmy, Lir wędruje przez wrzosowiska, by znaleźć schronienie u Francuzów w Dover. – Dwie garście wydarzeń.

– Więc Lir cierpi? – spytała Pietruszka.

– Bardzo – odparłem. – Nic mu nie zostało. Spadł z dużej wysokości, był królem, a został wędrownym żebrakiem, gryzionym od środka przez żal za dawno popełnione występki.

– Współczujesz mu zatem, Kieszonko? – spytała Rozmaryn, zielonkawa wiedźma z kocimi pazurami u nóg.

– Ocalił mnie od okrutnego pana i dał zamieszkać w swoim zamku. Trudno żywić nienawiść, gdy ma się pełny żołądek i ciepło z paleniska.

– Słusznie – powiedziała Rozmaryn. – Napij się jeszcze wina.

Nalała ciemnej cieczy do mojego kubka. Pociągnąłem. Smakowało mocniej i cieplej niż przedtem.

– Mamy dla ciebie podarek, Kieszonko. – Rozmaryn wyjęła zza pleców małe, skórzane pudełko, po czym je otworzyła. W środku znajdowały się cztery maleńkie kamienne fiołki, dwie czerwone i dwie czarne. – Przydadzą ci się.

– Co to takiego? – Wzrok zaczął zachodzić mi mgłą. Słyszałem głosy wiedźm, chrapanie Śliniaka, dźwięki zdawały się jednak odległe, jakby dobiegały z głębi tunelu.

– Trucizna – powiedziała czarownica.

Nic więcej już nie słyszałem. Chata zniknęła, a ja odkryłem, że siedzę na drzewie obok cichej rzeki i kamiennego mostu. Była jesień, co poznałem po żółknących liściach. Poniżej dziewczyna, może szesnastoletnia, robiła pranie w wiadrze nad brzegiem rzeki. Była drobna i oceniając po wzroście, uznałbym ją za dziecko, kształty jednak miała kobiece, o doskonałych proporcjach, tyle że nieco mniejsze niż u większości.

Dziewczyna podniosła wzrok, jakby coś usłyszała. Podążyłem za jej spojrzeniem wzdłuż drogi i ujrzałem kolumnę konnych żołnierzy. Na czele jechali dwaj rycerze, a za nimi z tuzin innych. Przejechali pod moim dębem i zatrzymali wierzchowce na moście.

– Spójrz – powiedział cięższy z dwóch rycerzy, ruchem głowy wskazując dziewczynę. Słyszałem jego głos tak wyraźnie, jakby rozbrzmiewał w mojej głowie. – Jaka mała ślicznotka.

– Bierzmy ją – odrzekł drugi.

Od razu poznałem ten głos i od razu spojrzałem na jego twarz. Lir, młodszy, silniejszy, jeszcze nie posiwiasty, ale bez wątpienia Lir. Orli nos, kryształowe, niebieskie oczy. To był on.

– Nie – powiedział ten młodszy. – Musimy dotrzeć do Yorku przed zmierzchem. Nie mamy czasu na szukanie gospody.

– Pójdź tu, dziewczę! – zawołał Lir.

Dziewczyna ruszyła brzegiem rzeki ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Tutaj! – warknął Lir. Dziewczyna pobiegła przez most, aż znalazła się ledwie kilka stóp od niego.

– Wiesz, kim jestem, dziewko?

– Szlachcicem, panie.

– Szlachcicem? Jam jest twój król. Jam jest Lir.

Padła na kolana i wstrzymała oddech.

– To jest Kanus, książę Yorku, książę Walii, syn króla Balduda, brat króla Lira, który cię weźmie.

– Nie, Lirze – sprzeciwił się brat. – To szaleństwo.

Dziewczyna się trzęsła.

– Jesteś bratem króla, przeto możesz mieć, kogo zechcesz i kiedy tylko zechcesz – powiedział Lir. Zsiadł z konia. – Wstań, dziewczko.

Wstała, ale sztywno, jakby gotowała się na cios. Lir ujął dłonią jej podbródek i uniósł.

– Ładna jesteś. Ładna jest, Kanusie, i moja. Daję ją tobie. Oczy królewskiego brata były szeroko otwarte i widniało w nich łaknienie, lecz rzekł:

– Nie mamy czasu...

– Już! – zagrział Lir. – Masz ją wziąć!

Z tymi słowami chwycił przód sukienki dziewczęcia i ją rozdarł, odsłaniając piersi. Gdy próbowała je zasłonić, odciągnął jej rękę. Potem trzymał ją i wykrzykiwał rozkazy, gdy jego brat gwałcił ją na szerokiej kamiennej balustradzie mostu. Gdy Kanus skończył i padł bez tchu między jej nogami, Lir odepchnął go na bok, uniósł dziewczynę za talię i pchnął do rzeki.

– Umyj się! – krzyknął. Potem poklepał brata po ramieniu. – Proszę, nie będzie cię dziś dręczyła we śnie. Wszyscy poddani to własność króla i mogę ich darować, komu zechcę, Kanusie. Możesz mieć każdą kobietę, której zapragniesz, oprócz jednej.

Dosiedli koni i odjechali. Lir nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, czy dziewczyna umie pływać.

Nie mogłem się ruszyć, nie mogłem krzyknąć. Przez cały czas napaści na dziewczynę czułem się jak przywiązany do drzewa. Teraz patrzyłem, jak wypelza naga z rzeki, ciągnąc za sobą strzępy ubrania. Skuliła się na brzegu i zaszlochała.

Nagle zostałem porwany z dębu, niczym piórko na wietrze, i opadłem na dach piętrowego domu w jakiejś wiosce. Był dzień targowy i wszyscy wyszli z domów. Chodzili od wozu do wozu, od stołu do stołu, targowali się o mięso i warzywa, garnki i narzędzia.

Ulicą szła, potykając się, dziewczyna, mała ślicznotka, może szesnasto- czy siedemnastoletnia, z maleńkim dzieckiem w ramionach. Zatrzymywała się przy każdym straganie i pokazywała dziecko, a wieśniacy zbywali ją rubasznym śmiechem i odsyłali do następnego straganu.

- Jest księciem – mówiła. – Jego ojciec był księciem.
- Odejdź, dziewczyno. Oszalałaś. Nic dziwnego, że nikt cię nie chce, zdziro.
- Ale on jest księciem.
- Wygląda raczej na przytopione szczenię, dziewczko. Będziesz miała szczęście, jeśli przeżyje tydzień.

Od jednego krańca wioski po drugi, wszędzie ją wyśmiewano i besztano. Pewna kobieta, najpewniej matka dziewczyny, odwróciła się i skryła ze wstydu twarz.

Unosiłem się w górze, gdy dziewczyna pobiegła na skraj miejsciny, przemknęła przez most, na którym ją zgwałcono, i pognęła do skupiska kamiennych budynków, nad którymi górowała strzelista iglica. Kościół. Podeszła do szerokich, podwójnych drzwi, gdzie położyła dziecko na stopniach. Poznałem te drzwi, widziałem je tysiące razy. Było to wejście do opactwa w Dog Snogging. Dziewczyna odbiegła, a ja patrzyłem, jak kilka minut później drzwi otwierają się i zakonnica o szerokich ramionach pochyła się, by podnieść maleńkie, rozwrzeszczane niemowlę. Znalazła je matka Bazylia.

Nagle znowu znalazłem się nad rzeką, a dziewczyna, ta mała ślicznotka, stanęła na szerokiej, kamiennej balustradzie mostu, przeżegnała się i skoczyła. Zielona woda zamknęła się nad nią.

Moja matka.

Gdy się obudziłem, wiedźmy zgromadziły się nade mną, jakbym był pysznym ciastem, dopiero wyciągnięty z pieca, pośród łakomych smakoszy.

- A zatem jesteś bękartem – odezwała się Pietruszka.
- I sierotą – dodała Szalwia.
- Jednym i drugim – powiedziała Rozmaryn.
- Zaskoczony? – spytała Pietruszka.
- Lir to nie do końca miły staruszek, za jakiego go miałeś, co?
- Jesteś bękartem z królewskiego rodu.

Lekko się zakrztusiłem w reakcji na zbiorowy oddech wiedźm i usiadłem.

- Cofnijcie się, ohydne stare ścierwa!

– Cóż, ściśle rzecz biorąc, tylko Rozmaryn jest ścierwem – powiedziała ta wysoka, Pietruszka.

– Odurzyłyście mnie i wsadziliście mi do głowy tę koszmarną wizję.

– Ano, odurzyliśmy cię. Lecz patrzyłeś jeno przez okno w przeszłość. Widziałeś tylko to, co się stało.

– Zobaczyłeś swoją kochaną mamusię, prawda? – powiedziała Rozmaryn. – Jak uroczo.

– Kazałyście mi patrzeć, jak ją gwałcą i doprowadzają do samobójstwa, szalone wiedźmy.

– Musiałeś wiedzieć, mały Kieszonko, zanim udasz się do Dover.

– Dover? Nie jadę do Dover. Nie mam ochoty widzieć Lira. – Gdy wypowiadałem te słowa, poczułem dreszcz strachu, prześlizgujący mi po plecach niczym czubek włóczni. Bez Lira nie byłem już błaznem. Nie miałem celu. Nie miałem domu. A jednak po tym, co zrobił, musiałem znaleźć jakiś inny sposób na życie. – Mogę wynajmować Śliniaka do orania pól, noszenia bel wełny i tak dalej. Damy sobie radę.

– Może on chce jechać do Dover.

Popatrzyłem na Śliniaka, który, jak sądziłem, dalej spał przy ogniu, ale zobaczyłem, że tam siedzi i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby coś go przestraszyło i zapomniał języka w gębie.

– Chyba nie dałyście mu tego samego eliksiru, co mnie, prawda?

– Był w winie – odparła Szałwia.

Podszedłem do naturalnego i objąłem go, na ile mogłem sięgnąć.

– Śliniaku, chłopie, nic ci nie jest. – Wiedziałem, jaki sam byłem wstrząśnięty, mimo doskonalszego umysłu i znajomości świata. Biedny Śliniak musiał być przerażony. – Co mu pokazałyście, wredne jędze?

– Ujrzał okno w przeszłość, tak jak ty.

Przygłup podniósł wzrok.

– Wychowały mnie wilki – rzekł.

– Teraz nic się nie da zrobić, chłopie. Nie smuć się. W przeszłości każdego jest coś, o czym lepiej nie pamiętać. – Zgromiłem wiedźmy wzrokiem.

– Nie smuć się – odparł, wstając. Musiał się zgarbić, by nie uderzyć głową o belki pod dachem. – Brat mnie skubał, bo nie miałem sierści, ale on nie miał rąk, więc rzuciłem nim o drzewo i już nie wstał.

– Ale jesteś żalonym durniem – powiedziałem. – Nie można cię winić.

– Moja mama miała tylko osiem sutków, ale potem zostało nas tylko siedmioro, więc miałem dwa. Było bardzo pięknie.

Nie wydawał się szczególnie poruszony całym tym doświadczeniem.

– Powiedz, Śliniaku, zawsze wiedziałeś, że wychowały cię wilki?

– Ano. Chcę teraz wyjść i wysikać się na drzewo. Pójdiesz ze mną?

– Nie, idź, mój drogi, zostanę tu i pokrzyczę na staruszki. – Kiedy poszedł, znowu się do nich odwróciłem. – Mam dosyć wypełniania waszej woli. Nie wiem, jaką politykę tu uknułyście, ale nie chcę brać w niej udziału.

Wiedźmy roześmiały się chórem, potem zaczęły kaszleć, a w końcu Rozmaryn, ta zielonkawa, zwilżyła gardło łykiem wina.

– Nie, to nic tak brudnego jak polityka, chodzi o czystą, prostą zemstę. Polityka i sukcesja nie obchodzą nas bardziej niż cipa łasicy.

– Ale jesteście wcielonym złem, i to potrójnym, prawda? – powiedziałem z szacunkiem. Należało im oddać sprawiedliwość.

– Zło to nasz fach, lecz nie taki mroczny jak polityka. Lepiej roztrzaskać główkę niemowlęcia o cegły niż gotować się w tym tandetnym kotle.

– Ano – odezwała się Szałwia. – Ktoś chce śniadanie? – Mieszała coś w kotle. Przypuszczałem, że to resztki halucynogennej zupy z poprzedniego wieczoru.

– A zatem zemsta. Nie mam już na nią chęci.

– Nawet na zemstę na bękarcie Edmundzie?

Edmund? Ileż cierpienia spowodował ten szubrawiec, a jednak... gdybym miał go już więcej nie widzieć, czyż nie mogłem zapomnieć o szkodach, które wyrządził?

– Edmunda spotka to, na co zasłużył – rzekłem, nie wierząc w to ani przez chwilę.

– A na Lirze?

Byłem zły na starca, ale jaką zemstę mogłem na nim teraz wyrzucić? Stracił wszystko. A ja zawsze wiedziałem, że to okrutnik, lecz dopóki jego okrucieństwo nie dosięgało mnie, dopóty byłem na niego ślepy.

– Nie, nawet nie na Lirze.

– Dobrze więc, dokąd pójdiesz? – spytała Szałwia. Wyciągnęła z kotła chochlę z parującą ciecżą i podmuchała.

– Zabiorę naturalnego do Walii. Możemy chodzić od zamku do zamku, aż ktoś nas przyjmie.

– Więc nie spotkasz się z królową Francji w Dover?

– Kordelia? Myślałem, że w Dover przebywa cholerny chędożony żabi król Jeff.

Jest z nim Kordelia?

Jędze zarechotały.

– O nie, król Jeff jest w Burgundii. Siłami francuskimi w Dover dowodzi królowa Kordelia.

– Do licha – rzekłem.

– Lepiej zabierz te trucizny, które ci przyrządziłyśmy – poradziła Rozmaryn. –
Noś je zawsze przy sobie. Potrzeba, by ich użyć, sama się pojawi.

NA BIAŁYCH URWISKACH

DAWNO TEMU...

Kieszonko – powiedziała Kordelia – słyszałeś kiedyś o tej wojowniczej królowej imieniem Boudika? – Miała wtedy mniej więcej piętnaście lat i posłała po mnie, bo pragnęła rozprawić o polityce. Leżała na łóżku, otworzywszy przed sobą duży, oprawny w skórę tom.

– Nie, złotko, czyją była królową?

– Pogańskich Brytów. Naszą. – Lir niedawno nawrócił się z powrotem na pogańskie wierzenia, tym samym otwierając przed Kordelią zupełnie nowy świat, który mogła poznać.

– A, to wszystko wyjaśnia. Kształcono mnie w klasztorze, kochana, mam więc bardzo płytką wiedzę o pogańskich obyczajach, choć muszę przyznać, że ich święta są wspaniałe. Szalone chędożenie po pijanemu w kwietnych wieńcach na szyi zdaje mi się znacznie lepsze od mszy o północy i samobiczowania, choć z drugiej strony jestem jeno błaznem.

– Cóż, tu napisano, że po inwazji rzymskich legionów obila im dupska na kolorowo.

– Naprawdę tak piszą, „dupska na kolorowo”?

– Parafrazuję. Jak myślisz, dlaczego nie mamy już wojowniczych królowych?

– Cóż, złotko, wojna wymaga szybkich i zdecydowanych działań.

– Mówisz, że kobieta nie umie postępować szybko i zdecydowanie?

– Nic takiego nie mówię. Może działać wartko i sprawnie, lecz dopiero wybrawszy odpowiednie odzienie i buty, i w tym właśnie leży zguba każdej potencjalnej wojowniczej królowej, jak sędzę.

– Oj, brednie!

– Dam głowę, że twoja Boudika żyła przed wynalezieniem ubrań. To były łatwe czasy dla wojowniczych królowych. Wystarczyło podciągnąć cycki i już można było ścinać głowy. A teraz, cóż, śmiem twierdzić, że erozja zdąży ogarnąć kraj, nim większość kobiet zdoła wybrać strój bojowy.

– Większość kobiet. Ale nie ja?

– Oczywiście, że nie ty, złotko. One. Miałem na myśli jeno zdziry o słabej woli, takie jak twoje siostry.

– Kieszonko, myślę, że zostanę wojowniczą królową.

– Czego, królewskiego zwierzyńca w Boffingshire?

– Zobaczysz. Całe niebo pociemnieje od dymu, gdy moje armie wzniecą ogień, ziemia zatrzęsie się pod kopytami koni, a królowie będą klękali przed murami miast z koronami w rękach, błagając, by się poddać, zamiast odczuć gniew królowej Kordelii, spadający na ich lud. Ale będę łaskawa.

– To chyba oczywiste, prawda?

– Ty zaś, błaznie, nie będziesz mógł się już zachowywać jak ostatnie gówno.

– Groza i drzenie, kochanie, tylko tyle we mnie wywołasz. Groza i cholerne drzenie.

– Ważne, że się rozumiemy.

– Zatem wygląda na to, że chcesz podbić coś więcej niż tylko zwierzyńiec?

– Europę – odparła księżniczka, jakby chodziło o oczywistą prawdę.

– Europę? – powtórzyłem.

– Na początek – powiedziała.

– Zatem powinnaś ruszać, prawda?

– Chyba tak – odrzekła z szerokim, głupawym uśmiechem. – Drogi Kieszonko, pomożesz mi wybrać strój?

– Zajęła już Normandię, Bretanię i Akwitanie – powiedział Edgar. – A Belgia sra ze strachu na dźwięk jej imienia.

– Kordelia umie wszcząć wielką awanturę, kiedy się na coś uprze – rzekłem. Uśmiechnąłem się na myśl, jak wykrzykuje rozkazy do żołnierzy, tryskając z ust

wściekłością i ogniem, ale ze śmiechem w kryształowo-niebieskich oczach. Tęskniłem za nią.

– O, zdradziłem jej miłość i zraniłem słodkie serce upartą dumą – odezwał się Lir, który wydawał się bardziej szalony i słabszy, niż gdy go ostatnio widziałem.

– Gdzie Kent? – spytałem Edgara, ignorując starego króla. Śliniak i ja znaleźliśmy ich nad klifem w Dover. Wszyscy siedzieli oparci plecami o wielki, kredowy głaz: Gloucester, Edgar i Lir. Gloucester chrapał cicho, złożony głowę na ramieniu Edgara. Widzieliśmy dym z obozowiska Francuzów najwyżej o dwie mile od nas.

– Pojechał do Kordelii poprosić o przyjęcie ojca do obozu.

– Dlaczego sam nie pojechałeś? – spytałem Lira.

– Boję się – odrzekł.

Ukrył głowę w zgięciu łokcia, niczym ptak, próbujący zasłonić się skrzydłem przed światłem dnia.

Nie wyglądało to, jak powinno. Chciałem, by był silny, uparty, pełen arogancji i okrucieństwa. Pragnąłem widzieć w nim te cechy, które były w pełnym rozkwicie, gdy wiele lat temu rzucał moją matkę na kamienie. Miałem ochotę na niego krzyknąć, upokorzyć go, zranić do żywego i patrzeć, jak pełza we własnym gównie, ciągnąc za sobą po ziemi swoją przeklętą dumę i flaki. Na tej drżącej skorupie Lira nie dało się dopełnić zemsty.

Nie chciałem żadnej jej części.

– Zdrzemnę się między tymi skałami – rzekłem. – Śliniaku, trzymaj wartę. Obudź mnie, kiedy wróci Kent.

– Dobrze, Kieszonko. – Przeszedł na przeciwległą stronę głazu Edgara, usiadł i zaczął patrzeć na morze. Gdyby miał nas zaatakować okręt, nie damy się zaskoczyć.

Położyłem się i przespałem może z godzinę, nim za mną rozległy się krzyki. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Edgara, który trzymał za głowę swojego ojca, stojącego na kamieniu, może o stopę nad ziemią.

– Jesteśmy na krawędzi?

– Ano, na plaży w dole widać rybaków, którzy wyglądają jak myszy. Psy przypominają mrówki.

– A jak wyglądają konie? – spytał Gloucester.

– Nie ma koni. Tylko rybacy i psy. Nie słyszysz łoskotu morza?

– Tak. Tak, słyszę. Żegnaj, Edgarze, mój synu. Bogowie, czyńcie swoją wolę! – Z tymi słowami starzec zeskoczył ze skały, spodziewając się, że runie setki stóp w dół, na spotkanie śmierci, i był dość zaskoczony, gdy w jednej chwili znalazł się na ziemi.

– O mój Boże! O mój Boże! – zawołał Edgar, starając się używać innego głosu, zupełnie bez powodzenia. – Panie, spadłeś z klifów powyżej.

– Doprawdy? – spytał Gloucester.

– Tak, panie, nie widzisz?

– Nie, głupcze, oczy mam zabandażowane i krwawe. Czy ty nie widzisz?

– Wybacz. Widziałem, jak spadasz z dużej wysokości i lądujesz tak miękko, jakbyś był piórkiem.

– Zatem już nie żyję – stwierdził Gloucester. Opadł na kolana i zdawało się, że traci oddech. – Umarłem, a jednak wciąż cierpię, czuję wyraźny żal, a oczy mnie bołą, choć już ich nie ma.

– To dlatego że cię nabiera – rzekłem.

– Co? – spytał Gloucester.

– Cii – syknął Edgar. – To szalony żebrak, nie zważaj na niego, dobry panie.

– Dobrze, więc nie żyjesz. Ciesz się – rzekłem. Położyłem się z powrotem na ziemi, poza zasięgiem wiatru, i naciągnąłem błazeńską czapkę na oczy.

– Chodź, chodź, usiądź przy mnie – zaproponował Lir. Usiadłem i patrzyłem, jak Lir prowadzi ślepcę do schronienia za wielkimi głazami. – Niech okrucieństwa tego świata ześlizną się po naszych pochyłonych grzbietach, przyjacielu. – Objął Gloucester ramieniem i trzymał go, przemawiając do nieba.

– Mój królu – powiedział hrabia. – Jestem bezpieczny na twej łasce. Mego króla.

– Tak, króla. Ale nie mam żołnierzy, nie mam ziem. Żaden poddany nie drży przede mną, nie czekają służby, i nawet twój bękart potraktował cię lepiej niż moje własne córki.

– Oj, do kurwy – rzekłem.

Widziałem jednak, że ślepy starzec się uśmiecha i mimo całego cierpienia znalazł pociechę u króla, swego przyjaciela, bez wątplenia ślepy na jego łotrowskie usposobienie na długo zanim książę Kornwalii i Regana wyłupili mu oczy. Zaślepiiony lojalnością. Tytułem. Tandetnym patriotyzmem i fałszywą prawością. Kochał swojego szalonego króla mordercę. Położyłem się z powrotem, by posłuchać.

– Pozwól ucałować swą dłoń – powiedział Gloucester.

– Najpierw ją wytrę – odparł Lir. – Cuchnie śmiercią.

– Już nic nie czuję ani nie widzę. Nie jestem godzien.

– Oszalałeś? Ujrzyj swoimi uszami. Nigdy nie widziałeś, jak pies chłopa szczeka na żebraka i go przegania? Czy ten pies to głos władzy? Czy jest lepszy od tłumów, nie zważając na jego głód? Czy prawy jest szeryf, który chłoszcze dziwkę, jeśli karze ją ze swej chuci? Ujrzyj, Gloucesterze. Widzisz, kto jest godzien? Jesteśmy teraz odarci ze zbytku. Drobne wady wyłaniają się spod postrzępionych ubrań, podczas gdy futra i wykwintne szaty ukryją wszystko. Gdy pokryjesz grzech złotem, to złamie się o nie mocna włócznia sprawiedliwości. Błogosławionys, że nie widzisz, bo nie zobaczysz, jaki jestem straszny.

– Nie – odezwał się Edgar. – Twoja zuchwałość bierze się z szaleństwa. Nie płacz, dobry królu.

– Nie płacz? Płaczemy, gdy pierwszy raz poczujemy woń powietrza. Krzyczymy, rodząc się, dlatego że wchodzimy na tę wielką scenę błazeństw.

– Nie, jeszcze wszystko będzie dobrze i...

Rozległ się łoskot, potem jeszcze jeden i wycie.

– Giń, ślepy krecie! – zabrzmiał znajomy głos.

Usiadłem w samą porę, by ujrzeć Oswalda, stojącego nad Gloucesterem, z zakrwawionym kamieniem w jednej dłoni i mieczem, którym przeszył pierś starego hrabiego, w drugiej.

– Nie będziesz już szkodził sprawie mojej pani.

Obrócił ostrze i z ciała starca popłynęła krew, nie wydał jednak żadnego dźwięku. Był martwy. Oswald wyszarpnął broń i kopnął ciało hrabiego na kolana Lira, który skulił się pod głazem. Edgar leżał bez zmysłów u stóp Oswalda. Łajdak cofnął się, jakby chciał wrazić klingę w plecy Edgara.

– Oswaldzie! – krzyknąłem.

Stanąłem za głazami i wyciągnąłem sztylet do rzucania z pochwy na plecach. Padalec odwrócił się do mnie i uniósł ostrze. Upuścił skrwawiony kamień, którym roztrzaskał głowę Edgara.

– Mielśmy umowę – rzekłem. – I dalsze zabijanie moich towarzyszy sprawi, że zwątpię w twoją szczerość.

– Odczep się, błaznie. Nie mamy żadnej umowy. Jesteś kłamliwym kundlem.

– *Moi?* – spytałem w doskonałym pieprzonym francuskim. – Mogę oddać ci serce twej pani, i to bez patroszenia i zmuszania cię, byś chędożył zwłoki.

– Nie masz takiej mocy. Nie zakłajesz też serca Regany. To ona przysłała mnie tutaj, bym zabił tego ślepego zdrajcę, który obraca umysły przeciwko naszym siłom. I bym doręczył to. – Wyciągnął spod kamizelki zapieczętowany list.

– List żelazny, dający ci w imieniu księżnej Kornwalii pozwolenie, byś był ostatnią cipą?

– Tępy jest twój dowcip, błaznie. To list miłosny do Edmunda z Gloucester. Wyruszył tu z oddziałem zwiadowczym, by ocenić siłę Francuzów.

– Mój dowcip tępy? Mój dowcip tępy?

– Tak. Tępy – powtórzył. – A teraz *en garde* – powiedział w dość marnym pieprzonym francuskim.

– Tak – rzekłem, teatralnie kiwając głową. – Tak.

I wtedy Oswald poczuł na gardle czyjś uchwyt, po czym ów ktoś grzmotnął nim kilkakrotnie o głazy, co uwolniło go od miecza, sztyletu, listu miłosnego i sakiewki z monetami. Śliniak uniósł go następnie i zaczął ścisnąć jego gardło, powoli, ale stanowczo, sprawiając, że z ust tamtego dobył się bulgot.

Powiedziałem:

*Choć mój ostry dowcip nie zaszkodził ci,
W uścisku przygłupa dokonasz swych dni.
Choć w naszej dyskusji zwyciężyłem ja,
Teraz was zostawię, niech zabawa trwa.*

Oswald wydawał się zaskoczony obrotem spraw, do tego stopnia, że oczy i język wyłaziły z jego twarzy w bardzo niezdrowy sposób. Zaczął wydzielać najróżniejsze płyny i Śliniak musiał go od siebie odsunąć, by się nie pobrudzić.

– Rzuć go – powiedział Lir, wciąż kulący się przy głazach.

Śliniak zerknął na mnie, a ja leciutko pokręciłem głową.

– Giń, ty borsukojebco, mało chędożona – rzekłem.

Gdy Oswald przestał wierzgać i jedynie już wisiał i ociekał płynami, skinąłem głową swojemu uczniowi, który cisnął ciało za urwisko z taką łatwością, jakby to był ogryzek.

Śliniak przykląkł na jedno kolano nad ciałem Gloucester.

– Miałem go nauczyć, jak być błaznem.

– Tak, chłopie, wiem.

Stałem przy głazach, tłumiąc ochotę, by pocieszyć olbrzymiego zabójcę klepaniem po ramieniu. Ze szczytu wzgórza dobiegł szelest i myślałem, że zdało mi się, że przez szum wiatru słyszę szczęk metalu.

– Teraz jest ślepy i jeszcze martwy – zauważył naturalny.

– Do licha – mruknąłem. A potem zwróciłem się do Ślimaka: – Schowaj się, nie walczy i mnie nie wołaj.

Przypadłem płasko do ziemi, gdy pierwszy żołnierz dotarł na szczyt wzgórza. Do licha! Do licha! Do licha! Do cholernego, chędożonego licha! – rozmyślałem pogodnie.

Po chwili usłyszałem głos bękarta Edmunda.

– Spójrzcie, mój błazen. A to co? Król? Co za szczęście! Będziesz świetnym zakładnikiem, by powstrzymać rękę królowej Francji i jej wojsk.

– Nie masz serca? – spytał Lir, głaszcząc głowę swojego martwego przyjaciela, Glouceстера.

Wyjrzałem spomiędzy skał. Edmund patrzył na nieżyjącego ojca z miną kogoś, kto właśnie natknął się na szurzy bobek w swoim podwieczorku.

– Tak, cóż, to chyba tragedia, ale skoro ustalił już sukcesję tytułu i stracił wzrok, odejście w porę było jak najbardziej na miejscu. Kim jest ten drugi trup? – Edmund kopnął w ramię swojego nieprzytomnego brata, Edgara.

– To żebrak – rzekł Śliniak. – Próbował bronić starca.

– Ale ten miecz nie należał do żebraka. Ani ta sakiewka. – Edmund podniósł sakiewkę Oswalda. – To rzeczy człowieka Goneryli, Oswalda.

– Tak, milordzie – przyznał Śliniak.

– I cóż, gdzie on jest?

– Na plaży.

– Na plaży? Zszedł tam, zostawiając tu sakiewkę i miecz?

– Był szelmą – wyjaśnił olbrzym – więc go zrzuciłem. Zabił twojego tatkę.

– A, racja. Zatem dobrze się spisałeś. – Edmund rzucił sakiewkę Śliniakowi. – Użyj ich do przekupienia strażnika więziennego, to dostaniesz skórę chleba. Zabrać ich. – Bękart dał znak swoim ludziom, by pojмали Śliniaka i Lira. Gdy starzec miał kłopoty ze wstaniem, mój uczeń podniósł go na nogi i przytrzymał.

– Co z ciałami? – spytał kapitan.

– Niech Francuzi ich pochowają. Szybko, do Tower. Dostyc już widziałem.

Lir zakaszłał sucho – co zabrzmiało niczym skrzypienie zawiasów we wrotach śmierci, aż miałem wrażenie, że upadnie i zostanie zeń tylko mała sterta smutku. Jeden z ludzi Edmunda dał mu łyk wody, która najwyraźniej powstrzymała kaszel, lecz starzec nie mógł się wyprostować ani utrzymać własnego ciężaru. Śliniak posadził go sobie na ramieniu i poniósł w górę wzgórza – kościsty tyłek starca podskakiwał na ramieniu wielkiego przygłupa niby na poduszce w lektyce.

Gdy odeszli, wygramoliłem się z kryjówki i podszedłem do rozciągniętego na brzuchu Edgara. Rana na jego głowie nie była głęboka, ale obficie krwawiła, jak to często rany na głowie. Kałuża posoki zapewne ocaliła mu życie. Oparłem go o głaz i przywróciłem mu zmysły za pomocą kilku łagodnych uderzeń i wody z jego bukłaka.

– Co? – Edgar rozejrzał się i potrząsnął głową, by lepiej widzieć, ale szybko pożałował tego ruchu. Potem dostrzegł ciało swojego ojca i zawył.

– Przykro mi, Edgarze – rzekłem. – To sługa Goneryli, Oswald, pozbawił cię zmysłów i go zabił. Śliniak udusił podłego psa i zrzucił go z urwiska.

– Gdzie Śliniak? I król?

– Zabrali ich ludzie twojego brata bękarta. Posłuchaj, muszę iść za nimi. Ty idź do obozu Francuzów. Zanieś im wiadomość.

Edgar przewrócił oczami i myślałem, że znowu zemdleje, więc ponownie ochlapałem mu twarz wodą.

– Popatrz na mnie. Edgarze, musisz iść do obozu Francuzów. Powiedz Kordelii, że powinna zaatakować bezpośrednio Tower. Powiedz, by posłała okręty w górę Tamizy, a także poprowadziła siły do Londynu, również lądem. Kent będzie znał plan. Niech trzy razy zagrają na trąbce, nim zaatakują. Zrozumiałaś?

– Trzy razy, Tower.

Oddarłem plecy z koszuli martwego hrabiego, zwinąłem tkaninę i podałem Edgarowi.

– Weź, przyciśnij to sobie do łba, by zatamować krew. I powiedz Kordelii, by się nie ociągała z lęku o życie ojca. Dopilnuję, by nie miała powodu.

– Tak – powiedział Edgar. – Nie uratuje króla, powstrzymując atak.

W TOWER

– Pacan! – krzyknął kruk.

Nie pomagał mi w potajemnym wejściu do Tower. Zapchałem dzwonki gliną, którą posmarowałem też twarz, ale kamuflaż zda się na nic, jeśli kruk podniesie alarm. Powinienem był poprosić któregoś strażnika, by zdjął go strzałem z kuszy, na długo zanim opuściłem twierdzę.

Leżałem w płytkiej, płaskodennej łodzi, którą pożyczyłem od przewoźnika, pokrytej szmatami i gałęziami, by wyglądać na jeden z licznych, bezkształtnych szczątków, dryfujących na powierzchni Tamizy. Wiosłowałem prawą ręką, a zimna woda kłuła jak igły, aż zdrętwiała mi ręka. Wokół unosiły się lodowe kry. Jeszcze jedna zimna noc i mógłbym przejść do Bramy Zdrajców na piechotę, zamiast wiosłować. Rzeka zasilala fosę, a fosa prowadziła pod niskim łukiem, przez bramę, gdzie angielska szlachta od setek lat wodziła członków swoich rodzin, by położyli głowę pod topór.

Dwa skrzydła bramy z kutego żelaza łączyły się pośrodku łuku, szczipione łańcuchem pod powierzchnią wody, i poruszały się lekko pod wpływem prądu. Tu, na górze, gdzie skrzydła się spotykały, była szczelina. Nie dość szeroka, by przedostał się przez nią żołnierz w rynsztunku, ale szczur, kot albo zwinny i szczupły błazen mogły się z łatwością prześliznąć. Tak też uczyniłem.

Na kamiennych stopniach wewnątrz nie było strażników, ale dzieliło mnie od nich dwanaście stóp wody, a moja łódź nie zmieściłaby się w szczelinie na szczycie bramy, gdzie przycupnałem. Błazen musiał się zamoczyć, nie było innego wyjścia. Ale zdawało mi się, że woda jest płytka, że ma stopę czy dwie głębokości. Może

powiniennem się postarać, by moje buty pozostały suche. Zdjąłem je i włożyłem sobie za kamizelkę, po czym zsunąłem się po bramie do wody.

Była zimna jak pieprzony skurwysyn. Sięgała mi tylko do kolan, ale była lodowata. I zapewne pozostałbym niezauważony, gdyby nie wymknął mi się pełen emfazy szept:

– Zimna jak pieprzony skurwysyn!

U szczytu schodów napotkałem ostry koniec halabardy, wymierzony złowrogo w moją pierś.

– Do kurwy – rzekłem. – Czyń swoją powinność, byle szybko, a potem zaciągnij moje ciało w jakieś ciepłe miejsce.

– Kieszonka? – spytał wartownik na drugim końcu broni.

– Istotnie – przyznałem.

– Nie widziałem cię od miesiący. Co masz na twarzy?

– Glinę. To mój kamuflaż.

– Aha. Chodź i się rozgrzej. Musi ci być strasznie zimno w nogi.

– Słuszne spostrzeżenie, chłopie – odrzekłem. Był to młody, pryszczaty strażnik, z którym rozmawiałem na blankach, gdy Regana i Goneryla przyjechały po swoje dziedzictwo. – Ale czy nie powinieneś trwać na posterunku? Służba i tak dalej?

Poprowadził mnie przez brukowany dziedziniec do wejścia dla służby do zamku głównego, a potem zeszliśmy po schodach do kuchni.

– E, to przecież Brama Zdrajców, nie? Z kłódką wielką jak twój łeb. Nikt tamtędy nie wejdzie. To nie takie złe miejsce. Nie ma wiatru. Lepiej niż na murach. Wiesz, że księżna Regana mieszka teraz w Tower? Wziąłem sobie do serca twoją radę, by nie mówić o jej kusiolubstwie⁴³, nawet po śmierci księcia, ostrożności nigdy za wiele. Chociaż raz widziałem ją w koszuli nocnej, jak wychylała się ze swojego solaru. Niezłe melony ma ta księżna, chociaż za takie słowa grozi śmierć.

– Tak, gładka to dama, cudna niczym żabie futro, chłopie, ale nawet stanowcze milczenie nie uchroni przed szafotem, jeśli nie powstrzymasz się od myślenia na głos.

– Kieszonko, ty nędzny, zapchlony, zadżumiony szczurze!

– Bańka! Kochanie! – zawołałem. – Ty dmuchana przez smoka maso brodawek, jak się miewasz?

Kucharka o wołowym tyłku próbowała ukryć swą radość, rzucając we mnie cebulą, ale widziałem jej uśmiech.

⁴³ Kusiolubstwo – inaczej penisofilia. Z łac. *kusius-lubius*.

– Nie zjadłeś porządnie, odkąd ostatnio byłeś w kuchni, prawda?

– Słyszałyśmy, że nie żyjesz – odezwała się Piskliwa, cała w uśmiechach pod piegami.

– Nakarm szkodnika – poleciła Bańka. – I oczyść mu twarz. Znowu gziłeś się ze świniami, Kieszonko?

– Zazdrosna?

– Jeszcze czego – odparła.

Piskliwa posadziła mnie na stołku przy ogniu i, podczas gdy ogrzewałem sobie stopy, zaczęła zeskrobywać glinę z mojej twarzy i włosów, bezlitośnie okładając mnie przy tym piersiami.

Ach, nie ma jak w domu.

– Widział ktoś Śliniaka?

– Jest w lochu, z królem – powiedziała Piskliwa. – Chociaż strażnik nie powinien o tym wiedzieć. – Zerknęła na młodego gwardzistę, który stał obok.

– Wiedziałem – stwierdził.

– Co z ludźmi króla, rycerzami i gwardzistami? W koszarach?

– Nie – zaprzeczył strażnik. – Gwardia była zaniedbana, dopóki z Gloucester nie przyjechał kapitan Kuran. Postawił szlachetnie urodzonego rycerza na czele każdej warty, a każdemu nowicjuszowi przydzielił do opieki doświadczonego strażnika. Za murami stoją wielkie obozowiska wojska, Kornwalii od zachodu i Albanii od północy. Mówią, że książe Albanii jest z ludźmi w obozie. Nie chce wejść do Tower.

– Mądry wybór, gdy w zamku jest tyle żmij. A księżniczki? – zwróciłem się do Bańki. Chodź zdawało się, że nigdy nie wychodzi z kuchni, wiedziała, co się dzieje w każdym zakątku twierdzy.

– Nic nie mówią – odrzekła. – Przyjmują posiłki w swoich dawnych komnatach, gdzie mieszkały, gdy były małe. Goneryła we wschodniej wieży głównej budowli. Regana w swoim solarze nad zewnętrznym murem od południa. Czasem spotykają się na obiedzie, ale tylko jeśli przychodzi ten bękart Gloucester.

– Możesz mnie do nich zaprowadzić? Niezauważenie?

– Mogłabym cię zaszyć w prosięciu i do nich posłać.

– Tak, kochana, ale liczyłem, że wrócę potajemnie, a tłusty ślad mógłby zwabić zamkowe koty i psy. Niestety, mam już doświadczenie w tych sprawach.

– W takim razie możemy cię przebrać za jednego ze sług – podsunęła Piskliwa.
– Regana kazała przysyłać chłopców zamiast dziewczek służebnych. Lubi się z nimi drażnić i im grozić, aż zaczynają płakać.

Posłałem Bańce oskarżycielskie spojrzenie.

– Czemu tego nie zaproponowałaś?

– Chciałam cię zobaczyć zaszytego w prosięciu, oślizgły draniu.

Od lat zmagala się z głębokimi uczuciami wobec mnie.

– Zatem dobrze – rzekłem. – Niech będzie sługa.

– Wiesz, Kieszonko – powiedziała Kordelia, szesnastolatka. – Goneryla i Regana mówią, że moja matka była czarownicą.

– Tak, słyszałem, skarbie.

– Jeśli tak, to jestem z tego dumna. To oznacza, że nie potrzebowała jakiegoś parchatego mężczyzny. Miała własną moc.

– Wygnano ją, prawda?

– No tak, albo utopiono, nikt nie mówi, jak to w końcu było. Ojciec zabrania mi o to pytać. Lecz idzie mi o to, że kobieta powinna sama dojść do władzy. Wiedziałeś, że czarodziej Merlin oddał swoją moc Vivianie w zamian za jej wdzięki, a ona została wielką czarodziejką i królową, po czym uśpiła Merlina w jaskini na sto lat?

– Mężczyźni tacy są, złotko. Oddajesz im wdzięki, a potem okazuje się, że chrapią niby niedźwiedź w jaskini. Taki już jest ten świat.

– Nie czyniłeś tak, gdy moje siostry oddawały ci swe wdzięki.

– Nic takiego nie robiły.

– Właśnie że robiły. Wiele razy. Wszyscy w zamku wiedzą.

– Złośliwe plotki.

– Więc dobrze. Gdy cieszyłeś się wdziękami kobiet, które pozostaną bezimienne, później zasypiałeś?

– Cóż, nie. Lecz nie oddawałem też swej magicznej mocy ani królestwa.

– Ale oddałbyś, prawda?

– Słuchaj, dość gadania o czarach i takich tam. Może byśmy zeszli do kaplicy i nawrócili się z powrotem na chrześcijaństwo? Śliniak wypił całe wino mszalne i zjadł

resztę hostii, gdy usunięto biskupa, przeto bez wątpienia jest wystarczająco błogosławiony, by wprowadzić nas do owczarni bez udziału kleru. Przez tydzień odbijało mu się ciałem Chrystusa, słowo daje.

– Próbujesz zmienić temat.

– Do kata! Przejrzała cię! – wykrzyknął Jones. – To cię nauczy, ty węzu o duszy jak sadza. Każ go wybatożyć, księżniczko.

Kordelia roześmiała się, uwolniła lalkę z mojego uścisku i walnęła mnie nią w pierś. Nawet gdy dorosła, miała słabość do marionetkowych spisków i kukielkowej sprawiedliwości.

– A teraz, błźnie, mów prawdę... o ile prawda w tobie nie umarła z powodu zaniedbania. Oddałbyś swoją moc i królestwo za wdzięki damy?

– To zależy od damy, prawda?

– Niechbym to była na przykład ja.

– *Vous?* – Uniosłem brwi dokładnie na modłę pieprzonego Francuza.

– *Oui* – odrzekła językiem miłości.

– Nie ma mowy – odparłem. – Zacząłbym chrapać, nim zdążyłabyś ogłosić mnie swym osobistym bóstwem, bo bez wątpienia byś to uczyniła. To piętno, które noszę. Zapadłbym w głęboki sen niewiniątka. (Albo, sama rozumiesz, głęboki sen głęboko chędożonego niewiniątka). Przypuszczam, że z nadejściem brzasku musiałabyś mi przypomnieć moje imię.

– Nie spałeś po tym, jak miały cię moje siostry, wiem to.

– Cóż, groźba gwałtownej, postkoitalnej śmierci wzmogłaby twoją czujność.

Przepęzła na czworakach przez dywan, aż znalazła się blisko.

– Okropny z ciebie kłamca.

– Jak cię zwał?

Przyłożyła mi w głowę Jonesem i pocałowała mnie – szybko, ale z uczuciem. To był jedyny raz.

– Będę miała twoją moc i twoje królestwo, błźnie.

– Oddaj mi moją lalkę, bezimienna zdziro.

Solar Regany był większy, niż go zapamiętałem. Dość wytworne, okrągłe pomieszczenie, z kominkiem i stołem. W sześciu wnieśliśmy jej kolację i postawiliśmy ją na stole. Była cała w czerwieni, jak zwykle, a śnieżne ramiona i krucze włosy połyskiwały w pomarańczowym blasku ognia.

– Nie wolałbyś czaić się za gobelinem, Kieszonko? Gestem odprawiła pozostałych i zamknęła drzwi.

– Pochylałem głowę, by ukryć twarz. Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Nie rozplakałaś się, kiedy na was krzyczałam.

– Do licha, mogłem się domyślić.

– I jako jedyny służący nosiłeś mieszek.

– Nie sposób skryć światła pod korcem, tak?

Doprowadzała mnie do szału. Czy nic jej nie zaskakiwało? Zachowywała się tak, jakby po mnie posłała i spodziewała się mnie w każdej chwili. Odbierało mi to radość, czerpaną z całej tej skrytości i przebrania. Kusilo mnie, by jej powiedzieć, że została nabrana i wychędożona przez Śliniaka, tylko po to, by ujrzeć jej reakcję, lecz, niestety, wciąż miała lojalnych strażników i nie miałem pewności, czy nie rozkaże im zabić mnie na miejscu. (Zostawiłem sztylety w kuchni, u Bańki, zresztą i tak zdałyby się na nic w starciu z plutonem gwardzistów).

– Cóż, pani, jak żałoba?

– Zdziwiająco dobrze. Myślę, że z żalem mi do twarzy. Z żalem albo z wojną, nie mam pewności. Ale mam dobry apetyt i różową cerę. – Spojrzała w lusterko, po chwili dostrzegła moje odbicie i odwróciła się. – Ale, Kieszonko, co tu robisz?

– O, wierność sprawie i tak dalej. Francuzi stoją pod naszymi pieprzonymi drzwiami i tak dalej, więc pomyślałem, że wrócę, pomogę bronić domu i ogniska. – Uznałem, że najlepiej nie drążyć tematu, więc naciskałem: – Jak idzie wojna?

– Złożona sprawa. Sprawy państwowe są złożone, Kieszonko. Nie spodziewam się, że błazen mógłby je zrozumieć.

– Ale jam jest z królewskiego rodu, kotku. Nie wiedziałaś?

Odłożyła lusterko i spojrzała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć śmiechem.

– Głupi błazen. Gdybyś choć otarł się o szlachectwo, już lata temu byłbyś rycerzem, prawda? Ale, niestety, jesteś pospolity niby kocie gównu.

– Ha! Niegdyś byłem. Lecz teraz, kuzynko, błękitna krew płynie w mych żyłach. Myślę nawet o wszczęciu wojny i wychędożeniu paru krewnych, bo zdaje się, że to główne rozrywki królewskich rodów.

– Brednie. I nie nazywaj mnie kuzynką.

– Lepiej wychędożyć kraj i zabić paru krewnych? Jestem szlachcicem niecały tydzień, jeszcze nie zapamiętałem całego protokołu. A, i jesteśmy kuzynami, kotku. Nasi ojcowie byli braćmi.

– Niemożliwe. – Regana skubnęła jeden z suszonych owoców, które Bańka ułożyła na tacy.

– Brat Lira, Kanus, zgwałcił moją matkę na moście w Yorkshire, a Lir ją trzymał. Jestem owocem tego nieprzyjemnego związku. Twoim kuzynem. – Ukłoniłem się. Do cholernych usług.

– Bękart. Mogłam się domyślić.

– O, ale bękarcie niosą nadzieję, prawda? Chyba widziałem, jak mordujesz swego męża, księcia, by popędzić w ramiona bękarta, który teraz został, zdaje się, hrabią Gloucester. Właśnie, jak się sprawia? Namiętny i niesmaczny, jak przypuszczam.

Usiadła i przeczesała włosy palcami, jakby chciała wygrabić myśli z głowy.

– O, bardzo go lubię, choć nieco mnie rozczarowuje po tym pierwszym razie. Ale snucie intryg bardzo wyczerpuje. Goneryla próbuje zaciągnąć Edmunda do łóża, a on nie może okazać mi względów z lęku przed utratą poparcia księcia Albanii, a jeszcze do tego wszystkiego inwazja cholernejszej Francji. Gdybym wiedziała, ile mój mąż miał na głowie, nie zabiłabym go tak szybko.

– Nie martw się, kotku. – Stałem za nią i pogłaskałem jej ramiona. – Masz różową cerę i dobry apetyt, i jak zwykle jesteś istną ucztą dla chuci. Gdy już zostaniesz królową, będziesz mogła ściąć wszystkich, a potem porządnie się wyspać.

– W tym właśnie sęk. Nie mogę po prostu włożyć korony i radośnie zacząć rządów, a Bóg, święty Jerzy i cały ten cholerny bajzel przejdą do historii. Muszę się obronić przed pieprzonymi Francuzami, później zabić księcia Albanii i Gonerylę. Pewnie jeszcze odnaleźć ojca i rozkazać, by spadło na niego coś ciężkiego, inaczej lud nigdy mnie nie zaakceptuje.

– Tu mam dobre wieści, kochana. Lir jest w lochu. Szalony jak marcowy zając, ale żyje.

– Doprawdy?

– Tak. Edmund właśnie wrócił z nim z Dover. Nie wiedziałaś?

– Edmund wrócił?

– Ledwie trzy godziny temu. Jechałem za nim.

- Łajdak! Nawet nie dał mi znać, że wrócił. Posłałam mu list do Dover.
- Ten list? – Wyciągnąłem pismo, które upuścił Oswald. Oczywiście złamałem już pieczęć, ale poznała list i wyrwała mi go z ręki.
- Skąd go masz? Dałam go człowiekowi Goneryli, Oswaldowi, by wręczył Edmundowi do rąk własnych.
- Tak, cóż, wysłałem Oswalda do Walhalli dla robaków zanim zdążył doręczyć pismo.
- Zabiłeś go?
- Mówiłem ci, kotku, jestem teraz szlachcicem. Morderczą cipą, jak wy wszyscy. Zresztą ten list to kupa motylego gnoju, prawda? Nie masz doradców, którzy by ci pomogli w takich sprawach? Kanclerza albo szambelana, cholernego biskupa czy kogoś takiego?
- Nie mam nikogo. Wszyscy są w zamku w Kornwalii.
- O, kochana, pozwól, by pomógł ci kuzyn Kieszonka.
- Pomożesz mi?
- Oczywiście. Najpierw siostra. – Wyjąłem dwie fiołki z woreczka u pasa. – Czerwona to śmiertcionośna trucizna. Ale niebieska tylko przypomina truciznę, sprawia, że człowiek wygląda jak trup, lecz naprawdę tylko śpi. Przesypia jeden dzień na każdą wypitą kroplę. Mogłabyś wlać dwie krople do wina siostry... Powiedzmy, gdy już będziesz gotowa do ataku na Francuzów. Przez dwa dni będzie spała jak zabita, a ty i Edmund uczynicie, co zechcecie, nie tracąc przy tym poparcia księcia Albanii w wojnie.
- A trucizna?
- Cóż, kotku, może okazać się niepotrzebna. Może pokonasz Francję, weźmiesz sobie Edmunda i porozumiesz się ze swoją siostrą oraz księciem Albanii.
- Już się z nimi porozumiałam. Królestwo jest podzielone, tak jak zadekretował ojciec.
- Mówię tylko, że możesz walczyć z Francuzami i mieć Edmunda bez zabijania siostry.
- A co, jeśli nie pokonamy Francji?
- Cóż, wtedy masz truciznę, prawda?
- Pierdoły, a nie rady – stwierdziła Regana.

– Czekaj, kuzynko, jeszcze ci nie powiedziałem, że zrobisz mnie księciem Buckingham. Chciałbym ten stary, podupadły pałac, Hyde Park, St. Jamess Park i małpę.

– Jesteś głupcem!

– Imieniem Jeff.

– Wyjdź!

Wychodząc, wziąłem ze stołu miłosny list.

Pobiegłem pędem przez korytarze, dziedziniec i z powrotem do kuchni, gdzie zamieniłem swój mieszek na parę spodni sługi. Pozostawienie Jonesa i błazeńskiej czapki u przewoźnika czy powierzenie sztyletów Bańce to jedno, ale rezygnacja z mieszka jawiło mi się jak utrata duszy.

– Omal nie padłem od jego ogromu – rzekłem do Piskliwej, oddając jej przenośne gniazdo swej męskiej nierówności.

– Ano, cała rodzina wiewiórek zmieściłaby się w wolnym miejscu – zauważyła, rzucając do pustej sakiewki na kuśkę garść orzechów laskowych, które łuskała.

– Aż dziw, żeś nie grzechotał przy chodzeniu – stwierdziła Bańka.

– Dobrze. Rzucajcie oszczerstwa na moją męskość, skoro chcecie, ale nie obronię was, kiedy przyjdą Francuzi. Mają nadzwyczajne upodobanie do publicznego całowania, a śmierdzą ślimakami i serem. Będę się śmiał... ha! gdy żabi maruderzy pokryją was obie śliną o woni sera.

– Dla mnie nie brzmi to wcale źle – powiedziała Piskliwa.

– Kieszonko, lepiej już idź – poradziła Bańka. – Kolacja Goneryli powinna iść na górę.

– Adieu – rzekłem, by dać przedsmak francuskiej przyszłości swym dawnym przyjaciółkom, dziś zdradzieckim zdirom, które niebawem pokryje żabia ślina. Udałem omdlenie, szerokim gestem unosząc nadgarstek do brwi, po czym wyszedłem.

(Przyznaję, lubię ubarwić swe częste wejścia i wyjścia odrobiną melodramatyzmu. Przedstawienie jest dla błazna wszystkim).

Komnaty Goneryli, choć nie tak przestronne, jak Regany, były zbyt kłopotliwe i płonął tam ogień. Moja noga w nich nie pozostała, odkąd Goneryla opuściła zamek, by wyjść za księcia Albanii, ale po powrocie przekonałem się, że przepełniają mnie jednocześnie podniecenie i przerażenie – zapewne z powodu wspomnień, wrzących pod pokrywką świadomości. Nosila śmiało wyciętą kobaltową suknię ze złotą lamówką. Najwyraźniej wiedziała, że Edmund wrócił.

– Pączusiu!

– Kieszonka? Co tu robisz? – Ruchem ręki odprawiła pozostałych służących i młodą dwórkę, która zaplatała jej warkocze. – I czemu nosisz ten niedorzeczny strój?

– Wiem – rzekłem. – Pedalskie spodnie. Bez mieszka czuję się bezbronny.

– Myślę, że wydajesz się w nich wyższy – stwierdziła.

Dylemat. Wyższy w spodniach czy oszałamiająco męski w mieszkach? Jedno i drugie – złudzenia. Jedno i drugie miało zalety.

– Jak sądzisz, która cecha wywołuje większe wrażenie na płci pięknej: wysoki czy hojnie obdarzony?

– A czy twój uczeń nie ma jednej i drugiej?

– Ale on... och...

– Tak. – Ugryzła suszoną śliwkę.

– Rozumiem – rzekłem. – Co zatem z Edmundem? Ten granatowy strój?

– Edmund. – Westchnęła. – Wydaje mi się, że Edmund mnie nie kocha.

Usiadłem, spojrzałem na stojący przede mną posiłek Goneryli i zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie ochłodzić czoła w wazie z rosołem. Miłość? Pieprzona, cholerna, chędożona, cholerna, pieprzona, cholerna miłość? Błaha, powierzchowna, cholerna, sakramencka, zgniła, chędożona miłość? Że co? Jak to? Co, do kurwy? Miłość?

– Miłość? – spytałem.

– Nikt mnie nigdy nie kochał – odparła.

– A twoja matka? Matka na pewno.

– Nie pamiętam jej. Lir skazał ją na śmierć, kiedy byliśmy małe.

– Nie wiedziałem.

– Nie należało o tym mówić.

– Może więc Jezus? Pociecha w Chrystusie?

– Jaka pociecha? Jestem księżną, Kieszonko, księżną, może królową. Nie można rządzić z Chrystusem. Głupi jesteś? Chrystusa trzeba wyprosić z komnaty.

Pierwsza wojna albo egzekucja i już masz przechędożone z miłosierdziem, prawda? Jezusek się gniewa, a ty musisz udawać, że tego nie widzisz.

– Jego miłosierdzie jest nieskończone – rzekłem. – Tak gdzieś napisali.

– Napisali też, że powinniśmy iść za jego przykładem. Ale ja w to nie wierzę. Nigdy nie wybaczyłam ojcu, że zabił naszą matkę, i nigdy nie wybaczę. Nie wierzę, Kieszonko. W tym nie ma miłości ani pociechy. Nie wierzę.

– Ja też nie, pani. Pal sześć Jezusa. Edmund bez wątpienia się w tobie zakocha, gdy się do siebie zbliżycie i będzie miał okazję zamordować twego męża. Miłość potrzebuje miejsca, by rosnać, niczym róża. – Albo guz.

– Jest dość namiętny, choć nigdy tak gorliwy, jak tej pierwszej nocy w Tower.

– Przedstawiłaś mu już swoje... ee... szczególne upodobania?

– Nie zdobędę nimi jego serca.

– Bzdura, kochana, księżę o czarnym sercu, taki jak Edmund, zaprawdę łaknie, by piękna panna przetrzepała mu tyłek. Zapewne o tym właśnie marzy, jeno wstydzi się poprosić.

– Myślę, że ktoś inny wpadł mu w oko. Chyba podoba mu się moja siostra.

Nie, ona wpadła w oko jego ojcu, a właściwie je wydłubała, pomyślałem, ale powiedziałem co innego.

– Może pomogę ci rozwiązać ten konflikt, pączusiu. – Z tymi słowami wyciągnąłem czerwoną i niebieską fiołkę. Wyjaśniłem, że jedna powoduje sen, który wygląda jak śmierć, druga zaś bardziej wieczysty spoczynek. Jednocześnie wziąłem jedwabny woreczek, w którym wciąż spoczywała ostatnia purchawka, otrzymana od wiedźm.

A gdybym użył jej na Goneryli? Rzucił na nią urok, by pokochała własnego męża? Księżę Albanii z pewnością by jej wybaczył. Szlachetny był z niego człowiek, mimo że szlachcic. A wtedy Regana miałaby tego łajdaka Edmunda dla siebie, konflikt między siostrami zostałby rozwiązany, Edmund zadowoliliby się nową rolą księcia Kornwalii i hrabiego Gloucester i wszystko dobrze by się skończyło. Oczywiście pozostawały jeszcze kwestie ataku Francji, Lira w lochu, a także mądrego i nadobnego błazna, którego los zdawał się nadzwyczaj niepewny...

– Pączusiu – rzekłem – może gdybyście doszły z Reganą do porozumienia... Może gdyby ją uspić, aż jej armia spełni swoją powinność przeciwko Francji... Może litość...

I tyle zdążyłem powiedzieć, jako że w tej chwili przez drzwi wszedł bękart Edmund.

– Co to znaczy? – spytał.

– Nie pukasz, do kurwy? – powiedziałem. – Cholerny, prostacki bękart! – Można by pomyśleć, że teraz, gdy sam zostałem bękartem szlachetnej krwi, moja pogarda dla Edmunda powinna się zmniejszyć. O dziwo, nie.

– Straże. Zabrać tego robaka do lochu, aż będę miał czas się nim zająć.

Czterech strażników, nienależących do dawnej gwardii z Tower, weszło do środka i przez jakiś czas ganiało mnie po solarze, aż się potknąłem przez ciasne nogawki spodni sługi. Chłopak, dla którego je uszyto, musiał być jeszcze mniejszy ode mnie. Przytrzymali mi ręce za plecami i wyciągnęli z pomieszczenia. Gdy tyłem wychodziłem przez drzwi, zawołałem:

– Goneryło! Uniosła rękę, a oni zatrzymali się, wciąż mnie trzymając.

– Byłaś kochana – rzekłem.

– Oj, zabierzcie go i zbijcie – nakazała.

– Żartuje – powiedziałem. – Pani żartuje.

W LOCHU

Mój błazen – powiedział Lir, gdy strażnicy wlekli mnie do lochu. – Przeprowadźcie go tutaj i puśćcie go.

Starzec wydawał się młodszy, czujniejszy, świadom otoczenia. Znowu wykrzykiwał rozkazy. Ale wraz z rozkazem z jego ust dobył się atak kaszlu i na siwej brodzie wykwitła plamka krwi. Śliniak przytrzymał mu bukłak, by się napił.

– Najpierw mamy go zbić – oznajmił jeden ze strażników. – Potem dostaniesz swego błazna, w prążki, a nawet w kratkę.

– Nie, jeśli chcecie dostać te bułki i piwo – odezwała się Bańka. Zeszła po drugich schodach, niosąc kosz, przykryty tkaniną, z którego unosiła się rozkoszna woń świeżego pieczywa. Przez ramię przewieszony miała dzban piwa, a pod pachę wcisnęła sobie kłęb ubrań.

– Albo zbijemy błazna i piwo też sobie weźmiemy – odparł młodszy z dwóch gwardzistów, jeden z ludzi Edmunda, najwyraźniej niezaznajomiony z kolejnością dziobania w Tower. Możesz lekceważyć Boga, świętego Jerzego i siwobrodego króla, jeśli chcesz, ale marny twój los, jeśli wejdiesz w drogę swarliwej kucharce zwanej Bańką, bo w każdej twojej strawie znajdą się od tej pory piach i robaki, aż w końcu trucizna odbierze ci życie.

– Nie radzę ci się targować, kolego – rzekłem.

– Błazen nosi strój jednego z moich ludzi – oznajmiła Bańka – i chłopak trzęsie się z zimna w mojej kuchni. – Wrzuciła kłęb czarnych ubrań do celi, w której siedzieli Śliniak i Lir. – Oto odzienie błazna. Rozbieraj się, szelmo, i pozwól mi wrócić do pracy.

Teraz strażnicy się śmiali.

– No dalej, mały, zdejmuj ubranie – powiedział ten starszy. – Czekają na nas gorące bułki i piwo.

Rozebrałem się przed nimi wszystkimi, a stary Lir od czasu do czasu protestował, jakby to, co miał do powiedzenia, obchodziło jeszcze kogoś bardziej niż garniec ciepłych szczyn. Gdy byłem golusienki, strażnicy otworzyli drzwi i podpełzłem do ubrań. Tak! Były tam moje sztylety, ukryte wśród reszty. Dzięki swojej zręczności i Bańce, która odwróciła uwagę gwardzistów, rozdając bułki i piwo, zdołałem wcisnąć je sobie pod kamizelkę.

Jeszcze dwaj strażnicy dołączyli do tamtych przed naszą celą, dzieląc z nimi pieczywo i piwo. Bańka wróciła na schody, po drodze puszczając do mnie oko.

– Król popadł w melancholię, Kieszonko – powiedział Śliniak. – Powinniśmy zaśpiewać mu piosenkę, by go rozweselić.

– Chędożyć chędożonego króla – odparłem, patrząc prosto w sokole oczy Lira.

– Uważaj, chłopcze – rzekł.

– Bo co? Przytrzymasz moją gwałconą matkę, a potem wrzucisz ją do rzeki? A, zaczekaj. Te groźby już się nie liczą, co, wujciu? Już je spełniłeś.

– O czym ty mówisz, chłopcze? – Starzec wyglądał przerażająco, jakby zapomniał, że nim pomiatano i wrzucono do klatki z błaznami, a teraz spotkał go niespodziewany afront.

– O tobie. Pamiętasz? Kamienny most w Yorkshire, jakieś dwadzieścia siedem lat temu? Zawołałeś wiejską dziewczynę z brzegu rzeki, małą ślicznotkę, przytrzymałeś ją i kazałeś bratu ją zgwałcić. Pamiętasz, Lirze, czy wyrządziłeś tyle zła, że wszystko zlewa się w twojej pamięci w jeden czarny pas?

Jego oczy otworzyły się szerzej, widziałem, że pamięta.

– Kanus...

– Ano, twój zakichany brat spłodził mnie właśnie wtedy. A gdy nikt nie uwierzył mojej matce, że jej syn to książęcy bękart, utopiła się w tej samej rzece, do której wrzuciłeś ją tamtego dnia. Cały czas nazywałem cię wujciem. Kto by pomyślał, że to prawda?

– To nieprawda – odrzekł drżącym głosem.

– Prawda! I wiesz o tym, stary worku⁴⁴ kości. Osnowa łotrostwa i chciwości, tylko to trzyma cię w kupie, ty stary zasuszony smoku.

⁴⁴ Worek – jak w powiedzeniu „kot w worku”. Nie kupujemy go, ponieważ koty nie są zbyt smaczne.

Czterej strażnicy zgromadzili się przy kratkach i gapili się, jakby to oni byli uwięzieni.

- O rety – odezwał się jeden.
- Bezczelny mały drań – powiedział drugi.
- Więc nie śpiewamy? – spytał Śliniak.

Lir pogroził mi palcem, tak wściekły, że widziałem żyły pulsujące na jego czole.

– Nie wolno ci tak do mnie mówić. Jesteś niczym. Wyciągnąłem cię z rynsztoka i wystarczy moje słowo, by jeszcze przed zachodem słońca rynsztokiem popłynęła twa krew.

– Doprawdy, wujciu? Moja krew może popłynąć, lecz nie na twoje słowo. Na twoje słowo mógł zginąć twój brat. Na twoje słowo mógł zginąć twój ojciec. Na twoje słowo mogły zginąć twoje królowe. Ale nie ten książęcy bękart, Lirze. Twoje słowo jest dla mnie niczym wiatr.

– Moje córki...

– Twoje córki są na górze i walczą o gnaty twego królestwa. To one cię pojmały, stary wariacie.

– Nie, one...

– Zamknąłeś tę celę, gdy zabiłeś ich matkę. Obie mi o tym powiedziały.

– Widziałeś je? – Wstąpiła weń dziwna nadzieja, jakby liczył, że zapomniałem przynieść dobre wieści od jego zdradzieckich córek.

– Czy widziałem? Chędożyłem je. – To głupie. Po wszystkich jego niecnym czynkach, okrucieństwach i zniewagach, mógł jeszcze liczyć się fakt, że błazen wychędożył jego córki. Liczył się jednak i w ten sposób mogłem częściowo uwolnić wściekłość, którą wobec niego odczuwałem.

– Wcale nie – powiedział.

– Naprawdę chędożyłeś? – spytał jeden ze strażników.

Wtedy wstałem, by nieco napuszyć się przed publicznością, a zresztą była to lepsza pozycja, by zdeptać duszę Lira. Nie widziałem nic poza wodą zamykającą się nad głową mej matki, nie słyszałem nic prócz jej krzyków, gdy Lir ją trzymał.

– Chędożyłem obie, raz po raz i z lubością. Aż krzyczały, błagały i skamlały. Chędożyłem na parapetach z widokiem na Tamizę, w wieżach, pod stołem w wielkiej sali, a raz chędożyłem Reganę na półmisku szynki w obecności muzułmanów. Chędożyłem Gonerylę w twoim własnym łóżu, w kaplicy i na twym tronie, to zresztą był jej pomysł. Chędożyłem je na oczach służby, a gdybyś się zastanawiał, dlaczego...

Raz, że prosiły, dwa, że wszystkie księżniczki należy chędożyć dla czystej ohydy. One zaś czyniły to, bo cię nienawidzą.

Lir wył przez całą moją tyradę, próbując mnie zagłuszyć. Teraz warknął:

– Nieprawda. Wszystkie mnie kochają. Same mówiły.

– Zamordowałeś ich matkę, niedołączny pomyleńcu! Wsadziły cię do celi w twoim własnym lochu. Czego jeszcze potrzebujesz, pisemnego dekretu? Chędożeniem próbowałem wygnać z nich nienawiść, wujciu, ale talenty trefnisia to zbyt mało na niektóre klątwy.

– Chciałem syna. Ich matka żadnego mi nie dała.

– Gdyby o tym wiedziały, na pewno nie gardziłyby tobą tak mocno ani mi nie dogadzały.

– Moje córki by cię nie chciały. Nie miałeś ich.

– O, miałem, klnę się na swe czarne serce. A gdy to się zaczęło, każda z nich krzyczała „ojcze”, dochodząc. Zastanawiam się, dlaczego. O tak, wujciu, miałem. I chciały, byś wiedział, dlatego mnie przed tobą oskarżały. O tak, gziłem się z obiema.

– Nie – jęknął Lir.

– Ja też – odezwał się Śliniak z szerokim, lubieżnym uśmiechem. – Za pozwoleniem – dodał szybko.

– Ale nie dzisiaj? – spytał jeden ze strażników. – Prawda?

– Nie, nie dzisiaj, cholerny durniu. Dzisiaj je zabiłem.

Francuzi maszerowali lądem z południowego wschodu, od wschodu zaś wpłynęły do Tamizy ich okręty. Panowie z Surrey na południu nie stawili oporu, a że Dover leży w hrabstwie Kent, wojska wygnanego hrabiego nie tylko nie stanęły do walki, ale dołączyły do Francuzów w ataku na Londyn. Oddziały szły i płynęły przez Anglię, nie wypuszczając ani jednego grotu i nie tracąc ani jednego człowieka. Z Tower strażnicy widzieli ogniska Francuzów, rysujące w nocy pomarańczowy półksiężyc, który rozświetlał niebo od południa do północy.

Gdy kapitan wezwał żołnierzy w zamku pod broń, jeden z dawnych rycerzy czy giermków Lira, pod dowództwem kapitana Kurana, przyłożył klingę do gardła wszystkich ludzi Edmunda lub Regany, żądając, by ustąpili lub zginęli. Członkowie

gwardii osobistej zostali co do jednego uśpieni przez obsługę kuchni jakąś tajemniczą, niegroźną dla życia trucizną, która dawała takie objawy jak śmierć.

Kapitan Kuran posłał księciu Albanii wiadomość od francuskiej królowej, że jeśli odstąpi, a w zasadzie stanie po jej stronie, będzie mógł wrócić bez szwanku do Albanii i zachować swoje wojska, ziemie i tytuł. Oddziały Goneryli z Kornwalii i Edmunda z Gloucester, które obozowały po zachodniej stronie zamku, odkryły, że są otoczone od południa i wschodu przez Francuzów, od północy zaś przez żołnierzy księcia Albanii. Na murach Tower nad armią Kornwalii rozstawiono łuczników i kuszników. Herold musiał przedzierać się przez spanikowane oddziały do dowódcy, niosąc wiadomość, że siły Kornwalii mają natychmiast złożyć broń albo spadnie na nie śmiertelny deszcz, jakiego nawet sobie nie wyobrażają.

Nikt nie chciał ginąć za Edmunda, bękartą z Gloucester, ani za nieżyjącego księcia Kornwalii. Wszyscy złożyli broń i zgodnie z instrukcją przemaszerowali trzy mile na zachód.

W dwie godziny było po wszystkim. Spośród niemal trzydziestu tysięcy ludzi, którzy stanęli pod Tower, zabito ledwie tuzin – byli to wyłącznie gwardziści Edmunda, którzy nie chcieli się poddać.

Czterej strażnicy leżeli w lochu w różnych niezdatnych pozach i wydawali się martwi.

– Cholerna trucizna – rzekłem. – Śliniaku, sprawdź, czy dosięgniesz tego z kluczami.

Naturalny wyciągnął rękę przez kraty, wartownik jednak leżał zbyt daleko.

– Oby Kuran wiedział, że tu jesteśmy.

Lir znów rozejrzał się dookoła dzikim wzrokiem, jakby szaleństwo wróciło.

– Co to znaczy? Kapitan Kuran jest tutaj? Moi rycerze?

– Oczywiście, że tu jest. Po dźwiękach trąb powiedziałbym, że zgodnie z planem zajął zamek.

– Więc całe to przedstawienie miało mnie zmylić? – spytał król. – Nie gniewasz się?

– Płonę gniewem, ty stara cipo, ale zmęczyła mnie już ta tyrada, podczas gdy cholerna trucizna zaczynała działać. Jesteś takim kozuchem na mleku ludzkiej dobroci, jak powiedziałem.

– Nie – odrzekł starzec, jakby mój gniew naprawdę go obchodził. Znowu zaczął kaszleć i wypluł przy tym trochę krwi. Śliniak podparł go i otarł mu twarz. – Jestem królem i nie będziesz mnie osądzał, błaznie.

– Jestem nie tylko błaznem, wujciu, lecz synem twego brata. Czy kazałeś Kentowi go zabić? Jedyne porządny mąż w twojej służbie, a ty uczyniłeś zeń zabójcę, tak?

– Nie, nie Kentowi. To był ktoś inny, nawet nie rycerz. Rzezimieszek, który stanął przed sądem. To jego zabił Kent. Wysłałem Kenta za zabójcą.

– Wciąż go to dręczy. Czy kazałeś temu rzezimieszkowi zabić także swego ojca?

– Mój ojciec był trędowatym nekromantą. Nie mogłem pozwolić, by ktoś taki władał Brytanią.

– Zamiast ciebie, tak?

– Tak, zamiast mnie. Tak. Ale nie wysłałem zabójcy. Był w celi, w świątyni w Bath. Na uboczu, gdzie nikt go nie oglądał. Nie mogłem jednak zasiąść na tronie, dopóki żył. Ale go nie zabiłem. Tamtejsi kapłani po prostu go zamurowali. To czas zabił mego ojca.

– Zamurowałeś go? Żywcem? – Zacząłem się trząść. Myślałem, że mogę starcowi wybaczyć, widząc jego cierpienie, lecz teraz słyszałem w uszach pulsowanie krwi.

Odgłos kroków poniósł się echem po lochu i uniosłem wzrok, by ujrzeć bękarta Edmunda w blasku pochodni.

Kopnął jednego z nieprzytomnych strażników i popatrzył na nich tak, jakby nagle odkrył małpie nasienie w swoich Weetabix⁴⁵.

– Mamy kłopot, co? – powiedział. – Zdaje się, że będę zatem musiał zabić cię samemu.

Przystanął i zdjął kuszę z pleców jednego z gwardzistów, wsunął stopę w strzemię i naciągnął cięciwę.

ANTRAKT

(Aktorzy za kulisami)

⁴⁵ Weetabix – brytyjskie ciastka zbożowe. Jak się powszechnie uważa, ich smak i wygląd poprawia dodatek małpiego nasienia.

- Kieszonko, ty łotrze, wpakowałeś mnie w komedię.
- No tak, dla niektórych to komedia.
- Kiedy zobaczyłem ducha, myślałem, że kroi się tragedia.
- Ano, w tragedii zawsze jest cholerny duch. – Ale nieznaną tożsamość, wulgarność, lekkość tematu i ubóstwo idei... To bez wątpienia komedia. Jestem ubrany nieodpowiednio do komedii, cały w czerni.
- Tak jak ja, a jednak jesteřmy tutaj.
- A zatem to komedia.
- Czarna komedia...
- Wiedziałem.
- W kařdym razie dla mnie.
- Więc komedia?
- Cholerny duch przepowiada przyszłość, nie?
- A całe to nieuzasadnione chędożenie?
- Genialna zmyłka.
- Nabierasz mnie.
- Wybacz, nie, w następanej scenie czeka cię niespodzianka z pikinierem.
- Czyli zostanę zabity?
- Ku wielkiemu zadowoleniu widowni.
- Oj, do licha!
- Ale są teř dobre wieści.
- Tak?
- Dla mnie to dalej komedia.
- Boże, ale nieznořny z ciebie szelma.
- Narzekaj na sztukę, nie na aktora, kolego. Czekaj, przytrzymam ci kurtynę. Masz jakieř plany wobec tego srebrnego sztyletu? To znaczy, kiedy juř odejdziesz.
- Cholerna komedia...
- Tragedie zawsze kończą się tragedią, Edmundzie, ale życie toczy się dalej, prawda? Zima naszej niełaski obróci się nieuchronnie w wiosnę nowej przygody. Lecz znowu nie dla ciebie.
- Nigdy nie zabiłem króla – powiedział Edmund. – Myślisz, że dzięki temu będę sławny?
- Nie zyskasz względoř swoich księżnych, zabijając ich ojca – odrzekłem.

– A, te dwie. Obawiam się, że nie żyją, jak ci strażnicy. Piły wino nad mapami i planowały strategię przed bitwą. Padły z pianą na ustach. Szkoda.

– Ci strażnicy żyją, są tylko odurzeni. Ockną się za dzień lub dwa.

Opuścił kuszę.

– Zatem moje panie jeno śpią?

– O nie, nie żyją. Każdej dałem dwie fiolki. Jedną z trucizną, a drugą z wodą. Bańka zużyła usypiającą truciznę na strażników. Jeśli któraś z nich postanowiłaby okazać siostrze litość, przynajmniej jedna by żyła. Ale, jako rzekłeś, szkoda.

– O, dobrze rozegrane, błażnie. Muszę zdać się na łaskę królowej Kordelii, powiadomić ją, że wciągnięto mnie w ten spisek wbrew mej woli. Może zachowam tytuł i ziemie Gloucesteru.

– Moje córki? Nie żyją? – odezwał się Lir.

– Oj, zamilcz, starcze – powiedział Edmund.

– Ładne były – mruknął smętnie Śliniak.

– A gdy Kordelia usłyszy, co naprawdę uczyniłeś? – spytałem.

– I tu dochodzimy do sedna, prawda? Nie będziecie mogli powiedzieć Kordelii, co zaszło.

– Kordelia, moja jedyna prawdziwa córka – jęknął Lir.

– Zamilcz, do kurwy – przerwał mu Edmund. Uniósł kuszę, wymierzył przez kraty w Lira, po czym cofnął się i ręka mu zadrżała, gdy jeden z moich sztyletów utkwiał z głuchym odgłosem w jego piersi.

Opuścił broń i popatrzył na rękojęść sztyletu.

– Ale mówiłeś, że niespodzianka z pikinierem?

– Niespodzianka – odparłem.

– Bękart! – warknął bękart. Znów poderwał kuszę do strzału, tym razem celując we mnie, a ja posłałem drugi sztylet, prosto w jego oko. Zagrała cięciwa i ciężki bełt grzmotnął o kamienne sklepienie, gdy Edmund obrócił się i padł na stos strażników.

– To było cudne – stwierdził Śliniak.

– Czeka cię nagroda, błażnie – obiecał Lir głosem chrapliwym od krwi.

– Niczego nie chcę. Niczego.

Potem w pomieszczeniu rozległ się kobiecy głos.

– Kruki na blankach krzyczą „mięso”, wiatr poniósł trupi odór Edmunda i ptakom cieknie z dziobów ślina!

Duch. Stała nad ciałem Edmunda przed naszą celą, bardziej eteryczna, a mniej materialna, niż gdym ją widział poprzednio. Podniosła wzrok znad martwego bękarta i uśmiechnęła się. Śliniak zaskamlał i próbował skryć twarz za siwą grzywą Lira.

Próbował ją odegnać, zjawa jednak podpłynęła do krat przed nim.

– Ach, Lirze, zamurowałaś ojca, tak? I co?

– Odejdź, duchu, nie dręcz mnie.

– Zamurowałaś matkę swej córki, prawda? – spytało widmo.

– Była niewierna! – wykrzyknął starzec.

– Nie – odrzekł duch. – Wcale nie.

Usiadłem na podłodze celi, bo zakręciło mi się w głowie. Po zabiciu Edmunda miałem mdłości, ale to?

– Anachoretka w Dog Snogging była twoją królową? – spytałem, a mój własny głos zabrzmiał mi w uszach tak, jakby dobiegał z oddali.

– Była czarownicą – powiedział Lir. – I zadała się z moim bratem. Nie zabiłem jej. Nie mogłem tego znieść. Kazałem ją uwięzić w opactwie w Yorkshire.

– Właśnie, że ją zabiłeś, gdy kazałeś ją zamurować! – krzyknąłem.

Skulił się na tę oczywistą prawdę.

– Była niewierna, flirtowała z jednym z miejscowych chłopców. Nie mogłem znieść myśli o niej z innym.

– Więc kazałeś ją zamurować.

– Tak! Tak! A chłopaka powieszono. Tak!

– Ty ohydny potworze!

– Ona też nie dała mi syna. Chciałem syna.

– Dała ci Kordelię, twoją ulubienicę.

– I była ci wierna – dodała zjawa. – Aż do czasu, gdy ją odesłałeś.

– Nie! – Stary król znowu próbował odpędzić ducha.

– O tak. I miałeś syna, Lirze. Od lat miałeś syna.

– Nie miałem żadnego syna.

– Jeszcze jedna wiejska dziewczyna, którą wziąłeś przy jeszcze jednym polu bitwy, tym razem w Iberii.

– Bękart? Mam syna bękarta?

Zobaczyłem nadzieję, pojawiającą się w zimnym, sokolim oku Lira i chciałem je wyjąć, tak jak uczyniła Regana z oczami Glouceстера. Wyciągnąłem ostatni ze swoich sztyletów.

– Tak – powiedział duch. – Przez te wszystkie lata miałeś syna, a teraz leżysz w jego ramionach.

– Co?

– Naturalny jest twoim synem – oznajmiło widmo.

– Śliniak? – spytałem.

– Śliniak? – powtórzył Lir.

– Śliniak – potwierdził duch.

– Tatko! – zawołał Śliniak. I uściśnął nowo odnalezionego ojca. – O, tatku! – Rozległ się trzask kości i mdlący odgłos powietrza, uciekającego z mokrych, zgniecionych płuc. Oczy Lira wystąpiły z orbit, skóra zaś posiniała, gdy Śliniak w jednej chwili oddawał mu synowską miłość całego życia.

Gdy świsty przestały się dobywać z ust starca, podszedłem do Śliniaka i odciągnąłem jego rękę, po czym opuściłem głowę Lira na podłogę.

– Zostaw, chłopie. Puść go.

– Tatko? – spytał.

Zamknąłem kryształowe, błękitne oczy starca.

– On nie żyje, Śliniaku.

– Pacan! – powiedziała zjawa. Splunęła widmową śliną, która wyleciała z ust i odfrunęła.

Wtedy wstałem i odwróciłem się do ducha.

– Kim jesteś? Jaka krzywda cię spotkała, którą można naprawić, byś spoczęło w pokoju, a przynajmniej stąd odeszło, uprzykrzone widmo?

– Krzywda została naprawiona. Nareszcie.

– Kim jesteś?

– Kim jestem? Kim jestem? Odpowiedź da ci stukanie, mój dobry Kieszonko. Zastukaj w swą błazeńską czapkę i spytaj tę psotną machinę myśli, skąd się bierze jej sztuka. Zastukaj w swój mieszek i spytaj jego małego mieszkańca, kto budzi go nocą. Zastukaj w swoje serce i spytaj żyjącego w nim ducha, kto zbudził go w ciepłe domowego ognia. Spytaj tego łagodnego ducha, kim jest duch przed tobą.

– Talia – rzekłem, bo wreszcie ją ujrzałem. Padłem przed nią na kolana.

– Tak, chłopcze. Tak. – Położyła mi rękę na głowie. – Powstań, sir Kieszonko z Dog Snogging.

– Ale dlaczego? Dlaczego nigdy nie powiedziałaś, że jesteś królową? Dlaczego?

– Miał moją córkę, moją słodką Kordelię.

– I zawsze wiedziałaś o mojej matce?
– Słyszałam opowieści, lecz nie wiedziałam, kim był twój ojciec. Nie kiedy żyłam.

- Czemu nie powiedziałaś mi o matce?
- Byłeś mały. To nie jest historia dla małego chłopca.
- Nie tak mały, byś nie pieściła mnie przez dziurę w ścianie.
- To było później. Chciałam ci powiedzieć, ale kazał mnie zamurować.
- Bo nas przyłapano?

Widmo skinęło głową.

– Zawsze miał problem z czystością innych. Nigdy z własną.
– Czy to było straszne? – Wcześniej starałem się o niej nie myśleć, samotnej w ciemności, umierającej z głodu i pragnienia.

- Czułam się samotna. Zawsze tak tam było, nie licząc ciebie, Kieszonko.
- Przykro mi.

– Jesteś kochany, Kieszonko. Żegnaj. – Sięgnęła przez kraty i dotknęła mego policzka. Było to jak lekkie muśnięcie jedwabiu. – Dbaj o nią.

- Co?

Zacząła odlatywać w stronę przeciwległej ściany, pod którą leżały zwłoki Edmunda.

Rzekła:

*Trzem córkom los zgotował potężną obrazę,
I królem wkrótce będzie błazen.*

- Neeeeeeee! – wył Śliniak. – Mój tatko nie żyje.
- Wcale nie – powiedziała Talia. – Lir nie był twoim ojcem. Nabrałam was. Zacząła znikać, a ja parsknąłem śmiechem i po chwili już jej nie było.
- Nie śmieć się, Kieszonko – rzekł Śliniak. – Jestem sierotą.
- I nawet nie podała nam cholernych kluczy – zauważyłem.

Na schodach rozbrzmiały ciężkie kroki i w przejściu pojawił się kapitan Kuran z dwoma rycerzami.

– Kieszonko! Szukaliśmy cię. Dzień należy do nas, od południa nadciąga królowa Kordelia. Co z królem?

– Umarł – odparłem. – Król umarł.

POWRÓT BOUDIKI

Wszystkie te sieroce lata, by się dowiedzieć, że miałem matkę, ale się zabiła z powodu okrucieństwa króla, jedyne go ojca, jakiego znałem... By się dowiedzieć, że miałem ojca, ale i jego zamordowano na rozkaz króla...

By się dowiedzieć, że najlepsza przyjaciółka, jaką miałem, to matka kobiety, którą uwielbiałem – i że także ją okrutnie zamordowano na rozkaz króla z powodu czegoś, co zrobiłem...

Z sieroty i błazna w niespełna tydzień stałem się księżącym bękartem, a w końcu okrutnym mścicielem duchów i wiedźm, a w kilka miesięcy z nowicjusza zmieniłem się w generała i stratega...

Od opowiadania rubasznych historii ku uciechu uwięzionej kobiety przeszedłem do planowania przewrotu w królestwie... Sprawa była poważna i traciłem rozeznanie. I nabrałem sporego apetytu. Przydałaby się przekąska, a może nawet pełny posiłek, z winem.

Przez otwory strzelnicze w moim starym mieszkaniu w barbakanie patrzyłem, jak Kordelia wjeżdża do zamku. Dosiadała wielkiego, siwego konia bojowego, podobnie jak wierzchowiec okuta w zbroję, czarną ze złoceniami. Na jej tarczy wyobrażono złotego lwa Anglii, a na napierśniku złotą francuską lilię. Jechały za nią dwie kolumny rycerzy, dzierżących chorągwie Walii, Szkocji, Irlandii, Normandii, Francji, Belgii i Hiszpanii. Hiszpanii? W wolnym czasie podbiła cholerną Hiszpanię? Przed wyjazdem marnie radziła sobie w szachach. Prawdziwa wojna musi być łatwiejsza.

Spięła konia pośrodku mostu zwodzonego, stanęła w strzemionach. Ściągnęła hełm i potrząsnęła złotymi włosami. Potem uśmiechnęła się, unosząc twarz ku barbakanowi. Schowałem się, nie do końca wiem dlaczego.

– Mój! – warknęła, po czym parsknęła śmiechem i poprowadziła kolumnę do zamku.

Tak, wiem, kochanie, lecz złe to maniery, maszerować tak z własną armią i wysuwać roszczenia wobec cudzej własności, prawda? Damie nie wypada.

Była cudowna jak cholera.

Tak, przekąska byłaby jak znalazł. Sam się przez chwilę śmiałem, po czym tanecznym krokiem ruszyłem do wielkiej sali, po drodze fikając raz po raz koziołki.

Może pójście do wielkiej sali w poszukiwaniu stawy nie było najlepszym pomysłem i może nie takie były moje prawdziwe intencje, lecz nie szkodzi, bo zamiast posiłków, na wysokich stołach znajdowały się ciała Lira i jego dwóch córek – Lir na postumencie, gdzie wcześniej stał jego tron, a Regana i Goneryla poniżej, po obu stronach.

Kordelia stała nad ojcem, wciąż w zbroi, z hełmem wetkniętym pod ramię. Długie włosy opadały jej na twarz, przez co nie widziałem, czy płacze.

– Jest teraz znacznie miłszy – rzekłem. – Cichszy. Choć porusza się mniej więcej z tą samą prędkością.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, szerokim, oszalałym uśmiechem, a potem najwyraźniej przypomniała sobie o żałobie i znowu pochyliła głowę.

– Dziękuję za kondolencje, Kieszonko. Widzę, że podczas mojej nieobecności zdołałeś zwalczyć swe przyjemne usposobienie.

– Tylko dzięki temu, że wciąż o tobie myślałem, dziecino.

– Brakowało mi ciebie.

– A mnie ciebie, złotko.

Pogłaskała ojca po włosach. Nosił ciężką koronę, którą rzucił na stół przed książętami Kornwalii i Albanii, co zdawało się już odległą przeszłością.

– Cierpiał? – spytała Kordelia.

Zastanowiłem się nad odpowiedzią, czego niemal nigdy nie czynię. Mogłem dać upust swojemu gniewowi, przekląć starca, dać świadectwo jego życiu, pełnemu okrucieństw i podłości, lecz Kordelii nie pomogłoby to wcale, mnie zaś niewiele. Mimo wszystko musiałem doprawić swą opowieść odrobiną prawdy.

– Tak. Pod koniec bardzo cierpiał w swym sercu. W rękach twoich siostr i pod ciężarem wyrzutów sumienia, że wyrządził ci krzywdę. Cierpiał, ale nie na ciebie. Ból targał jego duszę, dziecko.

Pokiwała głową i odwróciła się od starca.

– Nie powinieneś nazywać mnie dzieckiem. Jestem teraz królową.

– Widzę. Cudna zbroja, swoją drogą, bardzo w stylu świętego Jerzego. Smok był w komplecie?

– Nie, armia, jak się okazuje.

– I najwyraźniej imperium.

– Nie, to musiałam zdobyć sama.

– Mówiłem, że twój nieprzyjemny charakter przyda ci się we Francji.

– Zaiste. Zaraz potem, jak powiedziałaś, że księżniczki nadają się tylko na... jak to było... „karmę dla smoków i preteksty do okupu”?

I znowu ten uśmiech, który był niby promienie słońca padające na me zmrożone serce. Jak w zmarzniętej kończynie, do której powraca czucie, poczułem ukłucia setek igieł. Nagle mały woreczek z purchawką od wiedźm u mojego pasa bardzo mi zaciążył.

– Cóż, nie zawsze można mieć rację, podważyłoby to wiarygodność błazna.

– Twoja wiarygodność już jest wątpliwa, jeśli o to idzie. Kent mówił, że to za twoją sprawą królestwo padło przede mną z taką łatwością.

– Nie wiedziałem, że to ty, myślałem, że cholerny Jeff. A właśnie, gdzie Jeff?

– W Burgundii, z księciem... nie, z królową Burgundii. Obaj nalegają, by zwracać się do niego jako do królowej Burgundii. Okazuje się, że miałaś co do nich rację, co znowu świadczy przeciwko tobie jako błaznowi. Przyłapałam ich razem w pewnym pałacu w Paryżu. Przyznali, że szaleją za sobą nawzajem, odkąd byli chłopcami. Jeff i ja zawarliśmy układ.

– Ano, w takich sytuacjach zazwyczaj jest układ. Malowniczy układ ciała i głowy królowej, w różnych miejscach.

– Nic podobnego. Jeff to zacyzny człek. Nie kochałam go, ale był dobry. Uratował mnie, gdy ojciec mnie wyrzucił, prawda? A zanim to nastąpiło, zdobyłam sympatię

gwardii i niemal całego dworu. Jeśli miała spaść czyjaś głowa, to nie moja. Król Francji zabrał sobie pewne terytoria, Tulużę, Prowansję i kawałki Pirenejów, ale biorąc pod uwagę, ile ziem wzięłam ja, umowa była co najmniej sprawiedliwa. Chłopcy mają oszałamiająco wielki pałac w Burgundii, który bez ustanku na nowo urządzają. Są dość szczęśliwi.

– Chłopcy? Cholerny książe Burgundii, który gzi się z żabim królem? Na obwisłe jaja Odyna, to temat na piosenkę!

Uśmiechnęła się.

– Kupiłam rozwód od papieża. Cholernie słono zapłaciłam. Gdybym wiedziała, że Jeff będzie się upierał przy usankejonowaniu sprawy przez Kościół, doprowadziłabym do ponownego powołania dawnego Papieża Dyskontowego.

Po wielkiej sali poniósł się echem dźwięk otwierania wielkich drzwi i Kordelia odwróciła się z ogniem w oczach.

– Mówiłam, by zostawiono mnie samą!

Wtedy Śliniak, który wszedł do środka, zatrzymał się, jakby zobaczył ducha, i zaczął się cofać.

– Przepraszam. Proszę o wybaczenie. Kieszonko, mam Jonesa i twą czapkę. – Uniósł lalkę na patyku i moje błazeńskie nakrycie głowy, zapomniał na chwilę, że na niego nakrzyczano, lecz potem znów zaczął cofać się ku drzwiom.

– Nie, chodź, Śliniaku – powiedziała Kordelia. Gestem zaprosiła go do środka i strażnicy zamknęli za nim drzwi. Zastanawiałem się, co pomyślą rycerze i inni strażnicy, skoro królowa nie wpuszczała nikogo z wyjątkiem dwóch błaznów. Pomyślałam pewnie, że jest po prostu następna w długiej linii wariatów.

Śliniak przystanął, gdy mijał ciało Regany, i zapomniał, co miał zrobić. Położył Jonesa i mą czapkę na stole obok niej, po czym chwycił rąbek jej sukienki i uniósł, by zerknąć.

– Śliniaku! – warknąłem.

– Przepraszam – powiedział. Potem dostrzegł ciało Goneryli i podszedł do niej. Stał tam, patrząc w dół. Po chwili jego ramiona zaczęły się trząść i wkrótce wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem, zalewając łzami biust Goneryli.

Kordelia posłała mi błagalne spojrzenie, a ja jej chyba podobne. Oboje czuliśmy się jak gówno, że nie oplakujemy tych ludzi, tej rodziny.

– Ładne były – stwierdził Śliniak. Wkrótce już gładził policzek Goneryli, potem jej ramię, oba ramiona, piersi, aż w końcu wspiął się na stół i rozpoczął rytmiczne,

dziwaczne łkanie, które tembrem i głośnością przypominało krzyki niedźwiedzia, zamkniętego w beczce po winie.

Wziąłem Jonesa, leżącego obok Regany, i waliłem przygłupa po głowie i ramionach, aż zgramolił się z dawnej księżnej Albanii, odchylił obrus i schował się pod stołem.

– Kochałem je – powiedział.

Kordelia przytrzymała mi rękę, pochyliła się i uniosła skraj obrusa.

– Śliniaku, kolego – rzekła. – Kieszonka nie chce być okrutny, nie rozumie, jak się czujesz. Tak czy owak, musimy zachować to dla siebie. Nie wypada jebać zmarłych, kochany.

– Naprawdę?

– Owszem. Niebawem przyjdzie tu książę. Poczulby się obrażony.

– A ta druga? Jej książę nie żyje.

– Na jedno wychodzi. Nie wypada.

– Przepraszam. – Schował głowę pod obrusem.

Wstała i popatrzyła na mnie, odwracając się od Śliniaka, przewracając oczami i uśmiechając się.

Miałem jej tak wiele do powiedzenia: że chędożyłem jej matkę, że, technicznie rzecz biorąc, jesteśmy kuzynami i że, cóż, może się zrobić niezręcznie. Instynkt aktora podpowiedział mi, że ta chwila nie powinna mieć zbyt dużego ciężaru, zatem rzekłem:

– Zabiłem twoje siostry. Mniej więcej.

Przestała się uśmiechać.

– Kapitan Kuran powiedział, że otruły się nawzajem.

– Tak. Dałem im truciznę.

– Wiedziały, że to trucizna?

– Wiedziały.

– Czyli nic nie dało się poradzić, prawda? I tak były wrednymi jędzami. Dręczyły mnie przez całe dzieciństwo. Zaoszczędziłeś mi wysiłku.

– One tylko chciały, by ktoś je kochał – stwierdziłem.

– Nie broń ich przede mną, błaznie. Zabiłeś je. A ja chciałam tylko odebrać im ziemie i dobra. Może jeszcze publicznie je upokorzyć.

– Ale przed chwilą powiedziałaś...

– Kochałem je – powtórzył Śliniak.

– Zamknij się! – wykrzyknęliśmy z Kordelią chórem.

Drzwi otwarły się ze skrzypnięciem i do środka zajrzała głowa kapitana Kurana.

– Pani, przybył książę Albanii – rzekł.

– Daj mi chwilę, a potem go przyślij – powiedziała Kordelia.

– Dobrze. – Kuran zamknął drzwi.

Kordelia podeszła do mnie, była ode mnie tylko nieco wyższa. W zbroi wyglądała znacznie groźniej, niż ją zapamiętałem, ale nie mniej pięknie.

– Kieszonko, zamieszkałam w swoim starym solarze. Chcę, byś mnie odwiedził po wieczery.

Ukloniłem się.

– Czy moja pani pragnie opowieści i żartu przed snem, by oczyścić umysł ze zgryzot dzisiejszego dnia?

– Nie, błaznie. Kordelia, królowa Francji, Brytanii, Belgii i Hiszpanii będzie się z tobą chędożyła tak, że ci dzwoneczki odpadną.

– Słucham? – spytałem, nieco skonsternowany.

Lecz wtedy mnie pocałowała. Drugi raz. Z wielkim uczuciem, a potem odepchnęła.

– Najechałam ten kraj dla ciebie, durniu. Kocham cię, odkąd byłam małą. Wróciłam po ciebie, no i po zemstę na siostrach, ale przede wszystkim po ciebie. Wiedziałam, że będziesz na mnie czekał.

– Skąd? Skąd wiedziałaś?

– Miesiąc temu do mego pałacu w Paryżu przyszedł duch. Jeff wystraszył się jak diabli. Od tamtej pory zjawia podpowiadała mi strategię.

Dosyć rozmów o duchach, pomyślałem. Pozwólmy jej spocząć. Znowu się ukloniłem.

– Na każde twe cholerne skinienie, kochana. Pokorny błazen, do usług.

AKT V

„Jak by się łąsił, błagał, jak by skakał,
Cierpliwie czekał, rozkazy w lot spełniał,
Wysilał dowcip i rymy popełniał,
Wszelkie usługi tylko dla mnie robił
Dumny, że służy tak dumnej osobie.
Jak atut w kartach, tak bym go pobiła,
Błazna zeń robiąc, wyrocznią mu była”.

Rozalina, *Stracone zachody miłości*,
Akt V, scena 2 (przekład: Zofia Siwicka)

KRÓLEM ZOSTANIE BŁAZEN

Niestety, wasz skromny błazen jest królem Francji. A właściwie Francji, Brytanii, Normandii, Belgii, Bretanii i Hiszpanii. Może czegoś jeszcze, nie widziałem Kordelii od śniadania. Pozostawiona sama sobie potrafi być straszna, lecz utrzymuje porządek w imperium, a ja ją uwielbiam, ma się rozumieć.

(Zawsze tak było).

Drogi Kent odzyskał włości i zaszczyty, dostał też tytuł księcia Kornwalii, a także przynależne ziemie i dobra. Zachował czarną brodę i urok, otrzymane od wiedźm, i najwyraźniej przekonał sam siebie, że jest młodszy i żwawszy, niż wskazywałyby na to lata, które miał na karku.

Księżę Albanii utrzymał tytuł i ziemie, złożył też hołd lenny Kordelii i mnie. Sądzę, że pozostanie mu wierny. To zacny, choć tępy mąż, który, nie mając nad sobą Kordelii, podąży ścieżką cnoty.

Tytuł księcia Buckingham daliśmy Kuranowi, który pełni funkcję regenta, gdy nie przebywamy na wyspach. Edgar wziął tytuł hrabiego Gloucester i wrócił do domu, gdzie pochował ojca w murach zamkowej świątyni, zbudowanej na cześć jego licznych bogów. Założył rodzinę i bez wątpienia doczeka się wielu synów, którzy dorosną, by go zdradzić, albo pozostaną głupcami na podobieństwo ojca.

Kordelia i ja mieszkamy w licznych pałacach w całym imperium, podróżując z zawstydzająco liczną świtą, w której skład wchodzi Bańka i Piskliwa, a także Kiłowa Mary i inne wierne osoby z Tower. Mam ogromny tron, na którym zasiadam ze Śliniakiem przy jednym boku (który otrzymał tytuł Królewskiego Ministra Walenia Konia) i swoją małpą, Jeffem, przy drugim. Wysłuchujemy skarg miejscowych rolników i kupców, a ja wygłaszam sądy, orzeczenia i wyroki. Przez jakiś czas

pozwaląłem małpie wydawać wyroki w czasie, gdy sam jadłem obiad z królową, dając Jeffowi tabliczkę z wypisanymi różnymi karami, które mógł wskazywać. Trzeba to jednak było ukrócić, gdy pewnego popołudnia, wróciwszy po przedłużającym się chędożeniu Kordelii, odkryłem, że bezczelny małpiszon kazał powiesić całą wioskę za naruszenie zasad produkcji sera. (Niezręczna sytuacja, ale Francuzi byli wyrozumiali. Bardzo poważnie podchodzą do swojego sera). Na ogół sprawiedliwości może stać się zadość za sprawą odrobiny słownych upokorzeń, wyzwisk i ostrego sarkazmu, w czym celuję, jak się okazało, więc poddani postrzegają mnie jako dobrego króla i bardzo kochają, nawet pieprzeni Francuzi.

Teraz przebywamy w swoim pałacu w Gaskonii, niedaleko północnej Hiszpanii. Uroczo, ale bardzo sucho. Dziś właśnie mówiłem żabiej królowej Jeffowi (przyjechał z królową Burgundii w odwiedziny):

– Uroczo tu, Jeff, ale cholernie sucho. Jestem Anglikiem i potrzebuję wilgoci. Czuję się, jakbym wysychał, i aż trzeszczę, gdy rozmawiamy.

– To prawda – rzekła Kordelia. – Zawsze miał skłonność do wszystkiego, co wilgotne.

– Tak, kochanie, nie powinniśmy chyba mówić o tym przy Jeffie, prawda? O, spójrz! Ślimakowi stanął. Spytajmy go, co o tym sądzi. W drodze tutaj zajął się sękatym dębem. Chędożył owo drzewo zaiste widowiskowo. Stracił dość żołądki, by przez tydzień wyżywić całą wioskę. Chcieli na cześć durnia wydać specjalną ucztę, ogłosić go bogiem chędożenia drzew. Tyle tu symboli płodności, że można się pogubić, prawda?

– *C'est la vie*⁴⁶ – powiedział Jeff w zupełnie niezrozumiałym pieprzonym francuskim.

Później, gdy udzielałem publicznej audyencji, do wielkiej sali weszły trzy stare, pochylone postaci. Wiedźmy z wielkiego lasu Birnam. Chyba zawsze wiedziałem, że prędzej czy później się pojawią. Śliniak uciekł i schował się w kuchni. Jeff wskoczył mi na ramię i wrzasnął (małpa Jeff, nie królowa).

Rozmaryn, zielona wiedźma o kocich pazurach u stóp, powiedziała:

*Cały rok już minął wraz,
Na zapłatę przyszedł czas*

– Oj, do kurwy, wy znowu z tym rymowaniem?

⁴⁶ *C'est la vie* – „takie jest życie” w pieprzonym francuskim.

Czarownice wyrecytowały chórem:

*Choć dostałeś, czego chciałeś,
O zapłacie zapomniałeś?*

– Po prostu przestańcie rymować – rzekłem. – A te łachy są o wiele za grube na tutejszy klimat. Dostaniecie wysypki na swoich brodawkach i czyrakach, jeśli nie będziecie uważać.

– Zostałeś królem i zakląłeś swą prawdziwą miłość, by była twoją na wieki wieków, błaznie. Chcemy tylko tego, co nam się należy – powiedziała Szalwia, ta, która miała najwięcej brodawek.

– I słusznie, i słusznie – odparłem. – Ale Kordelia kocha mnie bez uroku. Jest ze mną z własnej woli.

– Bzdura – stwierdziła Pietruszka, ta wysoka. – Dałyśmy ci trzy purchawki dla trzech sióstr.

– Tak, ale użyłem trzeciej, by zakląć Edgara z Gloucester, by zakochał się w praczce ze swego zamku o imieniu Emma. Piękna dziewczyna z cudnym cycem. Jego brat bękart źle ją traktował, więc uznałem, że to sprawiedliwe.

– Tak czy owak, użyłeś zaklęcia. Dostaniemy swoją zapłatę – powiedziała Rozmaryn.

– Oczywiście. Mam więcej skarbów, niż mogłybyście unieść. Złoto? Srebro? Klejnoty? Ale Kordelia nie wie o wszystkich waszych manipulacjach. Nie wie też, że zjawą była jej matka, i nie może się nigdy dowiedzieć. Jeśli się zgadzacie, podajcie swą cenę. Mam ważne królewskie sprawy na głowie, a moja małpa jest głodna. Podajcie cenę, staruchy.

– Hiszpania – odrzekły wiedźmy.

– Do ciężkiej kurwy – powiedziała lalka Jones.

TY BEZCZELNY SZELMO

NOTA OD AUTORA

Wiem, co myślicie: „Dlaczego ty, amerykański pisarz humorystyczny, porywasz się na geniusz największego mistrza języka angielskiego, jaki kiedykolwiek żył? Myślałeś, że co możesz osiągnąć oprócz nasikania do basenu i utonięcia we własnych płytkich aspiracjach?”.

Myślicie: „Szekspir napisał doskonałą, elegancką tragedię, która świetnie się broni, a ty nie możesz zostawić jej w spokoju. Musisz obmacać ją całą swoimi tłustymi łapskami, splugawić chędożeniem borsuków i małpim nasieniem. Chyba po prostu nie dane nam zachować tego, co piękne”.

Dobra, po pierwsze, święte słowa. A po drugie, nie wierzę, że tak myślicie...

Ale macie rację, przerobiłem na karmę dla psów angielską historię, geografię, *Króla Lira* i język angielski w ogóle.

Ale na swoją obronę... cóż, właściwie nie mam nic na swoją obronę, pozwólcie jednak, że opowiem Wam, od czego zaczyna ktoś, kto chce na nowo opowiedzieć historię z *Króla Lira*.

Jeśli ktoś pracuje z językiem angielskim, zwłaszcza tak cholernie długo, jak ja, niemal na każdym kroku natyka się na dzieło Williama. Nieważne, co macie do powiedzenia, okazuje się, że już czterysta lat temu Will powiedział to wytworniej, zwięźlej i liryczniej – a do tego jeszcze pewnie jambicznym pentametrem. Nie można powtórzyć tego, co zrobił Will, można jednak dostrzec jego geniusz, który pozwolił mu to zrobić. Ale nie zacząłem pisać *Błazna* w hołdzie Szekspirowi. Napisałem go z uwagi na swój wielki podziw dla brytyjskiej komedii.

Zacząłem od pomysłu napisania historii o błaznie, angielskim błaznie, bo lubię opisywać łajdaków. Pierwszy raz zagałem temat kilka lat temu, podczas śniadania w

Nowym Jorku z moją amerykańską redaktorką, Jennifer Brehl. Był to poranek po nocy, gdy wziąłem zdecydowanie za dużo środków nasennych. (Nowy Jork w pewnym sensie mnie przeraża. Zawsze czuję się jak gąbka wycierająca niepokój z czoła Nowego Jorku).

– Jen, chcę zrobić książkę o błaźnie. Ale nie wiem, czy powinienem pisać o jakimś błaźnie czy o błaźnie Lira.

– O, musisz napisać o błaźnie Lira – odparła.

– No to niech będzie błaźen Lira – postanowiłem, jakby wymagało to nie więcej wysiłku niż wypowiedzenie tych słów.

Potem powoli stopiła się ze swoim krzesłem i zmieniła w palącą fajkę wodną gąsienicę, która nie mówiła nic z wyjątkiem „ba, ba, ba, ba, ba”, ale zapłaciła za śniadanie. Na resztę poranka urwał mi się film. (Rada dla podróżujących w interesach: jeśli po drugim proszku nasennym nadal nie chce wam się spać, nie łykajcie trzeciego).

A zatem skoczyłem na głęboką wodę i spędziłem niemal dwa lata, zanurzony w dzieła Szekspira: wystawiane na żywo, w formie pisemnej i na DVD. Obejrzałem chyba ze trzydzieści różnych wystawień *Króla Lira* i, szczerze mówiąc, mniej więcej w połowie tych przygotowań, wysłuchawszy tuzin Lirów, wściekających się podczas burzy i lamentujących, że zachowali się jak kompletni debile, miałem ochotę wskoczyć na scenę i zabić starca osobiście. Bo choć szanuję i podziwiam talent i wytrzymałość, jakich od aktora wymaga rola Lira, podobnie jak elokwencję monologów, człowiek może znieść tylko określoną dawkę jęków, a potem chce się zapisać do Komitetu na Rzecz Włączenia Przemocy Wobec Osób Starszych do Igrzysk Olimpijskich. Uważam, że do innych atrakcji w Stratford-upon-Avon powinni dołączyć możliwość zepchnięcia Lira z wysokiego urwiska. Wiecie, jak w skokach na bungee, tyle że bez bungee. Tylko: „Dmijcie, wichrzyska, aż wam miechy pękną! Aaaaaa!” Plask! I słodka, słodka cisza. Dobra, może nie. (Przy okazji, mają w Stratford Hospicjum im. Szekspira, dla tych wszystkich, którzy zaznaczyli opcję „albo nie być”).

Gdy ktoś postanawia od nowa opowiedzieć historię Lira, musi zająć się problemami czasu i miejsca.

Według kroniki brytyjskich monarchów (*Historia królów Brytanii*), spisanej w 1136 roku przez walijskiego duchownego Geoffrey'a z Monmouth, prawdziwy król Lir, o ile w ogóle istniał, żył w roku 400 p.n.e., czyli mniej więcej w czasach Platona i Arystotelesa, w szczytowym okresie rozwoju imperium Greków, kiedy to w Anglii nie

było dużych zamków, kraje, o których Szekspir wspomina w swoim dramacie, jeszcze nie istniały, i Lir mógł być w najlepszym wypadku jakimś przywódcą plemiennym, nie zaś suzerenem rozległego królestwa, sprawującym władzę nad złożonym społeczno-politycznym systemem z książętami, hrabiami i rycerzami. Jego zamkiem mogła być gliniana twierdza. W sztuce Szekspir nawiązuje do greckich bogów i rzeczywiście, legenda głosi, że ojciec Lira, Baldud, który był świniarzem, trędowatym i królem Brytów, udał się do Aten w poszukiwaniu duchowego przewodnictwa, po czym wrócił, by zbudować w Bath świątynię, poświęconą bogini Atenie, gdzie odprawiał obrzędy i praktykował nekromancję. Lir został królem niejako z automatu, gdy Baldudowi poodpadały co ważniejsze części ciała. Bitwa o dusze między chrześcijanami a poganami, którą ukazałem w *Błaźnie*, nastąpiła zapewne pomiędzy 500 a 800 rokiem n.e., a nie w wyobrażonym XIII wieku, gdy żył Kieszonka.

Czas przedstawia więc pewien problem, nie tylko w odniesieniu do historii, ale i języka. Ramy czasowe sztuki popieprzyły się najwyraźniej nawet Szekspirowi, bo w pewnym miejscu jego błazen wypowiada długą listę przepowiedni, po czym dodaje: „Przekazuję to proroctwo Merlinowi, który ma przyjść po mnie” (Akt III, scena 2). Zupełnie jakby Will cisnął swoje pióro w powietrze i powiedział:

– Nie wiem, co się, do diabła, dzieje, ale rzucę widzom tę kupę bredni i zobaczymy, czy się przyjmie.

Nikt raczej nie wie, jakim językiem mówiono w roku 400 p.n.e., ale z pewnością nie był to angielski. A angielszczyzna Szekspira, choć elegancka i pod wieloma względami przełomowa, w znacznej części brzmi obco dla współczesnego anglojęzycznego czytelnika. A zatem, podążając tropem Willa, rzucającego swe pióro w powietrze, postanowiłem umieścić akcję w mniej lub bardziej mitycznym średniowieczu, ale z lingwistycznymi naleciałościami czasów elżbietańskich, współczesnego slangu brytyjskiego, cockneya (choć rymowanie slangiem pozostaje dla mnie czarną magią) i mojej wrodzonej, amerykańskiej paplaniny. (Dlatego Talia wspomina o świętym Cynamonie, który wygnał Mazdy ze Swinden – z całkowitą obojętnością na historię). A dla czepialskich, którzy zechcą mi wytknąć anachronizmy w *Błaźnie* – spokojnie, cała ta książka to anachronizm. Oczywiście. Są tu nawet wzmianki o „Merykanach” jako dawno wymarłej rasie, przez co nasza własna epoka trafia gdzieś w odległą przeszłość. („Dawno temu w odległej galaktyce”, jeśli wiecie, co mam na myśli).

Tak to zostało pomyślane.

Jeśli chodzi o geografie sztuki, patrzyłem na współczesne miejsca, które wymieniono w tekście: Gloucester, Kornwalia, Dover itd., i jeszcze Londyn. Jedyna współczesna Albania, jaką znalazłem, leży z grubsza w obrębie londyńskiej metropolii, umieściłem więc Albanie Goneryli w Szkocji, także po to, by ułatwić dostęp do wielkiego lasu Birnam i czarownic z *Makbeta*. Dog Snogging, Bongwater Crash i Ruchanie Dolne na Robalowej Kopie oraz inne miejscowości znajdują się w mojej wyobraźni, choć w Walii naprawdę istnieje Robalowa Kopa⁴⁷.

Fabula szekspirowskiego *Króla Lira* została zaczerpnięta ze sztuki, którą wystawiono w Londynie jakieś dziesięć lat wcześniej, zatytułowanej *The Tragedy of King Leir*, której wersja drukowana zaginęła. Grano ją w czasach Szekspira, nie wiadomo, jak brzmiał tekst, lecz akcja była dość podobna do tragedii wielkiego Barda i można chyba stwierdzić, że zdawał on sobie z tego sprawę. W wypadku Szekspira nie było to nic niezwykłego. Uważa się, że na trzydzieści osiem jego dramatów tylko trzy zrodziły się z zupełnie oryginalnych pomysłów.

Nawet tekst *Króla Lira*, który znamy dzisiaj, został skompilowany w 1724 roku przez Alexandra Pope'a na podstawie strzępów i fragmentów wcześniej wydrukowanych wersji. Co ciekawe, pierwszy angielski poeta nadworny, Nathan Tate, napisał *Króla Lira* ze szczęśliwym zakończeniem, w którym Lir i Kordelia znowu się godzą, Kordelia wychodzi za Edgara i żyją długo i szczęśliwie. Wersja Tate'a wystawiana była przez niemal dwieście lat, zanim na scenę trafiła wersja Pope'a. A *Historia królów Brytanii* Monmoutha dowodzi, że Kordelia rzeczywiście została królową po Lirze i rządziła przez pięć lat. (Chociaż nie ma żadnych danych historycznych, które by to potwierdzały).

Nieliczni czytelnicy *Błazna* wyrazili pragnienie, by wrócić do lektury *Króla Lira*, być może po to, by porównać materiał źródłowy z moją wersją opowieści. („Nie pamiętam z *Króla Lira* sceny z chędożeniem drzewa, ale dawno go nie czytałem”). Choć istnieją gorsze sposoby na spędzenie czasu, uważam, że to droga do szaleństwa. W *Błaznie* znajdują się parafrazy i nawiązania do tuzina dramatów i nie jestem już teraz pewien, co się skąd wzięło. Zrobiłem to w dużej mierze po to, by zniechęcić recenzentów, którzy zawahają się, nim zacytują i skrytykują fragment mojej książki, ryzykując, że zacytują samego Mistrza. (Raz pewien recenzent skrytykował mnie, że piszę nieporadną prozę, a przytoczony przez niego fragment był jednym z licznych

⁴⁷ W oryg. „Worms Head” – przyp. Tłum.

cytatów z „Obywatelskiego nieposłuszeństwa” Thoreau. W życiu nieczęsto zdarzają się chwile triumfu. Wytknięcie tego rzeczonemu recenzentowi było jedną z nich).

Uwaga na temat uprzedzeń Kieszonki: wiem, że słowa „pieprzony francuski” pojawiają się w jego mowie bardzo często, ale nie należy tego interpretować jako znaku mojej niechęci wobec Francji czy Francuzów. Uwielbiam ich. Ale aliteracja była bardzo pociągająca, chciałem też ukazać powierzchowne resentymenty Anglików względem Francuzów, a także, bądźmy uczciwi, Francuzów względem Anglików. Jak wyjaśnił mi pewien przyjaciel z Anglii: „O tak, nienawidzimy Francuzów, ale nie chcemy, by ktoś jeszcze ich nienawidził. Są nasi. Będziemy walczyć do śmierci o ich przetrwanie, byśmy mogli ich dalej nienawidzić”. Nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale uznałem, że to zabawne. Albo, jak to ujęła moja francuska znajoma: „Wszyscy Anglicy to geje. Niektórzy po prostu o tym nie wiedzą i sypiają z kobietami”. Jestem niemal pewien, że to nieprawda, ale też uznałem, że to zabawne. Pieprzeni Francuzi są świetni, prawda?

Na koniec chciałbym podziękować wszystkim ludziom, którzy pomogli mi w pracy nad *Błaznem*. Aktorom i obsłudze licznych festiwali szekspirowskich, na których byłem w północnej Kalifornii, którzy ożywiali dzieła Mistrza dla nas, mieszkańców głębokich kolonii. Wspomniałem, uroczym mieszkańcom Wielkiej Brytanii i Francji, którzy pomagali mi wynajdywać średniowieczne miejsca i zabytki, dzięki czemu mogłem zupełnie ignorować autentyczność, gdy pisałem *Błazna*. A na koniec wielkim twórcom brytyjskiej komedii, którzy zainspirowali mnie, bym rzucił się na głęboką wodę uprawianej przez nich sztuki, takim jak: Szekspir, Oscar Wilde, G. B. Shaw, P. G. Wodehouse, H. H. Munro (Saki), Evelyn Waugh, *The Goons*, Tom Stoppard, Monty Python, Douglas Adams, Nick Hornby, Ben Elton, Jennifer Saunders, Dawn French, Richard Curtis, Eddie Izzard i Mil Millington (który zapewnił mnie, że choć szlachetnym zamiarem jest napisanie książki, w której bohaterowie nazywani będą „szelmami” bądź „pacanami”, byłbym nieautentyczny, gdybym kilku z nich nie nazwał też „cipami”).

Dziękuję też Charlee Rodgers za jej cierpliwość przy zajmowaniu się sprawami logistyki i podróży podczas przygotowań do pracy nad książką. Nickowi Ellisonowi i jego przybocznym za opiekowanie się biznesem. Jennifer Brehl za czyste ręce i opanowanie podczas redakcji. Jackowi Womackowi za spotkania z czytelnikami. I jeszcze Mike'owi Spradlinowi, Lisie Gallagher, Debbie Stier, Lynn Grady i Michaelowi Morrisonowi za brudną, wydawniczą robotę. A, tak, i moim przyjaciółom, którzy

znosili moje obsesyjne usposobienie i nieustanne jęki, gdy pisałem *Błazna*. Dzięki, że nie zepchnęliście mnie z wysokiego urwiska. Do następnego razu, *adieu*.

Christopher Moore

San Francisco,
kwiecień 2008